

Mary Balogh

# NIEZAPOMNIANE LATO



# 1

Był piękny majowy poranek w londyńskim Hyde Parku. Słońce migotało w niezliczonych kropkach rosy, a drzewa i trawa wyglądały jak świeżo wymyte, tworząc wdzięczne tło dla konnej przejażdżki wzdłuż modnego Rotten Row. Galopowano więc po rozległej polaci murawy ciągnącej się od Hyde Park Corner aż po Queen's Gate, a piesi spacerowali po ścieżkach oddzieleni od jeźdźców solidną balustradą.

Tę idealną scenę psuł tylko jeden szczegół: pośrodku trawnika, w miejscu doskonale widocznym od strony Rotten Row, powstało nagle zamieszanie i szybko zaczął się tam zbierać spory tłum. Wnet stało się jasne, że to bójka. Nie pojedynk, lecz zwykła, pospolita bijatyka, walczących było bowiem czterech, a nie dwóch, pora zaś o wiele za późna.

Gapie, w tym kilka dam, podchodzili coraz bliżej, chcąc przyrzeć się walce. Ci, którzy mieli pecha towarzyszyć w przejażdżce paniom, wycofali się pospiesznie, jako że bójka nie była widokiem stosownym dla kobiecych oczu.

- Oburzające! - przebił się przez zgiełk wzburzony męski głos. - Ktoś powinien wezwać konstabla! Nie wolno wszczynać bójek w parku, to uwłacza płci pięknej!

Niechlujny ubiór i wygląd trzech walczących jawnie dowodziły ich niskiego pochodzenia, elegancki zaś, chociaż skąpy strój czwartego świadczył o czymś wręcz przeciwnym.

- To Ravensberg, sir - wyjaśnił Charles Rush zgorszonemu margrabiemu Burleighowi.

Nazwisko najwyraźniej mówiło samo za siebie. Margrabia uniósł do oczu szkła i z doskonałego punktu obserwacyjnego na końskim grzbiecie spojrzął przez nie ponad głowami ciżby na wicehrabiego Ravensberga, który - obnażony do pasa - był właśnie w krytycznej fazie utarczki. Jego ramion uczepili się bowiem dwaj przeciwnicy, trzeci zaś wymierzył mu z zapalem tęgi cios prosto w żołądek.

- Oburzające! - powtórzył margrabia, podczas gdy pozostali widzowie wrzeszczeli jeden przez drugiego, a dwóch lub trzech zaczęło się nawet zakładać o wynik tego zdecydowanie nierównego starcia. - Nigdy nie przypuszczałem, że zobaczę na własne oczy, jak Ravensberg zniża się do udziału w pospolitej bójce!

- Hańba! - krzyknął ktoś inny, gdy rudowłosy osiłek, zmieniając kierunek ataku, rąbnął pięścią w odsłonięte oko Ravensberga. - Trzech na jednego to niehonorowo!

- No cóż, nie zgodził się, żebyśmy mu pomogli - wyjaśnił lord Arthur Kellard. - Ruszył na nich sam jeden, mówiąc, że bardzo mu to odpowiada.

-- A więc Ravensberg świadomie wszczął tę bijatykę? - spytał margrabia z niesmakiem.

- Zwymyślał ich, bo ordynarnie zaczepili dziewczynę od mleka, a oni uznali go za zuchwalca - wyjaśnił Rush. - Nie chciał poprzestać na wychłostaniu ich pejcem, jak mu radziliśmy, tylko uparł się, żeby... och!

Lord Ravensberg nie pozostał dłużny za cios w oko. Nieoczekiwanie roześmiał się, a potem nagle kopnął przeciwnika prosto w szczękę. Rozległ się głośny trzask kości i zębów. Ravensberg wykorzystał zaskoczenie dwóch obwiesi, którzy chcieli wykręcić mu ręce, i pchnął ich mocno na trawę, po czym rozpostarł szeroko ramiona, przykucnął i krzyknął:

- Chodźcie no tu, podłe dranie! Co, już wam nie w smak bitka?

Napastnik ze zgruchotaną szczęką sądził może inaczej, lecz rozciągnięty na plecach wyglądał raczej na kogoś skłonnego do liczenia gwiazd na niebie.

Wśród gęstniejącego tłumu rozległ się pomruk uznania.

Wicehrabia Ravensberg o wiele lepiej prezentował się z gołą piersią niż w koszuli. Średniego wzrostu i smukłej budowy, wydał się trzem hultajom łatwym celem. Jednak szczupłe nogi w modnych, skórzanych spodniach do konnej jazdy i butach z cholewami okazały się imponująco muskularne. Nagi tors, barki i ramiona należały zaś do kogoś, kto bardzo

dbał o swoją sprawność. Blizny po licznych ranach bielejące na przedramionach i piersi, a także szrama po lewej stronie podbródka świadczyły -choć nie wskazywał na to jego strój - że służył w wojsku.

- Co za okropne wyrażenia, i to w miejscu publicznym - stwierdził z dezaprobatą margrabia. -I ta gorsząca golizna! A to wszystko z powodu dziewczyny od mleka, mówi pan? Ravensberg hańbi swoje nazwisko. Współczuję jego ojcu!

Nikt jednak, nawet Charles Rush, do którego skierowane były te słowa, nie zwrócił na nie uwagi. Dwóch łobuzów, którzy dla zabawy zaczęli w parku samotną dziewczynę, ponownie zaatakowało wicehrabiego, a on z uśmiechem raz po raz odrzucał ich na bok ciosami pięści. Ci, którzy go znali, dobrze wiedzieli, że często bywał w sali bokserskiej Jacksona, ćwicząc tam z partnerami o wiele wyższymi i cięższymi od siebie.

- Wcześniej czy później - rzucił jakby od niechcienia - zrozumiecie, półgłówki, że mielibyście więcej szans w walce, atakując mnie jednocześnie.

- To nie jest widok dla dam - pomstował margrabia - a tam idzie akurat księżna Portfrey ze swą bratanicą!

Choć niektórzy dżentelmeni pospiesznie, lecz może i z żalem, wycofali się z tłumu na dźwięk nazwiska księżnej, słowa margrabiego utonęły w entuzjastycznej wrzawie, gdy dwaj przeciwnicy wicehrabiego zastosowali się do jego rady i zaatakowali go razem. On jednak bez trudu złapał obydwu i huknął ich głowami o siebie. Runęli na ziemię, jakby ich nogi zamieniły się nagle w galaretę.

- Brawo, Ravensberg! - wrzasnął ktoś, przekrzykując chór gwizdów i oklasków.

- Do kroćset, ten łajdak złamał mi szczękę! -jęczał trzeci napastnik. Złapał się oburącz za głowę, a potem, nachylony nad trawnikiem, wypłuł wraz z krwią co najmniej jeden ząb. Oprzytomniał nieco, ale wciąż nie mógł wstać.

Wicehrabia znowu się zaśmiał i wytarł dłonie o spódnie.

- Do licha, to było za łatwe! Spodziewałem się czegoś lepszego po trzech wyborowych londyńskich łapserdakach. Po cóż ja w ogóle zsiadałem z konia! Nawet nie warto się było rozbierać. Gdybym miał tych hul-tajów w moim pułku na Półwyspie, pchnąłbym ich do pierwszego szeregu, żeby oszczędzić lepszych żołnierzy.

Tymczasem mleczarka, mimowolna sprawczyni całego zamieszania, podbiegła ku niemu, a tłum rozstał się, robiąc jej przejście. Zarzuciwszy Ravensbergowi ręce na szyję, przyłgnęła do niego całym ciałem.

- Och, dziękuję, dziękuję, wielmożny panie! Ucałuję cię teraz ze szczerego serca w nagrodę, boś mnie, uczciwej dziewczyny, bronił przed bezecnikami, co gwałtem chcieli całować, albo i coś gorszego zrobić, aleś im nie pozwolił i ocalił moją cześć!

Była pulchna, zgrabna, rumiana i pełna dołeczków, więc wśród cizby znów rozległy się gwizdy, okrzyki uznania i niedwuznaczne aluzje. Wicehrabia Ravensberg przez dłuższą chwilę nie wypuszczał mleczarki z objęć, po czym darował jej pół suwerena, mrugnął zdrowym okiem i zapewnił, że jest najuczciwszą z dziewcząt.

Kiedy niespiesznie odchodziła, kołysząc zalotnie biodrami, rozległo się jeszcze kilka gwizdów.

- Co za skandal! - krzyknął znów margrabia. -I to w biały dzień! Ale czegoż się można spodziewać po Ravensbergu!

Wicehrabia złożył przed nim przesadnie głęboki ukłon.

- Spełniam publiczny obowiązek, sir! Dostarczam salonom tematów do konwersacji nieco ciekawszych niż pogoda i stan zdrowia angielskiego narodu.

- Coś mi się zdaje - rzekł rozbawiony Rush, kiedy margrabia odjechał sztywno wyprostowany, niczym uosobienie zgorszenia - że elegancki świadek weźmie cię zaraz na języki. Lepiej idź do White'a i każ sobie przyłożyć na oko okład z surowego mięsa. Ten obwieś nieźle cię urządził.

- Owszem, boli jak sto diabłów - przyznał wicehrabia. -No, ale trzeba mieć w życiu jakieś rozrywki! Dawaj koszulę, Farrington!

Rozejrzał się, odbierając odzież od przyjaciela, któremu przed bójką ją powierzył. Tłum już się rozchodził. Ravensberg uniósł brwi.

- Wystraszyłem chyba wszystkie damy, co? - Spojrzał ku Rotten Row, jakby spodziewał się tam wypatrzeć jakąś niewiastę.

- Toż to jak najbardziej publiczne miejsce - zaśmiał się Farrington -a ty byłeś goły do pasa.

- Ach - mruknął lekceważąco wicehrabia i wzruszył ramionami, biorąc od przyjaciela surdut - wiesz dobrze, że już i tak mam reputację rozrabiaki i tego poranka potwierdziłem ją należycie. - Nagle drgnął. - A co zrobimy z tymi dwoma obwiesiami, którzy tu leżą?

- Zostawmy ich, niech sobie pośpią - zaproponował lord Arthur. - Już i tak spóźniłem się na śniadanie, a twoje oko, Ravensberg, aż się prosi o opatrunek. Sam jego widok może odebrać apetyt.

- Masz tu, człowieku! - Wicehrabia, podnosząc przy tych słowach głos, wydobyl z kieszeni monetę i rzucił ją na trawę koło przeciwnika, który

właśnie odzyskiwał przytomność. - Ocuć swoich kompanów i zaprowadź ich do najbliższej piwiarni, nim konstabl zaprowadzi ich zupełnie gdzie indziej! Założę się, że jeden albo dwa kufle mocnego piwa pomogą wam poczuć się lepiej. I zapamiętaj sobie na przyszłość, że gdy dziewczyna mówi „nie”, znaczy to tylko „nie” i już. Przecież to całkiem proste! „Tak” znaczy „tak”, a „nie” oznacza „nie”.

- Niech... to... piekło... - wymamrotał mężczyzna, podtrzymując szczękę jedną ręką, a drugą sięgając po monetę. - Nawet nie spojrzę na żadną dziewczkę, wielmożny panie!

Wicehrabia roześmiał się głośno i wskoczył na konia, którego wodze trzymał Rush.

- Na śniadanie! - wykrzyknął. - I po krwisty befsztyk na moje oko. Prowadź, Rush!

Kilka minut później Hyde Park znów był eleganckim miejscem przechadzek ludzi z towarzystwa, a po skandalicznej bójce nie zostało śladu. Stała się ona kolejnym incydentem z długiej listy wybryków, z jakich Christopher Butler, wicehrabia Ravensberg, zwany Kitem, był, niestety, zbyt dobrze znany.



- Nawet nie wiesz, jak się cieszę z twojego towarzystwa, Lauren - rzekła kilka minut wcześniej księżna Portfrey do bratanicy. - Małżeństwo dało mi o wiele więcej radości, niż sądziłam, a Lyndon teraz, kiedy oczekuję rozwiązania, jest niezwykle troskliwy. Nie może jednak być przy mnie bez przerwy. Ogromnie ucieszyło nas, kiedy zgodziłaś się zostać tu aż do mego rozwiązania.

- Obydwie dobrze wiemy, Elizabeth, że to ty wyświadczasz mi grzeczność, a nie ja tobie. Nie mogłam już dłużej wytrzymać w Newbury Abbey - odrzekła z uśmiechem Lauren Edgeworth.

Lauren przebywała w Londynie od dwóch tygodni, lecz ani ona, ani Elizabeth nie wspomniały słowem o prawdziwym powodzie jej przyjazdu. Dotrzymanie towarzystwa księżnie spodziewającej się za dwa miesiące narodzin pierwszego dziecka było jedynie wygodną wymówką.

- Życie idzie naprzód, Lauren - westchnęła Elżbieta. - Nie chcę umniejszać twego zmartwienia ani rozwodzić się nad nim. Byłoby to okrucieństwem z mojej strony, zwłaszcza że nigdy nie przeżyłam czegoś, co można by porównać z twoimi cierpieniami, a w dodatku los się do mnie

uśmiechnął. Chociaż, kto wie, może pocieszysz cię to, że wychodząc zeszłej jesieni za Lyndona, miałam całe trzydzieści sześć lat!

Lauren była wdzięczna za te słowa pocieszenia.

Szły przez park, jak robiły to każdego ranka od przyjazdu Lauren, z wyjątkiem trzech dni, kiedy padało. Obszerne połacie murawy po obu stronach przywodziły na myśl wiejską okolicę, zupełnie jakby w sam środek wielkiego miasta przeniesiono w nienaruszonym stanie część angielskiej wioski.

Zbliżały się już do Rotten Row. Gdy dwa tygodnie temu Lauren miała odwiedzić to miejsce po raz pierwszy, nie kryła obaw. Co prawda rankiem nie przypominało ono wytwornej tłocznej promenady, lecz ona i tak obawiała się, że zobaczy ją zbyt wiele osób. Czuła, że nigdy nie zdobędzie się na odwagę, by, po tak katastrofalnym dla jej reputacji roku, zacząć pokazywać się w towarzystwie.

Rok temu większość londyńskiej śmietanki zjechała do Newbury Abbey w hrabstwie Dorset, by asystować przy zaślubinach Lauren i Neville'a Wyatta, hrabiego Kilbourne. W wigilię ślubu odbył się wielki bal, podczas którego Lauren nie mogła odpędzić od siebie uczucia, że ten związek nie da jej szczęścia. Ślub miał się odbyć w wiejskim kościele. Wypełniało go po same brzegi najlepsze towarzystwo. Jednak gdy Lauren, wsparta na ramieniu dziadka, stanęła na progu nawy, pojawiła się tam niespodziewanie pierwsza żona Neville'a, uważana przez niego za zmarłą.

Lauren przyjechała do Londynu wiosną, nie mogąc dłużej znieść życia w domu owdowiałej hrabiny, mieszkającej z Gwen, siostrą Neville'a, podczas gdy on i jego Lily mieszkali w opactwie, zaledwie o dwie mile dalej. Nie miała się niestety gdzie podziać. Odkąd jej matka wyszła za brata zmarłego hrabiego i wyruszyła z nim w podróż poślubną, z której nigdy nie powrócili, Lauren żyła w Newbury Abbey wraz z Neville'em i Gwen. Przyjęła więc listowne zaproszenie Elizabeth z ogromną wdzięcznością. Miała nadzieję, że gdy Elizabeth urodzi dziecko, nie będą się udziały towarzysko. Nie wiedziała jednak, że kuzynka uwielbia przechadzki po parku.

- Ojej! - wykrzyknęła księżna, kiedy doszły do miejsca, skąd widać już było Rotten Row - a cóż to za tłum? Czyżby ktoś zasłabł albo może spadł z konia?

Na trawniku koło ścieżki, którą szły ku Rotten Row, pełno było koni i ludzi. W większości, jak się zdawało Lauren, mężczyzn. Gdyby ktoś został ranny, kobiety mogłyby się na coś przydać, jako istoty znacznie praktyczniejsze od mężczyzn. Obydwie przyspieszyły więc kroku.

- Och, to także głupie z mojej strony, ale nagle przypomniałam sobie, że Lyndon wybierał się dziś rano na przejażdżkę. Czy nie sądzisz, że...

- Nie, Elizabeth. To nie wypadek. Oni wiwatują!

Księżna chwyciła Lauren za ramię, o mało nie parsknąwszy śmiechem.

- Przecież to bójka! - wykrzyknęła. - Lepiej przejdźmy koło nich jak najprędzej, udając, że nic nie widzimy.

- Bójka? - zdumiała się Lauren. - W publicznym miejscu? W biały dzień? Nie wierzę.

Jednak Elizabeth miała rację. Gdy podeszły bliżej, Lauren przekonała się o tym na własne oczy, ale nie mogła już odwrócić wzroku i oddalić się pospiesznie.

Wkrótce panie ujrzały trzech mężczyzn i czwartego, rozciągniętego na trawie. Dwóch było nędznie odzianymi parweniuszami, lecz to na trzecim zatrzymały się oczy Lauren przez kilka przerażających sekund. Przykucnął, gotowy do ataku, zachęcając tamtych do bójki. Najbardziej jednak zaszokował ją jego ubiór, a raczej prawie zupełny brak odzienia. Miękkie buty z cholewami i obcisłe skórzane spodnie do konnej jazdy świadczyły o tym, że to dżentelmen. Od pasa w górę był jednak nagi. A na dodatek pięknie zbudowany.

Nim Lauren odwróciła oczy, zmieszana i zarumieniona, zdążyła dostrzec, że mężczyzna ma jasne włosy, przystojną twarz i że się śmieje. Mimo zgiełku do jej uszu dotarły słowa:

- Chodźcie no tu, podłe dranie!

Lauren gorąco zapragnęła, oblewając się rumieńcem, by Elizabeth nie usłyszała słów półnagiego mężczyzny ani go nie dostrzegła. Czuła się zażenowana, jak nigdy dotąd.

Elizabeth była jednak wyraźnie rozbawiona.

- Biedny lord Burleigh! Wygląda, jakby zaraz miała go trafić apopleksja. Dziwię się, dlaczego po prostu nie odjedzie! Mężczyźni są czasem tacy głupi, Lauren. Byle sprzeczka musi się skończyć walką na pięści.

-Elizabeth... - Lauren była szczerze zgorszona. - Czy widziałaś?... Czy słyszałaś?... — wyjąkała.

- Jakże mogłabym nie słyszeć! - Elizabeth wciąż chichotała.

Nim jednak zdążyły powiedzieć coś jeszcze, skłonił się przed nimi wysoki, przystojny brunet i każdej podał jedno ramię.

- Dzień dobry! - przemówił. - Cóż za wspaniały ranek, prawda? Jest wyjątkowo ciepło jak na tę porę roku. Mam nadzieję, że pozwolą panie odprowadzić się do Rotten Row?



Joseph Fawcitt, margrabia Attingsborough, był kuzynem hrabiny Kilbourne. Lauren zdała sobie sprawę, że stara się zabrać je z tego miejsca. Z wdzięcznością przyjęła jego ramię. Okazał się jedynym prawdziwym dżentelmenem, pomyślała. Pozostali mężczyźni pochłonięci byli obserwowaniem bójki.

- Josephie, bycie damą jest czasem takie kłopotliwe - westchnęła Elizabeth. - Damy nie mogą oczywiście zapytać, kto się bije i dlaczego.

Fawcitt uśmiechnął się niewinnie.

-A ktoś się bije? -No właśnie!

- Ja wcale nie chcę tego wiedzieć! - gorliwie zapewniła Lauren. Ciągle jeszcze rumieniła się na samą myśl o półnagim mężczyźnie i o tym, co mówił.

- Mama wybiera się dziś wieczorem na Grosvenor Square i ma pewne zamiary co do pani, ostrzegam! - zwrócił się do niej Joseph z wesołym błyskiem w oku.

Pewnie jakiś raut, koncert lub bal. Tak trudno było przekonać ciotkę Sadie, księżnę Anburey i matkę Josepha, że Lauren wcale nie ma ochoty pokazywać się na imprezach sezonu... A że córka księżnej, lady Wilma Fawcitt, zaręczyła się z hrabią Suttonem, nim jeszcze sezon rozpoczął się na dobre, ciotka Sadie zamierzała zabrać się za swatanie Lauren.

Joseph mówił jeszcze coś do Elizabeth, gdy Lauren, wbrew sobie, spojrzała przez ramię. Chwilę wcześniej usłyszała donośne wiwaty. Awantura się skończyła i ludzie powoli się rozchodzili, mogła więc zobaczyć, że dżentelmen z nagim torsem wciąż tam stoi. Przedtem była zaszokowana, teraz oniemiała, ponieważ on tulił kobietę; prawym ramieniem objął ją w talii i całował! I to w obecności kilkudziesięciu gapiów!

Nagle podniósł głowę i jego roześmiane oczy napotkały jej zdumione spojrzenie.

Poczuła, że znów oblewa się rumieńcem.



- Wyglądasz na bardzo przygnębionego, Ravensberg - stwierdził lord Farrington następnej nocy, podchodząc do kredensu i ponownie napełniając winem kieliszek. - Cóż tak oklapł? Pewnie dokucza ci oko. Z czarnego stało się fioletowe, a z fioletowego - żółte. Nie mówiąc już o tej czerwonej szparce, przez którą na nas patrzysz.

- Przez to twoje oko ledwie zdołałem przełknąć dziś rano cynaderki...  
Czekaj, a może to było wczoraj rano? - mruknął lord Arthur.

- Gdybym miał pewność - odezwał się Charles Rush - że ten kominek nie runie, kiedy przestanę go podpierać, to też bym sobie nalał jednego. Do licha, która godzina?

- Wpół do piątej. - Farrington zerknął na zegar tuż ponad głową przyjaciela.

- Do diaska! - zawołał Rush. - Gdzież się podziała ta noc?

- Tam, gdzie wszystkie inne - ziewnął lord Arthur. - Czekaj no, zdaje się, że wieczorem byłem na raucie u mojej ciotki. Wynudziłem się setnie, ale wiecie, obowiązek rodzinny i tak dalej. Nie zabawiłem tam długo. Ciotka upewniła się, że nie ma ze mną Ravensberga, a potem palnęła mi kazanie, z kim to się niby zadaje, i biadała, że zepsuję sobie reputację, przestając z ludźmi powszechnie uważanymi za utracjuszy. Oznacza to, że powinienem trzymać się od ciebie jak najdalej, jeśli wiem, co jest dla mnie dobre.

Kompani powitali ten żart potężnym wybuchem śmiechu. Nie śmiał się jedynie Kit; rozparty niedbale w głębokim fotelu przy kominku, w swoim kawalerskim mieszkaniu na St. James, wpatrywał się bezmyślnie w dogasające węgle.

- Już nie będziesz musiał dłużej ulegać mojemu złemu wpływowi. Zostałem wezwany do Alvesley.

Farrington sączył powoli wino.

- Twój ojciec cię wezwał? Redfield we własnej osobie? Czy to rozkaz?

- Jak najbardziej. - Kit pokiwał wolno głową. - W lecie ma tam być wielka feta z okazji siedemdziesiątych piątych urodzin mojej babki.

- Stara kwoka, co, Ravensberg? - mruknął Rush współczująco. - Jak myślisz, czy ten kominek nie runie, gdy przestanę go podpierać?

- Zalałeś się w pestkę, stary - orzekł Arthur. - To twoje nogi się pod tobą załamią, nie kominek!

- Zawsze miałem do staruszki sentyment - oznajmił Kit - i ojciec dobrze o tym wie. A niech to, Charlesie, spójrz tylko, twój kieliszek wciąż jest jeszcze do połowy pełny.

Zaskoczony Rush zerknął na kieliszek trzymany w ręce i wychylił go do dna.

- Stanowczo muszę iść do łóżka, jeśli tylko zdołam tam jakoś dotrzeć.

- Jak Boga kocham - mruknął Kit, wciąż ponuro wpatrzony w wygasłe węgle - stanowczo muszę się ożenić.

- Na razie połóż się do łóżka - poradził mu Arthur - i prześpij się. Rankiem nie będziesz już pamiętał o takich pomysłach, gwarantuję ci to.

- Mój ojciec pragnie ofiarować babce prezent urodzinowy w postaci zaręczyn swego dziedzica.

- O, do licha, to zostałeś dziedzicem? Masz szczęście, chłopie!

- Niech zaraza porwie wszystkich ojców! - rzucił gniewnie Farrington. - Czy już ci wybrał żoneczkę?

Kit zaśmiał się i wsparł obydwie dłonie na poręczach fotela.

- A jakże. Razem ze schedą mam odziedziczyć narzeczoną mego zmarłego brata.

- Co to za jedna, u diabła? - Rush, zapominając, że jest wstawiony, poderwał się z fotela bez niczyjej pomocy.

- Siostra Bewcastle'a.

- Bewcastle'a? Księżcia Bewcastle? - upewnił się Arthur.

- Ojciec zmusił mnie, żebym wystąpił z wojska i opuścił Półwysep. Ja z kolei wymogłem na nim, bym mógł teraz, po blisko trzech latach, wrócić do Alvesley, choć kiedy byłem tam po raz ostatni, wygnał mnie na zawsze. A co do tego urodzinowego prezentu, na Boga, rozwiązę ją po swojemu! Przywiozę ze sobą narzeczoną, którą sam sobie wybiorę, a ożenię się z nią, nim wyruszę. Ojciec nie będzie miał wtedy nic do powiedzenia. Chociaż mocno mnie kusi, żeby wybrać sobie jakąś nader pospolitą pannicę, nie postąpię w ten sposób, bo ojciec tego właśnie się po mnie spodziewa. Nie, upatrzę sobie osobę o nieskazitelnej reputacji. Dokuczy mu to bardziej niż cokolwiek innego, bo nie będzie mógł na nią kręcić nosem. Ma być bezbarwna, godna szacunku, powściągliwa, słowem, chodząca doskonałość! - mówił ze złośliwą satysfakcją.

Przez dłuższą chwilę przyjaciele patrzyli na niego w milczeniu, zafascynowani jego słowami. W końcu Farrington odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

- Ty... ty zamierzasz poślubić bezbarwną, godną szacunku kobietę? Tylko po to, żeby zrobić za złość ojczulkowi?

- Co za bzdurny pomysł - zachnął się Rush, desperacko usiłując prostą drogą dojść do kredensu - przecież to ty będziesz ją miał na karku do końca życia, a nie twój ojciec. Szybko się przekonasz, że jej nie zniesiesz, gwarantuję ci. Z pospolitą dziewczką mógłbyś sobie przynajmniej użyć.

- Cała rzecz w tym, że kiedyś, niestety, trzeba się ożenić - westchnął Kit, przykładając dłoń do obolałego oka. - Zwłaszcza kiedy śmierć starszego brata czyni kogoś dziedzicem hrabiowskiego tytułu, rozległych włości i na dodatek wielkich pieniędzy. Trzeba spełnić obowiązek, spłodzić dziatki i tak dalej. Któż się do tego lepiej nada niż bezbarwna, cnotli-

wa niewiasta, która sprawnie i bez żadnych fochów potrafi poprowadzić dom, a także wywiązać się z zadania, obdarzając cię spadkobiercą fortuny oraz kilkorgiem potomków?

- Ale temu planowi stoi na przeszkodzie coś ważnego, Ravensberg. -Farrington parsknął nagle śmiechem, lecz po chwili ciągnął dalej. - Jaką cnotliwa kobieta cię zechce? Owszem, jesteś diabło przystojny, przynajmniej sądząc ze spojrzeń, jakie posyła ci płeć piękna. Rzecz jasna masz także tytuł i pomyślne widoki na przyszłość. Odkąd jednak wystąpiłeś w wojska, zyskałeś sobie opinię niezłego szalaławy.

- Delikatnie mówiąc - mruknął w kieliszek Arthur.

- Co, aż tak źle? W jakże nudnym świątku żyjemy! Ale, do licha, ja mówię poważnie. No i jestem spadkobiercą Redfielda, co powinno przeważać nad wszystkimi innymi względami, gdy tylko ludzie nabiorą przekonania, że całkiem poważnie szukam sobie żony.

- Owszem, to prawda - przyznał Rush, sadowiąc się w fotelu po ponownym napełnieniu kieliszka. - Niekoniecznie jednak takiej żony, jaka ci się marzy, przyjacielu. Rodzice z zasadami i z córkami na wydaniu wystrzegają się jak ognia mężczyzn, którzy wdają się w bójki ze śmierzdzącymi prostytutkami, a potem obcałowują dziewczyny od mleka rozebrani do pasa, i to na oczach całej rzeszy świadków. Tacy rodzice trzymają się też jak najdalej od ludzi zakładających się, że przejadą kariolką wzdłuż wszystkich eleganckich klubów na St. James w towarzystwie dwóch wypacykowanych lafirynd.

- W czym mogę wybierać? - zastanawiał się Kit, ignorując słowa przyjaciela. - Zaczął się właśnie sezon i do Londynu na pewno ściągnęły całe tłumy dziewcząt z nadzieją, że złapią męża. Któraż z nich jest najbardziej bezbarwna, pruderyjna i cnotliwa? Przecież wy wiecie to lepiej ode mnie. W końcu wszyscy bywacie tam, gdzie się bawi dobre towarzystwo.

Przyjaciele Kita potraktowali rzecz poważnie. Każdy wymienił kilka nazwisk, które jednak z najrozmaitszych powodów zostały odrzucone.

- No, jest jeszcze panna Edgeworth - rzekł wreszcie Arthur, kiedy zaczęli się już obawiać, że wyczerpali wszystkie pomysły. - Co prawda nie należy do najmłodszych...

- Panna Edgeworth? - powtórzył Farrington. - Ta z Newbury Abbey? Niedoszła żona hrabiego Kilbourne? Ach, moja siostra była na tym ślubie. Stał się największą sensacją roku! Pan młody czekał przed kościołem, panna młoda stała już w kruchcie, gotowa do uroczystego wejścia, gdy nagle pojawiła się obdarta kobieta, wołając, że jest zaginioną żoną

Kilbourne'a, co okazało się niestety prawdą. Jeśli wierzyć Maggie, a ona nie ma zwyczaju przesadzać, nieszczęśnica zmykała stamtąd, aż się za nią kurzyło. Czy ta dziewczyna jest teraz w Londynie, Kellard?

- Zatrzymała się u Portfreyów - poinformował Arthur. - Księżna to, jak wiadomo, ciotka Kilbourne'a. Pannę Edgeworth łączą z nią zresztą różne inne koneksje.

- Owszem, słyszałem, że tu przyjechała - potwierdził Rush. - Nie pokazuje się jednak zbyt często. Portfreyowie i mnóstwo innych krewniaków bronią do niej dostępu. Założę się mimo tego, że dumają, jakby ją tu dyskretnie, a korzystnie wydać za mąż. - Zaśmiał się. - Na pewno taka z niej cnotliwa nudziara, że się przy niej ziewa. Nie zechcesz jej, Ravensberg.

- Nawiasem mówiąc - tu Arthur nieświadomie podbił stawkę późniejszego zakładu ~ nie dostaniesz jej, nawet gdybyś chciał. Wszyscy krewni, Portfreyowie, państwo Anbureyowie, Attingsborough, będą ją trzymali z daleka od kogoś z twoją reputacją. A gdybyś nawet zdołał zmylić strażę, sama panna potrafi do siebie zniechęcić. Idę o zakład, że zmrozi cię z miejsca. Nie jesteś z tych, których krewniacy chcieliby widzieć w roli jej męża, a ona chyba też nie. Musimy pomyśleć o kimś innym. Dlaczego ty się uparłeś, żeby...

Kit przestał wreszcie wpatrywać się w kominek i zwrócił ku nim rozradowaną twarz.

- A może chcecie się założyć? - spytał, przerywając kompanom w pół zdania. - Bo jeśli tak, to nie uda wam się mnie zniechęcić. Mówicie, że będą mnie trzymali na dystans, bo jestem hultajem, przed którym trzeba za wszelką cenę chronić niewinny, nieco przywiędły kwiatusek? Że panna zmrozi mnie samym spojrzeniem, bo jest dziewicą, a ja - wcieleniem zepsucia? Tam do licha, zdobędę ją! - Kit uderzył w poręcz fotela otwartą dłonią.

Farrington wybuchnął szczerym śmiechem.

- Czuję, że zakład wisi w powietrzu. Stawiam sto gwinei, że ci się nie uda.

- I ja - dodał Arthur. - To istna góra lodowa, Ravensberg. Zeszłego tygodnia ktoś, choć za Boga nie pamiętam kto, porównał ją do marmurowego posągu, tylko że ona jest jeszcze zimniejsza.

- Ja też zaryzykuję setkę - odezwał się Rush. - Choć pewnie zrobiłbym lepiej, nie zakładając się, gdy w grę wchodzi Ravensberg. Wywahał ją już Brinkley, który wciąż szuka nowej matki dla swej osieroconej dzieciarni. Od niego usłyszałem, że Edgeworth jest w Londynie. Teraz to sobie przypomniałem. Powiedziała mu prosto w oczy pewnego ranka,

gdy tylko poruszył temat mariażu - wyobraźcie sobie, spotkał ją na spacerze koło Rotten Row - że wcale nie ma zamiaru wychodzić za mąż. No i biedak uwierzył. Najwyraźniej nie okazała się typem damy, w której słowa można wątpić. Właśnie wtedy przyszedł mu do głowy ten koncept marmurowej statui. A zważ, Ravensberg, że Brinkley to ktoś o doskonałej opinii.

- A ja nie - mruknął Kit. - Zgoda, wygram trzysta gwinei i dam po nosie ojczulkowi! Umowa stoi. Czy możemy ustalić termin na... powiedzmy... koniec czerwca, kiedy będę musiał wyjechać do Alvesley? Ślub nastąpi trochę wcześniej. Rzecz jasna, ślub panny Edgeworth i waszego uniżonego sługi.

- Krócej niż w sześć tygodni? Zrobione! - Farrington poderwał się z fotela. - No, a teraz idę do łóżka, jeżeli zdołam tam trafić bez niczyjej pomocy. Chodź, Rush, chętnie zaprowadzę i ciebie. Na twoim miejscu, Ravensberg, zacząłbym grę najwcześniej za tydzień. Każda starannie wychowana niewiasta zemdleje na widok tego oka. Daje ci to razem jakieś pięć tygodni. - Własny żart rozbawił go niezmiernie.

- A zatem żenisz się z panną Edgeworth w końcu lipca - podsumował Arthur i dołączył do towarzyszy. - Nie uda ci się, Ravensberg. Nawet tobie. Zwłaszcza tobie. To będzie najłatwiej zyskane sto gwinei w tym roku. Tylko że, oczywiście, musisz podjąć jakieś działania!

- Bez wątpienia. - Kit pokazał w szerokim uśmiechu wszystkie zęby. - I powiedz mi się. Od czego zacząć kampanię? Jakie fety mają się odbyć w najbliższym tygodniu?

- Bal u lady Mannering - odparł Farrington po chwili namysłu. - To zawsze jedna z największych atrakcji sezonu. Wszyscy się tam zjawiają, ale akurat miss Edgeworth może nie przyjść. Nie widziałem jej na żadnym innym balu czy zabawie. Co prawda mogłem nie wiedzieć, że to ona, lecz ktoś i tak by mi ją wskazał, bo wciąż jest jeszcze nowa w towarzystwie.

- A więc do zobaczenia na balu lady Mannering. - Kit podniósł się z fotela, chcąc pożegnać przyjaciół. - Ale jak się dowiem, która to? Czy to piękność, czy może brzydactwo?

- Sam się musisz przekonać, Ravensberg - orzekł stanowczo Farrington. - Mogłaby nawet wyglądać jak maskara. Zasłużyłeś sobie!

## 2

Lauren poszła na bal do lady Mannering z księciem i księżną Anburey oraz margrabią Attingsborough. Z początku bardzo się opierała, lecz w końcu uległa, choć zdawała sobie dobrze sprawę, że będzie tam prawie cały *beau monde*. Postanowiła pójść tylko ze względu na własną dumę.

Przyjechała przecież do Londynu na sezon i należy do dobrego towarzystwa.. Gdyby nadal upierała się przy życiu w odosobnieniu i dotrzymywaniu towarzystwa Elizabeth, mogłoby to nasunąć ludziom podejrzenie, że boi się pokazać publicznie, że się lęka wyszydzenia czy wyśmiania. I rzeczywiście bała się tego śmiertelnie, lecz przeważyła świadomość, iż jest damą. A damy nie unikają towarzystwa tylko dlatego, że czują się nieatrakcyjne i niechciane. Damy nie użalają się nad sobą.

Zdobyła się więc na odwagę, żeby pojawić się w jednym z bardziej ulubionych miejsc zabaw dobrego towarzystwa - londyńskiej sali balowej. Chciała tam pójść z wysoko podniesioną głową i stawić czoło złym mocom, które uwzięły się na nią od czasu strasznego poranka w kościele Newbury. Chciała pozostać w Londynie aż do porodu Elizabeth - księżę zabrał bowiem żonę do stolicy, żeby miała na podorędziu najlepszych lekarzy - potem zaś zrobić to, czego, jak uważała, naprawdę pragnie, a mianowicie zebrać swoją skromną fortunę i osiąść gdzieś na stałe, może w Bath, pędząc tam spokojne życie w niewielkim gronie przyjaciół. Przecierpi jakoś ten bal, żeby nikt nie mógł zarzucić jej tchórzostwa.

Karoca ozdobiona herbem księcia Anbury stanęła w rzędzie innych powozów przed pałacem Manneringów na Cavendish Square. Wszystkie okna były rzęsiście oświetlone. Światło biło też z dwuskrzydłowych drzwi, szeroko teraz otwartych, i rzucało blask na czerwony chodnik, pokrywający schody aż po sam bruk. Nawet mimo parskania koni, tętentu kopyt i łoskotu kół Lauren mogła dosłyszeć radosny gwar powitań i śmiechów.

W tej chwili dotkliwej udręki uświadomiła sobie, jak bardzo się zmieniła podczas tych czternastu miesięcy, które upłynęły od balu przed jej ślubem. Wtedy czuła się swobodnie, była pewna własnej wartości i swego miejsca w *beau monde*. Nadszedł już czas, by zajęła je ponownie, co prawda nie jako żona Neville'a i hrabina, lecz jako panna Lauren Edgeworth. Uniosła podbródek, a ten nieświadomie arogancki gest skrywał szczerą chęć, żeby wyskoczyć z powozu, a potem biec, biec, póki Caven-

dish Square, Mayfair, Londyn i jej skołatana dusza nie zostaną daleko z tyłu.

Nadeszła ich kolej. Lokaj otworzył drzwiczki karety i opuścił schodki. Mężczyźni wysiedli pierwsi. Wuj Webster, pomagając ciotce Sadie, podał jej rękę, a z kolei Joseph ofiarował swoją Lauren. Przyjęła ją i wkroczyła na czerwony chodnik, pamiętając o właściwej postawie i wyrazie twarzy. Wiedziała, że wygląda znakomicie. Suknię uszyła jej, specjalnie na tę okazję, krawcowa księżnej, a sama Elżbieta pomagała wybrać tkaninę, fason, jak też ozdoby. Wyborny gust księżnej Portfrey był powszechnie znany, jej własny - również.

Uśmiechnęła się, gdy wuj i ciotka podeszli do drzwi, a potem położyła dłoń na rękawie Josepha.

- Och, Lauren - mruknął zadowolony i nie tylko odwzajemnił jej uśmiech, ale nawet do niej mrugnął. - Wyglądasz jak królowa, ale jesteś piękniejsza od każdej królowej na tym świecie.

- A ile ty właściwie królowych widziałeś? - spytała, unosząc przód sukni wolną ręką i wchodząc z wdziękiem na stopnie prowadzące do załoczonego, jasno oświetlonego holu. Stłumiła paniczny strach, że zapomniała o czymś ważnym.

- Hm, pozwól, niech sobie przypomnę. - Joseph udał, że zastanawia się nad odpowiedzią. - No, tylko jedną, naszą królową Charlotte. Naprawdę jesteś sto razy ładniejsza.

- Mów ciszej, bo jeszcze zetną ci głowę za obrazę majestatu, jeśli ktoś to usłyszy! - Uśmiechnęła się jednak z wdzięcznością. Joseph dobrze wiedział, że serce podchodzi jej ze strachu do gardła, i robił, co mógł, by ją rozbawić.

Podprowadził ją do schodów, po których wolno wchodził cały rząd gości. Lauren wzięła głęboki oddech i starała się nie patrzeć na otaczające ją twarze. Iluż z tych ludzi było świadkami jej upokorzenia w Newbury?

Lauren szybko stwierdziła, że dobre wychowanie to wspaniała rzecz. Wyprostowała się, z uśmiechem pokonała schody i weszła do sali balowej pełnej gości.

Spróbowała skupić uwagę na wspaniałym wystroju wnętrza oświetlonego setkami świec, osadzonych w trzech wielkich, kryształowych żyrandolach i wielu kinkietach, a także na obfитоści kwiatów o pastelowych barwach i delikatnym zapachu. Usiłowała również, co jej się udało, patrzeć spokojnie prosto w oczy innych gości, witając tych, których rozpoznała uprzejmym skinieniem głowy.

Niestety, jej własna rodzina nie pozwoliła Lauren cieszyć się z tego wieczoru, choć powodowała nimi życzliwość. Nim wkroczyła do sali,



wciąż wsparta na ramieniu Józefa, Wilma i lord Sutton wyszli im naprzeciw, prowadząc szczupłego młodzieńca, całego w ukłonach, i od razu przedstawili go Lauren. Pan Bartlett-Howe skwapliwie zarezerwował sobie drugi taniec, uznając za rzecz poza dyskusją, że margrabia Attingsborough zatańczy z nią pierwszy. Już po minucie czy dwóch lord Sutton, który na chwilę odszedł, powrócił z jeszcze jednym dżentelmenem, ten zaś aż się palił, żeby zarezerwować dla siebie trzeci taniec.

Najwidoczniej rodzina, w obawie, by Lauren podczas pierwszego po długiej przerwie balu nie podparła ścian, strawiła ostatnie kilka dni na wyszukiwaniu dla niej partnerów, a może nawet wielbicieli!

Zaledwie przed rokiem była w centrum zainteresowania, tańczyła na swoim balu przedślubnym, podziwiana i godna zazdrości narzeczona hrabiego Kilbourne'a. Tego zaś wieczoru była podstarzałą, przywidłą pięknoscią, której groziło staropanieństwo i trzeba było szukać jej partnerów. To przynajmniej rodzina dawała jej do zrozumienia.

Lauren poczuła się upokorzona. Nawet okazywana jej przez Josepha uprzejmość była tylko uprzejmością i niczym więcej.

Uśmiechnęła się i złożyła wachlarz. Powoli i z wdziękiem.

Gdy Kit i lord Farrington przybyli na Cavendish Square, bal trwał już od jakiegoś czasu. Był to jednak jasny, księżycowy wieczór, niezwykle ciepły jak na połowę maja, i frontowe drzwi wciąż stały otworem. Pogodny gwar rozmów i śmiechy słychać było aż na schodach. Z sali balowej dobiegał żwawy kontredans.

- Co za ścisk. - Z tymi słowami Kit oddał elegancką wieczorową pelerynę i jedwabny kapelusz lokajowi w liberii i peruce, po czym spojrzął w głąb holu, nie kryjąc zaciekawienia. - Czy sądziłeś, że będzie tu taki tłok, Farrington?

- Tak, przyszło więcej ludzi, niż się spodziewałem... - Farrington również oddał służbie wierzchnie okrycie i poprawił węzeł fulara. - Lepiej wejdźmy i poszukajmy jej.

Kit skłonił się uprzejmie kilkorgu znajomym, głównie mężczyznom, po czym wkroczyli na schody. To był jego pierwszy bal od powrotu z Lizbony, choć nie mógł sobie dokładnie przypomnieć, ile czasu upłynęło. Oczywiście zapraszano go kilkakrotnie również w Londynie. Jego dzikie wyskoki mogły co prawda wywoływać powszechne zgorzelenie i wzbu-

dzać nieufność rodziców młodych panien, ale co Ravensberg, to Ravensberg! Kit był przecież dziedzicem fortuny hrabiego Redfielda. Trwał sezon, wielkie matrymonialne targowisko, kiedy każdego, kto był dobrą partią, zapraszano prawie wszędzie.

- Jesteś pewien, że przyszła? - spytał, gdy stanęli na szczycie schodów i zmierzali ku sali balowej. Tłum zgęstniał, zrobiło się też głośniejsze. Kit poczuł, że jest mu coraz goręcej; owionął go mocny zapach kwiatów zmieszany z wonią kosztownych perfum.

- Najzupełniej. - Farrington przystanął na progu sali i rozglądał się powoli. - Sutton mówił, że przyjdzie, a on powinien wiedzieć to bez pudła, zaręczył się przecież z lady Wilmą Fawcitt. Rzecz jasna, mogła źle się poczuć, złamać nogę albo po prostu zmienić zdanie. O, to chyba ona. - Uniósł szklę do oczu.

- Widzisz ją? - dopytywał się Kit.

Po raz pierwszy od lat pokazał się na tak ważnym balu, bez wątpienia więc zwracał na siebie uwagę. Wielu z gości, którzy akurat nie tańczyli, spoglądało z zaciekawieniem w jego stronę. Lornetki i szklę uniosły się do badawczych oczu. Głowy nachylały się ku sobie, wymieniano szepem uwagi. Kilka młodych dam rzuciło mu ukradkowe spojrzenie, szczególnie te, które wiedziały, kim jest: oto idzie ten skandalista, osławiony lord Ravensberg! Kit niewiele sobie jednak robił z tego, co inni o nim myślą lub mówią, i dzisiejszego wieczoru było tak samo.

- O, urocza panna Merklinger - mruknął Farrington, patrząc przez szklę na jedną z tancerek. - Cała w dołeczkach i złocistych lokach. A ten de kolt!

Rozbawiony Kit przyglądał się ślicznotce długo i uważnie.

- Ma najwyżej osiemnaście lat. Stanowczo nie powinienes się nią interesować.

- No tak - westchnął Farrington. - Wielka szkoda. Co za powabna dziewczę! No, a teraz szukajmy panny Edgeworth. - Nadal z uwagą lustrował salę. Taniec właśnie się skończył, tancerze rozproszyli się i zmieszali z gośćmi siedzącymi pod ścianami.

- Kellard pokazał mi ją w parku jakieś trzy czy cztery dni temu - odezwał się Farrington. - Jestem prawie pewien, że potrafię ją rozpoznać.

- Ale nie przedstawiono ci jej, więc jak mnie z nią zapoznasz?

- Nie będę ci niczego ułatwiał. Przypominam ci, że chcę wygrać zakład. A oto i ona! Stennson właśnie odprowadza ją do pana Attingsborough. Co za pech, chłopie. Również Anburey i jego księżna tkwią przy niej. Strzegą jej niczym strażnicy więzienni!

- Co, Stennson? Ten kościany dziadek? - Kit spojrział tam, gdzie pa trzył Farrington. I George Stennson, i margrabia Attingsborough byli mu znani, szybko więc dostrzegł ich w tłumie. Starszą wiekiem parą stanowili z pewnością książe i księżna. A dama stojąca między dwoma dżentelme nami musiała być kobietą, dla której tu przyszedł. Uniósł szkła do oczu.

Mógł dojrzeć, że jest raczej wysoka i wysmukła, lecz jej kształty nie są pozbawione miękkości. Był pewny, że pod suknią aż do ziemi o wysokim stanie kryją się długie, zgrabne nogi. Postawę miała wdzięczną, a łuk pleców aż prosił się o to, by męska dłoń objęła ją w pasie. Ciemne włosy lśniły w świetle świec, upięte wysoko i podtrzymywane przez dwie klamry wysadzone drogimi kamieniami. Twarz miała owalną, silnie zarysowane kości policzkowe, prosty nos i duże oczy; z miejsca, w którym stał, nie mógł dostrzec ich koloru. Nosila elegancką, modną suknię z błyszczącego atlasu w ciemnofioletowym kolorze, srebrne rękawiczki i pantofelki, a w ręku trzymała liliowy wachlarz.

Była prawdziwą pięknoscią. Kit o mało nie gwizdnął z podziwu. Rozmawiała wprawdzie z krewnymi, lecz jednocześnie wachlowała się i rozglądała po sali. Przez chwilę uśmiechała się, co Kita mile zaskoczyło, bo nie potwierdzało opinii o marmurowym posągu. Zauważył jednak, że wyraz jej twarzy prawie się nie zmienia. Uderzyła go myśl, że może jest to nie tyle uśmiech, co wyraz wyniosłego lekceważenia. Klejnot czystej wody - mruknął, opuszczając szkła.

- Owszem - przytaknął Farrington. - I niezdojta forteca, jeżeli kie dyś taką widziałeś, Ravensberg. Patrzy na ludzi, jakby nikt nie był wart jej względów prócz jednego może króla. - Najwyraźniej ubawił go własny koncept.

Tylko że - powiedział wolno Kit, spoglądając na gospodynię balu, która właśnie się do nich zbliżała -ja mam nieuleczalną słabość do niezdojtych fortec.

- Witajcie, panowie! - Lady Mannering z wdziękiem podała każdemu z nich dłoń w długiej rękawicze. - Jak to miło, że zechcieliście przyjść. Ale przybycie tak późno to prawdziwe zuchwalstwo. Nie macie pojęcia, jakim kłopotem jest dla mnie zapewnienie wszystkim młodym damom partnerów do pierwszego tańca. Każdy wytworny młody dżentelmen sądzi, że spóźnianie się jest w dobrym tonie! - westchnęła.

- Ależ, madame, ja wcale nie przyszedłem tu z zamiarem obtańcowywania młodziutkich dziewcząt - odparł Farrington z rozbrajającym uśmiechem. - Miałem nadzieję, że będę mógł tańczyć przede wszystkim z panią.

Lady Mannering roześmiała się, uderzając go energicznie po ręce złożonym wachlarzem.

- Co za zuchwalec! Zasluguje pan na to, żeby przez cały wieczór tań-  
czyć tylko ze mną. A jak udało się panu ściągnąć tu lorda Ravensberga?  
Sądziłam, że powozi właśnie swoją kariolką w Brighton i ma wiele cie-  
kawszych zajęć niż bywanie na balach. Uważam za wielki sukces, że  
mogę gościć u siebie tak sławną osobistość. - Złożony wachlarz wylądo-  
wał tym razem na ramieniu Kita, który schylił głowę w ukłonie.

Nie mogłem się oprzeć zaproszeniu wystosowanemu przez jedną z naj-  
bliższych przyjaciółek mojej matki.

- Ależ ja nie widziałam jej od lat - przyznała szczerze lady Mannering.  
Odkąd przepadła na wsi. Pozwólcie, niech wam obydwu znajdę tancerki.  
Choć będę mile zaskoczona, jeśli wszystkie troskliwe mateczki nie  
uciekną stąd razem z córkami, gdy tylko ujrzą, że zaszczycił mnie swoją  
obecnością osławiony wicehrabia Ravensberg.

- A może - tu Kit zdobył się na wyjątkowo ujmujący uśmiech - przed-  
stawi mnie pani miss Edgeworth z Newsbury? Brwi lady Mannering  
podjechały do góry.

Chyba są tu jakieś młodsze damy, o wiele od niej atrakcyjniejsze i  
stosowniejsze dla tak zuchwałych partnerów! Poza tym to raczej krewni  
wybierają jej tancerzy dziś wieczorem. Skoro jednak takie jest pańskie  
życzenie...

Owszem, madame. - Kit skłonił się jeszcze raz.

- A czy pańskie również? - spytała Farringtona.

- Dziękuję, milady, ale widzę tu kilka znajomych dam, którym winien  
jestem względy. Gdyby nie to, z pewnością bym nie odmówił.

Kit w ślad za lady Mannering przeszedł przez salę, a goście rozstępo-  
wali się przed nimi. Wieść o jego przybyciu rozeszła się szybko, co stwier-  
dził ze smutnym uśmiechem. Nie dbał jednak, czy budzi zgorszenie, czy  
też zaciekawienie. Zauważył, że na całe szczęście księżę i księżna Anbu-  
rey rozmawiają właśnie z jakąś parą małżeńską. Stennson ulotnił się, At-  
tingsborough zaczął zaś nadskakiwać zarumienionej i rozchichotanej  
młodej pannie, która właśnie weszła na salę. Koło Lauren Edgeworth  
nagle zrobiło się pusto, a ona nadal rozglądała się po sali, wciąż z tym  
samym, niezmiennym, nikłym uśmiechem.

- Panno Edgeworth... - Gdy lady Mannering zwróciła się do niej po  
nazwisku, Lauren przeniosła spojrzenie na nowo przybyłych, a jej wa-  
chlarz zamarł bez ruchu. - Wicehrabia Ravensberg chciałby, żebyśmy go  
pani przedstawiła.

Spojrzała na niego wielkimi, fiołkowymi oczami, dokładnie tej samej  
barwy, co jej suknia. Kitowi z wrażenia zaparło dech.

Z pewnością gdzieś już jednak tę twarz widział, i to całkiem niedawno. Przez chwilę zastanawiał się, gdzie i kiedy, aż wreszcie przypomniał sobie bójką w Hyde Parku i pocałunek mleczarki. Gdy uniósł głowę, spojrział prosto w oczy pięknej dziewczyny i przez moment naszała go niezbyt przystojna chętką, żeby to właśnie ona znalazła się w jego objęciach. Nim jednak zdołał się jej przypatrzeć, odwróciła głowę, pozwalając mu oglądać tylko tył jej eleganckiego kapelusika. Chwilę później zniknęła w tłumie na Rotten Row. Nie myślał już o niej więcej. Aż do tej chwili.

Kit zgiął się przed nią w najwytworniejszym z ukłonów.



Dla Lauren rozpoznanie go było szokiem, choć tego wieczoru wyglądał zupełnie inaczej, ubrany z nieskazitelną elegancją w czarny, dopasowany surdut, kremowe spodnie do kolan i haftowaną kamizelkę. Koszula i koronki lśniły idealną bielą.

Nie wydał się jej uderzająco przystojny i mierzył zaledwie kilka centymetrów więcej od niej, co ją zaskoczyło, lecz bijąca od niego pewność siebie i rozsadzająca energia przesądzały o ogromnym wrażeniu, jakie na niej wywarł. Twarz miał smagłą i pogodną, a szare oczy rozświetlał wewnętrzny blask.

Już kilka sekund po słowach lady Mannering, gdy Ravensberg złożył jej ukłon, a ona w odpowiedzi dygnęła, Lauren poczuła, że za wszelką cenę powinna unikać tego człowieka. Gdyby nawet nie widziała na własne oczy jego zdumiewającego zachowania w parku, z pewnością teraz podziałaby na nią jego niezwykle męski urok, który wyróżniał go spośród całego korowodu godnych szacunku dżentelmenów, których przedstawiali jej tego wieczoru Wilma i lord Sutton. Z rozbawieniem stwierdziła, że ciotka, wuj i Joseph znów skupili na niej uwagę - zupełnie jakby była podstarzałą, nieciekawą panną, niezdolną wzbudzić męskiego zainteresowania.

Wicehrabiemu Ravensberg nie trzeba było żadnej zachęty.

- Milordzie... - szepnęła.

- Panna Edgeworth? Jakże mi miło. - Uśmiech, który czał się w jego oczach, odsłonił teraz białe zęby i zarysował drobne zmarszczki w kąci-  
kach oczu. Lauren musiała zmienić zdanie; pierwsze wrażenie, jakoby wicehrabia nie był wybitnie przystojny, okazało się błędne.

- Prosiłem, by mnie pani przedstawiono, bo chciałem sprawdzić, czy naprawdę ma pani suknię w tym samym kolorze, co oczy. I nie myliłem się.

Lauren poruszyła powoli wachlarzem. W sali z pewnością panował zaduch, chociaż francuskie okna wychodzące na balkon były otwarte na oścież. Czyżby myślał, że się zaczerwieni i zareaguje głupim uśmiechem na tak bezczelny komplement? Tam w parku wyrażał się przecież całkiem inaczej! Joseph chrząknął ostentacyjnie.

Czy wolno mi prosić panią do tańca? - spytał wicehrabia, podczas gdy lady Mannering uśmiechała się dobrotliwie.

Właśnie chciałem zaprowadzić kuzynkę do bufetu - powiedział gładko Joseph z wyraźnym zamiarem pozbycia się natręta i podał jej ramię. - Panna Edgewort chciałaby się napić czegoś orzeźwiającego i nieco odpocząć. Lord Ravensberg nie dał się jednak tak łatwo zbyć. Rozbawiony, uniósł pytająco brwi. Czekał na odpowiedź jej, a nie Josepha. Żaden prawdziwy dżentelmen nie postąpiłby w ten sposób. Lauren nie musiała szukać wymówki: Joseph zrobił to za nią. Wystarczyło wesprzeć się na jego ramieniu z lekceważącym uśmiechem i odejść. Nie byłoby to ani trochę niegrzeczne. A jednak nie zrobiła tego. Usłyszała samą siebie mówiącą: -Dziękuję, Josephie, ale chyba będę mogła zatańczyć jeszcze raz bez napojów orzeźwiających.

Śmiało wysunęła się naprzód, kładąc dłoń na rękawie wicehrabiego, i pozwoliła poprowadzić się na środek sali. Czy zrobiłaby to, gdyby Joseph nie narzucił się jej z pomocą albo gdyby lord Sutton przyprowadził jej innego partnera? Nie wiedziała. Ale teraz, gdy było już za późno, żeby się wycofać, zdała sobie nagle sprawę, że najbliższy taniec to walc, wciąż uważany za nieco gorszący z racji tego, że partnerzy znajdowali się zbyt blisko siebie. Ona była zdania, że walc jest bardzo romantyczny. Po raz pierwszy tańczyła go z Neville'em na swoim balu przedślubnym.

Ma pani niewesołą minę - szepnął wicehrabia, gdy zwróciła ku niemu twarz. - Czy to zmęczenie? Może zaprowadzę panią jednak do bufetu z napojami?

Nie, dziękuję. - Dziwne, jak ten mały bunt poprawił jej nastrój. Cieszyła się na myśl o walcu. Może tego wieczoru uda się jej pozbyć upiórów przeszłości?

Orkiestra zaczęła grać. Lauren położyła lewą rękę na ramieniu wicehrabiego, a prawą ujęła jego dłoń. Czuła, jak jego prawa ręka objęła ją w pasie. Był niższy od Neville'a, odniosła więc wrażenie, że znajduje się bliżej niego. Nie mogła uniknąć patrzenia mu prosto w twarz. Miał ciepłe dłonie i biła od niego woń wody kolońskiej. Zacerpnęła tchu, po czym spojrzała mu prosto w oczy.

Uśmiechał się i patrzył wprost na nią, jakby rozumiał jej zakłopotanie i bawił się nim. Niebezpieczny człowiek, pomyślała. Nigdy nie czuła się pewnie z ludźmi jego pokroju. Unikała ich przez całe życie.

Po chwili porwał ją w wir walca.

Napłynęły gorzkie wspomnienia przedślubnego balu i tego, co nastąpiło potem. Próbowwała je odpędzić, licząc kroki i koncentrując się na rytmie tańca. Wkrótce jednak pojęła, że ma za partnera doświadczonego tancerza. Pozwoliła, by ją prowadził, zakreślając piruety wokół sali, a dzięki niewielkiej różnicy wzrostu mogła wygodnie spoglądać ponad jego ramieniem na innych tancerzy.

Nie czuła się pewnie tego wieczoru, ale pocieszała ją myśl, że nikt nie zauważy jej w takim tłumie. A teraz nagle zaczęła się doskonale bawić. Girlandy kwiatów, świece i barwne stroje innych kobiet zwały się w migoczącą smugę, zmienną jak kalejdoskop. Jakież przyjemne okazało się wirowanie po sali z mężczyzną, który nie tylko doskonale wiedział, jak się tańczy walca, ale też z pewnością równie dobrze jak ona czuł jego magiczny urok.

Po kilku minutach Lauren uświadomiła sobie jednak, że tańczy na balu u lady Mannering w objęciach nieznanego, którego widziała ledwie tydzień temu w tak zaskakujących okolicznościach. Joseph najwyraźniej chciał temu zapobiec. Czyżby wicehrabia, mimo tytułu i obecności na wytwornym balu, nie był człowiekiem godnym szacunku? Czyżby zawiódł ją instynkt? Może ma do czynienia z hultajem?

Jakaś jej część wcale jednak o to nie dbała, a nawet czuła lekki dreszczyk podniecenia. Była to część niepokojąco nowa, którą należało trzymać w karchach.

- Muszę wyznać, że to pierwszy z moich balów w tym roku. - Usiłowała podjąć uprzejmą konwersację, chcąc utrzymać bezpieczny towarzyski dystans. - Czy często pan na nich bywa?

- Nigdy. Pani zresztą też.

Uraziła ją zwięzłość odpowiedzi. Cóż to, czy on nie umie prowadzić uprzejmej rozmowy? Nagle coś ją zaniepokoiło. Skąd wie, że Laurennie chadza na bale?

- Ależ tu tłok - zaczęła znowu, usiłując zmienić temat. - Lady Mannering cieszy się pewnie z takiego sukcesu.

- Niewątpliwie. - Wciąż patrzył jej z rozbawieniem prosto w oczy.

- Kwiaty i dekoracje są śliczne i gustowne, prawda? - brnęła mężnie dalej.

- Nie przyglądałem się im. Wierzę pani na słowo.

Ze zdumieniem stwierdziła, że on z nią flirtuje! Wyraźnie dawał do zrozumienia, że obchodzi go tylko ona. Poczuli się nieswojo.

- Teraz pana kolej - rzuciła sucho, chcąc ukryć zakłopotanie.  
Uśmiechnął się miękko.

- Mężczyzna nie potrzebuje słów, kiedy tańczy z piękną kobietą. Wy starczy mu to, co czują jego zmysły. Konwersacja tylko przeszkadza.  
Jego zuchwałe słowa sprawiły, że jej serce zaczęło bić szybciej. Mówił łagodnym, stłumionym, aksamitnym głosem, jakby na sali byli tylko oni.

Wirując, powoli zbliżyli się do francuskich okien i nagle znaleźli się na ogromnym balkonie, z dala od blasku świec.

Lauren oniemiała.

- Światło także przeszkadza... - dodał, obejmując ją mocniej w pasie. Przynął twarz tak blisko, że tuż przy policzku poczuła jego ciepły oddech. -I tłum gości również.

Jak śmie! Słusznie podejrzewała, że żaden z niego dżentelmen...

Nie przerywając tańca, po kolejnym piruecie wkrótce byli z powrotem na sali. Ostre słowa zamarały na jej ustach, gdy spojrzała w jego roześmiane oczy, i jeszcze raz porwała ją magia tańca z tak niezwykłym partnerem. Musiała przyznać w duchu, że jej mały bunt miał przyjemne następstwa. Wicehrabia rzucił na nią chyba jakiś urok. Mężczyźni nie flirtowali z Lauren Edgeworth nawet wtedy, gdy była jeszcze młoda i szczęśliwa.

A teraz, po raz pierwszy w życiu, właśnie jeden z nich to robił. I okazało się, że to całkiem przyjemne. Choć oczywiście ani przez chwilę nie dała się omamić flirtowi.

Przestała silić się na dalszą rozmowę.

Kiedy walc się skończył, wicehrabia odprowadził ją na miejsce.

- Nie zapraszam pani do bufetu - teraz rozbawienie pojawiło się nie tylko w jego oczach, ale i w głosie - choć na pewno chce się pani teraz pić. Rodzina z pewnością by na to nie pozwoliła. Nie może się wprost doczekać pani powrotu, żeby ostrzec o ryzyku utraty reputacji wskutek walcowania w najlepsze z najgłośniejszym londyńskim utracjuszem.

-Dziękuję, hrabio-odparła uprzejmie, ignorując jego słowa, gdy znów znalazła się koło ciotki Sadie. Spojrzała na niego chłodno.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Edgeworth. - I nim się zdołała zorientować, uniósł jej dłoń do ust. Chroniła ją co prawda ręka wiczka, ale i tak było to czymś szokująco bezceremonialnym. O mało nie wyrwała ręki, lecz w ten sposób zwróciłaby tylko na siebie uwagę. Wkrótce opuścił salę balową. Patrzyła za nim z ulgą, choć była pewna, że reszta wieczoru będzie bardzo nieciekawa. A może nawet i reszta jej życia.



### 3

Mimo późnego powrotu z balu Lauren obudziła się następnego ranka o zwykłej porze i mogła towarzyszyć Elizabeth w codziennej przechadzce po Hyde Parku. Było rześko i chłodno, choć zapowiadano, że dzień będzie ciepły.

- Ruch sprzyja dobrej kondycji - mówiła księżna, kiedy zbliżały się do domu. - Czuję się zaskakująco dobrze, mimo że mam przecież co dźwigać. Jestem prawie pewna, że zawdzięczam to spacerom i świeżemu powietrzu.

Stan małżeński jej służył, choć wyszła za mąż ledwie siedem miesięcy temu. Stan odmienny również. Lauren pomyślała, że Elizabeth wręcz promienieje.

Lokaj, który otworzył im drzwi, skłonił się z szacunkiem, wpuszczając je do środka.

- Przyniesiono kwiaty dla panny Edgeworth, wasza wysokość. Pan Powers postawił je w salonie.

- Kwiaty dla mnie? - Lauren nie kryła zdumienia.

Elizabeth ze śmiechem ujęła ją pod ramię i poprowadziła do salonu.

- Bukiet nazajutrz po balu? Mój Boże, Lauren, masz wielbiciela!

- Nonsens. Założę się, że to od pana Bartletta-Howe'a. Tańczył ze mną dwukrotnie i asystował mi przy kolacji. W żaden sposób go nie ośmielałam... Och, jakież to zenujące.

- Nie powinna cię martwić męska admiracja, nawet jeżeli nie zamierzasz jej odwzajemnić.

Lauren przygryzła wargę na widok pięknej wiązanki - co najmniej dwóch tuzinów nierozkwitłych róż w otoczce z paproci. Stały pięknie ułożone, w kryształowej czarze. Przeszła przez pokój i spojrzała na bilecik przypięty do bukietu. Za nic nie chciała dać się ponieść emocjom.

- Są prześliczne — rozległ się za nią głos Elizabeth. - Chyba trudno o róże o tej porze roku. Na pewno zapłacił za nie krocie. Biedny pan Bartlett-Howe! Zawsze taki godny i oddany! - W jej głosie dało się wy czuć żartobliwą nutę.

„Niestety - głosił bilecik - nie mogłem nigdzie znaleźć fiołków, żeby oddać sprawiedliwość pani oczom". Niżej skreślono śmiało i zamaszycie: „Ravensberg”.

Lauren, próbując zasnąć po balu, pod zamkniętymi powiekami wciąż miała obraz jej roześmianych, szarych oczu, nonszalanckiego uśmiechu. Wi-

działa szczupłą sylwetkę i wciąż czuła nieokreślony niepokój. Przypomniała sobie także jak półnagi, w obcisłych bryczesach, wykrzykiwał w parku wulgarne słowa i jak obejmował i całował z zapalem dziewczynę od mleka.

- To nie pan Bartlett-Howe je przysłał - odezwała się wreszcie. - To wicehrabia Ravensberg. Tańczyłam z nim wczoraj walca.

Księżna rzuciła okiem na bilecik.

- Och - zawołała wesoło - spodobałaś mu się! Co za komplement! Kim on jest? Nie znam tego nazwiska.

- Powiedział mi - Lauren położyła bilecik obok wazonu - że chciał zostać mi przedstawiony. Pragnął przekonać się, czy mam oczy tego samego koloru, co moja suknia. Czy słyszałaś coś głupszego?

- No, no, panowie, których lord Sutton ci przedstawiał, na pewno by się tak nie wyrazili. - W głosie Elizabeth wciąż brzmiało rozbawienie. - Pewnie poznałaś go przez tego zuchwalca, Josepha.

- Nie, zapoznała nas lady Mannering. Myślałam, że ciotka Sadie i Wilma zemdleją. - Mówiły mi później, że muszę mu odmówić, jeśli jeszcze raz spróbuje nawiązać ze mną znajomość. Wuj Webster nazwał go czarną owcą, a Joseph powiedział, że do niedawna służył jako oficer w kawalerii. To dziedzic hrabiego Redfielda.

- Ach - Elizabeth skinęła głową - oczywiście, teraz sobie przypominam. Najstarszy syn hrabiego zmarł rok czy dwa lata temu.

Lauren odwróciła głowę, czując, że palą ją policzki.

- Elizabeth... to ten dżentelmen... z parku...

- Och, moja droga... - Elizabeth, gdy minęło zaskoczenie, zaczęła chichotać, zamiast oniemiać ze zgrozy. - Biedactwo, ależ się musiałaś fatalnie czuć, gdy lady Mannering ci go przedstawiała. Na dodatek musiałaś z nim tańczyć! I to walca! A dziś przysłał ci kwiaty. Nawiasem mówiąc, tam w parku zauważyłam, że jest wyjątkowo przystojny.

- Nie tak znów bardzo. - Lauren spurpurowiała. - Następnym razem, jeśli w ogóle będzie jakiś następny raz, skinę mu głową, podziękuję za róże i dam jasno do zrozumienia, że nie życzę sobie go więcej widzieć.

- Jesteś naprawdę prawdziwą damą, Lauren. Doskonale umiesz panować nad emocjami. - Objęła bratanicę ramieniem. - A teraz chodźmy na śniadanie. Każę lokajowi zanieść wazon do twojej bawialni, żeby przez następne kilka dni przypominał ci, że jest w Londynie dżentelmen, który tak podziwiał twoje oczy, iż nie mógł znaleźć kwiatów dorównujących im pięknem... I zamiast tego musiał przysłać róże.

Wcale mnie to nie bawi. - Lauren chciała, żeby w jej głosie zabrzmiał wyrzut, ale nieoczekiwanie dla samej siebie parsknęła śmiechem.

Kit zsiadł z wysokiego siedziska kariolki na Grosvenor Square i rzucił lejce lokajowi, który zeskoczył już z tylnej żerdki, po czym podbiegł do konia. Jego pan podszedł do frontowych drzwi miejskiej siedziby księcia Portfrey i zastukał kołatką. Wcześniej upewnił się, że jest to jeden z tych dni, kiedy księżna regularnie przyjmuje wizyty.

Lauren Edgeworth była piękna, a nawet bardzo piękna, nie mówiąc już o jej niezwykłych, ciemnofioletowych oczach. To prawda, nie należy do najmłodszych, ale parę lat więcej tylko dodaje jej wdzięku. On sam miał prawie trzydziestkę i od dawna nie bawiło go nadszkakiwanie młodym panienkom. Panna Edgeworth górowała nad nimi dumną gracją i tajemniczym uśmiechem, jaki znał z rzeźb greckich. Zeszłego wieczoru wyrażnie dowiodła, że nie robi na niej wrażenia dowcip czy próba najlżejszego choćby flirtu. Ten chłód był, prawdę mówiąc, nieco kłopotliwy, lecz to właśnie czyniło ją tak pociągającą.

Drzwi się otworzyły i kamerdyner uklonił mu się tak sztywno, że ktoś nieuprzedzony mógłby go pomylić z samym księciem. Kit rzucił swój bilet wizytowy na srebrną tacę i wyrecytował:

- Wicehrabia Ravensberg z wizytą do panny Lauren Edgeworth.

A potem śmiało wkroczył do holu.

Okazało się to łatwiejsze, niż oczekiwał. Widocznie w owe dni przyjęć tak niewielu gości odprawiano stąd z kwitkiem, że nie zdarzyło się jeszcze, by kamerdyner zanosił wizytówkę na górę przed upewnieniem się, czy lady zechce widzieć przybysza. A może rozpoznał w nim ofiarodawcę bukietu i uznał, że będzie mile widziany? Mogło się również zdarzyć, że u Portfreyów, całkiem inaczej niż u Anbureyów, nie pouczono służby, iż dla niego jaśnie państwa nie ma w domu.

- Proszę za mną, milordzie. - Kamerdyner skłonił się raz jeszcze.

Z salonu dobiegał go gwar uprzejmej rozmowy. Lokaj otworzył drzwi, a kamerdyner zaanonsował:

- Wicehrabia Ravensberg do panny Edgeworth.

Kiedy Kit wkroczył do salonu, zapadło nienaturalne milczenie. W jednej chwili rozpoznał Suttona i pana Attingsborough. Ujrzał też, że Lauren, która siedziała w grupce osób pod oknem, zerwała się zaskoczona. Przystojna kobieta - mimo zaawansowanej ciąży - wyszła mu naprzeciw z wyciągniętą dłonią i uprzejmym uśmiechem. Kit skłonił się przed nią. Pani... - rzekł i ujął ofiarowaną mu dłoń.

- Wicehrabia Ravensberg? Jakże mi miło. - Jeśli zaskoczyła ją jego wizyta lub miała pretensję do kamerdynera, że go tu wpuścił, była zbyt dobrze wychowana, by to okazać.

- Ravensberg? - Księżę Portfrey, znany Kitowi z widzenia, zjawił się u boku żony. Z twarzą jeszcze bardziej nieprzeniknioną niż jej.

- Chciałem złożyć wyrazy uszanowania pannie Edgeworth, która raczyła ze mną zatańczyć wczorajszego wieczoru - wyjaśnił. Zauważył, że większość gości gapi się na niego, jakby kamerdyner Portfreyów zrobił coś wielce niestosownego, na przykład czyścił przewód kominka w ich obecności. Kit podejrzewał, że jeszcze tego samego popołudnia będą z zapalem plotkowali o jego wizycie w kilku innych salonach.

Panna Edgeworth podeszła jednak do niego, a księżęca para zajęła się innymi gośćmi, którzy, okazując dobre wychowanie, podjęli przerwana rozmowę.

- Jak to miło, że pan przyszedł - zaczęła. - Dziękuję za róże, są zachwycające!

Przyszło mu na myśl, że chłód jej spojrzenia mógłby je zamrozić.

- A więc to nie był tylko odblask pani sukni. - Kit podszedł nieco bliżej. - Dzisiaj nosi pani zieloną, ale oczy wciąż są fiołkowe.

Wyglądała tak samo pięknie, jak poprzedniego wieczoru, choć miała znacznie skromniejszą fryzurę. Nie okazała jednak, że komplement zrobił na niej jakiegokolwiek wrażenie.

- Proszę usiąść, hrabio - rzekła uprzejmie, wskazując mu puste krzesło - zaraz zadzwonię po herbatę.

Kiedy usiadła, trzymała się tak prosto, że, jak zauważył, nie dotykała plecami oparcia. Włączyła się do konwersacji o muzyce, kompozytorach i instrumentach.

Kit nie próbował nawet brać udziału w rozmowie, lecz z zaciekawieniem przyglądał się innym gościom. Niektórych wyraźnie zbulwersowała jego obecność. Lady Wilma Fawcitt zasznurowała usta, Sutton przybrał wyniosłą minę, Attingsborough - czujną i nieco urażoną. Chuderlawy młodzieniec, którego nazwisko umknęło Kitowi, wyglądał na zirytowanego. George Stenison nie krył niechęci. Tylko Lauren zdawała się nie zwracać na niego uwagi. Kit popijał małymi łykami herbatę.

- Panno Edgeworth - odezwał się wreszcie, korzystając z krótkiej przerwy w rozmowie - czy zechce pani dziś po południu przejechać się ze mną kariołką?

Spojrzała na niego. Jej piękne oczy rozszerzyły się, a wargi lekko rozchyliły, lecz po chwili jej twarz znów przybrała chłodny i obojętny wyraz. Był niemal pewny odmowy. Może zanadto się pospieszył? Co będzie z zakładem, jeśli ona powie „nie”?

- Och, właśnie myślałem o tym samym - chuderlawy, bezimienny młody dzieniec był wyraźnie poruszony - ale sądziłem, że grzeczniej będzie prosić o tę uprzejmość dopiero na odchodnym. Przyszedłem tu wcześniej od pana wicehrabiego - dodał niepewnie.

Kit uniósł brwi.

- Przepraszam, czy zrobiłem coś niestosownego? Przez kilka lat nie było mnie w kraju i przyznam, że obce mi są subtelności obecnej etykiety.

- Hm, hm... - anonimowy dżentelmen najwyraźniej się zmieszał - ależ ja nie chciałem sugerować...

- Jeśli się nie mylę, Lauren, mieliśmy dziś po południu pojechać do biblioteki - rzekł gładko Attingsborough.

- Sutton bardzo chciał zabrać nas po herbacie na przejażdżkę swoim nowym powozikiem - lady Wilma zaśmiała się, potrząsając energicznie rudymi lokami - a ja liczyłam na to, że będziesz moją przyzwoitką!

Kit wpatrywał się z uśmiechem w fiołkowe oczy Lauren, które wciąż na niego patrzyły, lecz nie odwzajemniały uśmiechu.

- Mylisz się, Josephie - odparła, odwracając wzrok. - Umawialiśmy się na inny dzień. A ty, Wilmo, wcale nie potrzebujesz przyzwoitki, jadąc w otwartym powozie z narzeczonym. Może kiedy indziej, panie Bartlett-Howe? Chętnie, lordzie Ravensberg, będzie mi bardzo miło.

Był niemal pewien, że odmówiłaby mu, gdyby inni tak skwapliwie nie chcieli jej uchronić przed przejażdżką z osławionym hultajem. Powinien być im wdzięczny. Tak, jego przyszła żona może sobie być oziębła i powściągliwa, ale nie umie oprzeć się wyzwaniu.

To go zaintrygowało.

- A więc dziś po południu, panno Edgeworth.

Kilka minut później z uśmiechem zbiegł po schodach i skinął na lokaja z powozem. Złamanie oporu Lauren było wyzwaniem doprawdy wartym zachodu. Ach, ci wszyscy jej bliscy i przyjaciele, rozpaczliwie usiłujący ją przed nim obronić... Co za durnie!

Przynajmniej przez jakiś czas będzie ją tego popołudnia miał tylko dla siebie.



Lauren siedziała przy nim sztywno wyprostowana, trzymając oburącz parasolkę, żeby ochronić twarz przed słońcem. Nie przywykła do jazdy sportową kariolką, czuła się więc bardzo niepewnie, siedząc tak wysoko.

Damy nie okazują jednak dżentelmenom kierującym powozem braku zaufania do ich umiejętności, przywierając kurczowo plecami do oparcia.

Szczupłe dłonie, które trzymały lejce, bez trudu kierowały parą pięknych siwych koni, a nogi w obcisłych pantalonach i miękkich, błyszczących niemieckich butach, choć smukłe, były jednak umięśnione. Lauren przylapała się na niestosownych myślach, zacisnęła więc palce na rączce parasolki i starała się nie patrzeć na Ravensberga, gdy sprawnie przejechał przez bramę parkową. A była właśnie bardzo odpowiednia na to pora: cały elegancki świat paradował tam konno, pieszo czy też w najrozmaitszych powozach, chcąc widzieć i być widzianym, wymieniać najświeższe ploteczki lub dostarczać do nich powodu.

Jeśli wierzyć Wilmie, Lauren mogła stać się ich przyczyną. Już i tak wielu zgorszył wczoraj wieczorem jej taniec z osławionym wicehrabią. A teraz, ledwie dzień później, zgodziła się na przejażdżkę z nim. I to ni mniej, ni więcej, tylko w sportowym powozie! I bez przyzwoitki! Wilma, uznając, że sama nic nie wskóra, przywołała na pomoc Josepha, Suttona i Elizabeth. Mieli przemówić Lauren do rozumu. Tylko Sutton zareagował na tę prośbę. Poradził jej, żeby wymówiła się niedyspozycją... Z żalem oczywiście. Czyżby chciała zaryzykować utratę reputacji? Chyba tylko ze względu na dobre maniery nie odmówiła mu od razu?

- Jeśli ktoś zechce narazić na szwank reputację Lauren - rzekł wyniośle książe, popatrując przez szkła na narzeczonego Wilmy - będzie miał ze mną do czynienia.

Nieoczekiwanie rozbawiło ją to wspomnienie. Czy naprawdę znalazłaby się tutaj, gdyby pozwolono jej zdecydować samej? No proszę, nigdy nie sądziła, że jest tak uparta. Owszem, po przyjeździe do Londynu unikała promenady w parku, ale po co dłużej to robić? Zeszłego wieczoru rzuciła wyzwanie całemu towarzystwu. W końcu przejażdżka w miejscu publicznym, z dżentelmenem przedstawionym jej według wszelkich reguł, nie jest niczym niestosownym. Nawet jeśli to ktoś o nie najlepszej reputacji.

- No cóż, panno Edgeworth? - Wicehrabia zρέcznie poradził sobie z ryzykownym zakretem. - Chyba już wyczerpaliśmy temat pogody?

Lauren zakręciła parasolką. Postąpiła nieuprzejmie, nie podtrzymując rozmowy. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie ćwiczył przed lustrem tego uśmiechu wyrażanego samym spojrzeniem. Rozpraszało ją to i plątało myśli. Pewnie dzięki takim właśnie sztuczkom hultaje podobają się kobietom.

- Czy hrabia Redfield to pański ojciec?

- Jestem jego spadkobiercą, starszym z dwóch żyjących synów. Mój trzeci, najstarszy brat zmarł prawie dwa lata temu.

- Jakże mi przykro.

- Mnie też. - Zasepił się nagle. - Kiedy ostatni raz widziałem się z Hieronimem, złamałem mu nos, a ojciec wygnał mnie z Alvesley i zabronił powrotu.

- Dobry Boże! - Lauren poczuła się zażenowana. Po co opowiada jej takie rzeczy? Przecież jest damą.

- Zaszokowałem panią? - spytał z uśmiechem.

- Zdaje mi się, hrabio, że zrobił pan to umyślnie. Moja wina. Nie powinienam była pytać o ojca.

- Teraz ja będą zadawał nietaktowne pytania. Spędziła pani prawie całe życie w Newbury Abbey, gdzie nie ma pani wcale krewnych. A kóż jest pani ojcem?

- Wicehrabia Whitleaf. Zmarł, kiedy miałam dwa lata. W niecały rok później matka zabrała mnie do Newbury, kiedy wyszła za brata hrabiego Kilbourne.

- A czy pani matka żyje?

- Wyjechała z mężem w podróż poślubną dwa dni po weselu... i nigdy nie wróciła. Przez kilka lat przychodziły od niej listy i inne przesyłki... potem się urwały.

Kit już się nie uśmiechał.

- A więc pani nawet nie wie, czy ona żyje? A pani ojczym?

- Pewnie obydwójce nie żyją, ale nie mam pojęcia, gdzie i kiedy się to stało. - Nie chciała o tym mówić. To było zbyt bolesne.

Kariolka zbliżyła się do kawalkady pojazdów, koni i pieszych wolno sunących promenadą.

- Często pan tutaj bywa? - zmieniła temat.

Prócz ranków, gdy kręcę się w pobliżu Rotten Row. Czy to pani miała na myśli?

Czuła, że się czerwieni, i znów poruszyła parasolką. Coraz wyraźniej widziała, że nie jest dżentelmenem. A więc zauważył ją wtedy? I nie wstydzi się przyznać? Żaden dżentelmen by przecież...

- Jeździ pan tędy rankiem? - spytała szybko.

Lecz on nie zamierzał zmieniać tematu.

- Ta dziewczyna chciała mi podziękować, bo dałem nauczkę trzem drabom. Zaczepili ją obcesowo, żądając pewnych względów.

A więc o to się bił! Sam przeciw trzem! O honor mleczarki!

- Hojnie mi się odpłaciła - powiedział, nim jeszcze zdołała wyrazić uznanie. Najwyraźniej znów chciał ją zaszokować. Dlaczego? Uniósł pejcz do róna kapelusza, pozdrawiając dwie niezwykle zaciekawione damy.

- Dzentelmen -.w glosie Lauren zabrzmiał wyrzut - nie oczekuje wdzięczności.

- Nieładnie jednak odmawiać, kiedy ktoś koniecznie chce się odwdzięczyć.

- Dzentelmen nie korzystałby z tej wdzięczności w tak jawny sposób.

- Spojrzała na niego z wyrzutem, on zaś wybuchnął szczerym śmiechem, i to właśnie wtedy, gdy znaleźli się na tyle blisko tłumu, by przyciągnąć uwagę. Och, po co zgodziła się na przejażdżkę!

Przez następny kwadrans posuwali się w zółwym tempie po okręgu pełnym powozów i jeźdźców, uśmiechając się, kłaniając i przystając co kilka metrów, żeby zamienić parę słów ze znajomymi. Byli wśród nich Wilma, Sutton, Joseph, kilkoro przyjaciół Elizabeth, których poznała podczas ostatnich trzech tygodni, i inni, którym przedstawiono ją na balu. Teraz została również przedstawiona licznym przyjaciołom Ravensberga, kłusującym obok kariolki i wymieniającym z nim uprzejmości.

Zniosła to wszystko doskonale. Po publicznym wystąpieniu na balu pozbyła się wreszcie panicznego lęku, który przez ponad rok zmuszał ją do życia w ukryciu. Był piękny, słoneczny dzień i przejażdżka okazała się przyjemniejsza, niż sądziła, a już na pewno miłsza, niż mogła być w towarzystwie pana Bartletta-Howe'a. Tylko po co wicehrabia tak otwarcie wspominał o skandalicznej bójce? Powinien był raczej się wstydzić, że ją widział. Hm, bił się w obronie czci niewieściej. Ale tą niewiastą była dziewczyna od mleka! Trzeba jednak przyznać, że wielu dzentelmenów nie zwróciłoby uwagi na obrazę kobiety należącej do tak niskiej warstwy społecznej.

Większość mężczyzn - co prawda z bezpiecznego dystansu - pozdrawiała ich uprzejmie, zaś kobiety z reguły ignorowały lub kłaniały im się nieznacznie i wyniośle. Mnóstwo innych jednak, czy to starych, czy młodych, rzuciło na nich ukradkowe spojrzenia. Doprawdy, wicehrabiego nie dało się nie zauważyć. Biła od niego energia, radość życia i pogarda dla wszystkiego, co porządne i stateczne. A ona była jedyną kobietą, z którą wczoraj zatańczył. Ona, Lauren Edgeworth, ucieleśnienie stateczności.

Nie powinno jej to pochlebiać!

Wicehrabia wyprowadził kariolkę z szeregu powozów, nim jeszcze zatoncyli pełny krąg. Trochę za szybko, jak osądziła, czując przygnębienie na myśl o powrocie na Grosvenor Square, gdzie trzeba mu będzie wyraźnie dać do zrozumienia, że nie życzy sobie dalszych przejawów jego galanterii.



Nie mogła się jednak powstrzymać od pytań, choć nie były one w dobrym tonie.

- Dlaczego poprosił mnie pan wczoraj do tańca? Dlaczego właśnie mnie? Przecież zaraz potem pan odszedł. Dlaczego przysłał mi pan róże po tym jednym jedynym spotkaniu? Dlaczego zabrał mnie pan dziś na przejażdżkę?

Och, pytań było dużo, w dodatku brutalnie szczerych. Rzecz niewybaczalna! Milczał, a ona czuła coraz większe zakłopotanie i nawet nie zauważyła, że nie skręcił w stronę parku, lecz w boczną alejkę, wiodącą w bardziej zadrzewioną część parku. Kiedy to stwierdziła, było za późno na protesty. Najpierw tańczyła walca z osławionym hultajem, potem wybrała się z nim na przejażdżkę, a wreszcie pozwoliła mu się wywieźć w jakieś odludne miejsce!

- Chyba od dawna nie spojrziała pani w lustro - odezwał się w końcu.

- Przecież na balu było mnóstwo kobiet ładniejszych ode mnie. I dużo młodszych.

- Nie mówię o wieku, tylko o urodzie. Jeśli pani nie widziała, że jest najpiękniejszą kobietą na balu, to widocznie nie zagląda pani do lustra.

- Nonsens. - Pochlebstwa zawsze ją irytowały. Łase na nie panny również. A to jej się dostało! Najpiękniejsza na balu, też coś! Dróżka wiodła do kotlinki otoczonej potężnymi dębami, których konary stykały się w górze niczym sklepienie.

- Najpiękniejsze są pani oczy. - Spojrzał na nią z ukosa. - Nigdy nie widziałem tak pięknych i w takim kolorze.

Wszystko to było wysoce niestosowne, ale cóż, sama tego chciała.

- Chyba pan coś o mnie wie. Ktoś musiał mnie panu wskazać, skoro wiadomo panu, co się wydarzyło rok temu. Zapewne więc kierowała panem ciekawość.

Spojrzał na nią bystro.

- Czy chciałem zatańczyć z porzuconą przy ołtarzu panną młodą? Mam nadzieję, że w Newbury jest duży park, a Kilbourne biega po nim w kółko, chłoscząc się bez litości, bo jak ostatni głupiec ożenił się z kimś innym - na pewno pod wpływem impulsu - i stracił szansę związku z panią.

Skarciła się w myśli surowo za satysfakcję, jaką sprawiły jej te słowa. Od przeszło roku czuła się taka nieatrakcyjna!

- Jest pan w błędzie. On się ożenił z miłości. - Jechali teraz przez gęsty, zielony cień. Lauren opuściła parasolkę, nie składając jej jednak.

- Czyżby pani zamierzała za niego wyjść bez miłości? - Znów rzucił jej szybkie, przenikliwe spojrzenie.

Lauren uniosła podbródek i spojrzała przed siebie. Jak mogła dać się wciągnąć w tę pułapkę?

- To było impertynenckie pytanie, hrabio.

-Najmocniej przepraszam, ale co Kilbourne stracił, ja zyskałem. Poprosiłem panią do tańca, bo uderzyła mnie pani uroda i koniecznie chciałem panią poznać. Posłałem róże, bo po tańcu mogłem już tylko wrócić do domu i przeleżeć pół nocy, myśląc o pani. Złożyłem dzisiaj wizytę i zabrałem panią na przejażdżkę, bo gdybym pani nie ujrzał, przez całą resztę lata nie potrafiłbym ani na jawie, ani we śnie myśleć o nikim innym.

Spojrzała na niego bez słowa, bo gniew odebrał jej mowę. Czyż on ją ma za głupią gąskę?!

- Hrabio - odezwała się chłodno - żaden dżentelmen nie kpilby sobie w ten sposób z damy. Ostrzegano mnie, że pan nim nie jest, i właśnie się o tym przekonałam. Niech pan łaskawie odwiezie mnie na Grosvenor Square.

Miał tyle tupetu, żeby zerknąć na nią i zaśmiać się cicho.

- No cóż, zadała mi pani pytanie. - Przełożył lejce do prawej ręki, a lewą ujął jej dłoń i unióśł do ust. - A niegrzecznie byłoby skłamać.

- Przypuszczam -jej ton był lodowaty - że chciał mnie pan złowić na zuchwały komplement, bo jestem porzuconą narzeczoną. Chciał się pan zabawić moim kosztem, ale nic z tego nie wyszło. Przyjechałam do Londynu, żeby asystować księżnej Portfrey, która wkrótce zostanie matką. Nie mam najmniejszego zamiaru szukać męża, a gdyby nawet, to nie stanę się łatwą zdobyczą dla kogoś takiego jak pan.

- Kogoś takiego jak ja... - Lauren zdała sobie nagle sprawę, że jadą prosto ku bramie parkowej. - Naopowiadano pani o mnie strasznych rzeczy. No i na własne oczy widziała pani tę scenę w parku. Sam przyznałem, że zламаłem bratu nos i że wypędzono mnie z rodzinnego domu. Jak sądzę, moje szanse na dalszą znajomość z panią są znikome.

- Zdecydowanie. - Wyjechali już pomiędzy drzew i słońce zaświeciło im prosto w oczy.

- Złamała mi pani serce. - Mimo tych słów wciąż widziała w jego oczach lekkie rozbawienie.

- Wątpię, czy pan w ogóle je ma.

Żadne z nich nie powiedziało już ani słowa. Gdy kariolka w kilka minut później stanęła przed drzwiami domu, a lokaj podbiegł do koni, Lauren musiała pozwolić, by wicehrabia zsiadł, obszedł powozik, a następnie pomógł jej zejść z wysokiego siedzenia. Lecz nawet wtedy nie dane jej było zachować godności, gdyż chwycił ją obiema rękami w pasie i postawił

na bruku. Co prawda nie przycisnęła jej do siebie, jak się ze zgrozą przez moment spodziewała, ale i tak odległość między nimi wyniosła ledwie parę centymetrów. Spojrzała na niego oburzona.

- Dziękuję za przejażdżkę - powiedziała uprzejmie. - Do widzenia.

Uśmiechnął się szeroko.

- To ja pani dziękuję. - Dopiero wtedy zdjął dłonie z jej talii i skłonił się przed nią elegancko. - *Au revoir*, panno Edgeworth.

Drzwi frontowe już się otwierały. Powers zauważył, że wróciła. Lauren weszła na schody, a potem do holu, powoli i z godnością. Nie obejrzała się za siebie ani razu.

## 4

Kto to taki, ten Sutton? - spytał Farrington. - A, owszem, znam go niezłe. Byliśmy na jednym roku w Oksfordzie. Splataliśmy razem parę niezłych figli, nim odziedziczyłem tytuł, stając się głową rodziny, filarem społeczeństwa i nieznośnym starym nudziarzem.

- W przyszłym tygodniu zaprosisz go do swojej łoży w teatrze. Na spotkanie z kolegami - mruknął Kit. - Oczywiście z narzeczoną.

- Doprawdy? - Obydwoj jechali konno wzdłuż Rotten Row. Był wczesny ranek. - A czy wolno mi spytać, po co?

- Ponieważ lady Wilma Fawcitt jest kuzynką panny Edgeworth. Ścisłej, przyszywaną kuzynką. Samą Edgeworth też zaprosisz.

- Pannę Edgeworth? Aaa... - Farrington nagle zrozumiał, o co chodzi. - I ciebie również, prawda? A może sam się już zaprosiłeś? Po kiego licha miałbym ci pomagać w wygraniu zakładu? Żeby stracić sto gwinei?

- Zrobisz to, bo nie oprzesz się chęć śledzenia moich zalotów i stwierdzenia, jak wolno mi to idzie. Nadskakiwałem jej aż do obrzydliwości, kiedy po balu u Manneringów obwoziłem ją po parku, ale zamiast rumieńić się i wdzięczyc okazała mi wzgardę, przed którą tak mnie ostrzegano. Powiedziała, że sobie z niej kpię. Poczuję się zupełnie jak ktoś zagnębiony na biegunie północnym, taki bił od niej chłód.

- Co, nie zdołałeś zawrócić jej w głowie? - Farrington parsknął śmiechem. - Co ci się stało, Ravensberg?

- Zmarnowałem jakieś półtora tygodnia na śmiertelnie nudnych balach, wieczorkach, a nawet na koncercie, ale nie widziałem jej nawet

przelotnie. Czas, żebym żwawiej zabrał się do rzeczy. Musimy zwabić ją do teatru.

- My? - Farrington spojrział na niego przez ramię, kierując konia ku Queen's Gate.

- Chyba powinieneś też zaprosić jedną czy dwie inne pary. Nie można działać zbyt otwarcie. Nie muszę dodawać, że mają to być pary godne szacunku.

- Jasne. No i mam nie wspominać ani słowem, że wśród zaproszonych jesteś ty?

- Nie. Nie chcę wygrać, oszukując. Ona na pewno nie zechce pójść, kiedy tylko się dowie, że ja tam będę. No i Sutton z narzeczoną zaczną ją od tego oczywiście odwozić. Podobnie postąpi Anburey z żoną i Attingsborough. Portfrey i jego księżna chyba też, choć nie wiem, czy akurat ta dama pójdzie mi na rękę. Jest o wiele za bystra. Mam nadzieję, że właśnie oni sprawią, że panna Edgeworth na złość wszystkim jednak pójdzie.

- Ech, lepiej byś spłacił swoje długi i zgodził się na połowicę, którą wybierze ci ojciec. - Farrington pokiwał głową i pogalopował naprzód, zostawiając nierozważnego przyjaciela.

Nim Kit ruszył za nim w pogoń, stwierdził, że ten zakład coraz bardziej go wciąga. Tak, jest sztywna, przyzwoita i wyzuta z poczucia humoru, ale też niezwykle piękna i podatna na wyzwania. Z pewnością nie pozwoli, żeby krewni nią rządili. Zlekceważyła jego pochlebstwa w parku, co świadczyło o rozumie i bystrości. Jakaż okazałaby się w łóżku? Intrygująca, myśl!

Zapragnął zobaczyć ją znowu. Z powodu zakładu, ale także dla satysfakcji wdarcia się za tę lodowatą fasadę. Jeśli coś się w ogóle za nią kryje.



Róże zwiędły po kilku dniach, ale jeden pączek z olbrzymiego bukietu przetrwał. Pomyślała, że jest zbyt piękny, żeby go wyrzucić. Po balu u Manneringów i przejazdźce nie przyjęła już żadnego zaproszenia. Chodziła tylko do sklepów i na spacer. Przeczytała kilka książek z biblioteki księcia i z wypożyczalni Hookhama. Pilnie przykładała się do haftu i dziergania koronek. Prawie co dzień pisywała listy do Gwendoline i jej matki, ciotki Clary. Napisała nawet jeden do Lily i wysłała go z codzienną pocztą księcia - Lily była jego córką. A że czuła się nieco znudzona, nieco zirytowana? Cóż, taki już los damy.

Tego wieczoru miała jednak jechać z Suttonami do teatru, na zaproszenie Farringtona. Grano *Króla Leara*. Wicehrabia Ravensberg również miał tam być.

- Musisz usiąść między mną a Suttonem, Lauren - pouczała ją Wilma gdy powóz stanął przed teatrem wśród wielu innych pojazdów.

Wilma za wszelką cenę chciała wybić jej z głowy to wyjście, a narzeczony dzielnie jej sekundował. Lauren odkryła jednak w sobie ostatnio nową, nieoczekiwaną cechę - zjadła niechęć do tego, by inni decydowali, co ma robić. Przez całe życie zachowywała się, jak przystało na damę, no i proszę, co teraz wyrabia! Powiedziała Wilmie otwarcie, że zaproszenie przyjmie, choć wcale nie zna lorda Farringtona. Nie była jednak pewna, jak by postąpiła, gdyby Wilma nie uznała za swój obowiązek jej towarzyszyć. Oczywiście wraz z narzeczonym.

Po schodach zszedł pewien dżentelmen i pomógł jej wysiąść. Wicehrabia Ravensberg. Wyglądał znakomicie w czarnym surducie i wysokim kapeluszu. Lauren wyciągnęła do niego rękę mimo słabych protestów wymruczanych przez Wilmę i Suttona.

- Tym razem fioletowy jest płaszcz, z suknią dobraną do koloru, ale i tak błedną przy pani oczach i mniej od nich błyszczą. Szukałem pani wszędzie, lecz daremnie, spróbowałem więc tego podstępu mówić, prowadząc ją przez zatłoczone foyer teatru ku schodom wiodącym do łóż.

- Czemu pan to zrobił?

- A czemu pani przyjęła zaproszenie?

- Może dlatego, że uwielbiam

Szekspira?

Wicehrabia uśmiechnął się.

- Lauren - usłyszała za sobą głos Wilmy - pamiętaj, usiądź między mną a Suttonem. Musisz mi wyjaśnić, o co chodzi w sztuce! Ja jestem strasznie nieukiem i w ogóle nie rozumiem tej staroświeckiej angielszczyzny.

- Tędy - szepnął Ravensberg. -I proszę nie uciekać się do wymówki, chcąc umknąć moich lubieżnych zakusów! Jeżeli siądzie pani przy mnie, do czego zachęcam, będę pani przez cały wieczór szeptać do uszka różne nieprzystojne rzeczy i dotykać jej pod osłoną ciemności tam, gdzie nie powinienem.

Zrozumiała wreszcie, że te oburzająco zuchwałe słowa, podobnie jak przesadne komplementy w parku, miały ją raczej prowokować, niż onieśmielać. Nie chciała okazać zgorszenia. Będzie mu powolna. Niechże się nią zabawi. Dlaczego jednak człowieka jego pokroju miałoby bawić prowokowanie kogoś takiego jak ona? Zupełnie tego nie pojmowała.

- Gdybym chciała uniknąć pańskich zakusów, zostałabym w domu.

- A to dopiero - mruknął, otwierając drzwi łoży.

Kilka minut później, gdy już została przedstawiona Farringtonowi oraz pani Janet Merklinger i jej rodzicom, Lauren zasiadła w aksamitnym fotelu na samym przedzie, mimo że Wilma, wciąż konwersując z panią Merklinger, próbowała ją powstrzymać, chwytając za ramię.

Wicehrabia zajął miejsce obok.

Mimo czujności doznała czegoś, co można by nazwać dreszczykiem podniecenia. Jeżeli hrabia przysunie się za blisko lub w inny sposób pozwoli sobie na zbyt wiele, już ona da mu nauczkę. Z góry się na to cieszyła.

Życie jest takie nudne...



Chociaż usiadła, jak oczekiwał, nie dotykając plecami oparcia, wcale nie były one sztywne. Czulo się grację w każdej linii jej ciała. Śledziła akcję w napięciu z rękami złożonymi nieruchomo na podolku. W jednej z nich ścisnęła złożony wachlarz.

Przyglądał się jej z uwagą. Czy wiedziała o tym? Czy zauważyła, że ich wejście do łoży wzbudziło niemałe zainteresowanie? Liczne szkła i lornetki uniosły się do oczu, a głowy pochyliły ku sobie, jak zwykle czynią ludzie, którzy wymieniają plotki. Oczywiście sporo mówiono o nich już wtedy, gdy obwoził ją po Hyde Parku - zwłaszcza że skręcili w tę cienistą alejkę, zamiast trzymać się promenady. Już od dwóch tygodni nic jednak nie podsycalo tych spekulacji.

Wyglądała na nieświadomą zaciekawienia, jakie wzbudza. Dopiero po pierwszym akcie oderwała oczy od sceny.

- Już zapomniałam, czym może być prawdziwy spektakl w teatrze. Nie myśli się wtedy o niczym innym, prawda?

- Nie śledziłem przedstawienia. - Kit zniżył głos.

Zacisnęła usta i rozłożyła wachlarz. Na pewno zrozumiała, co miał na myśli. Na pewno też nie pochwałała tak jawnego flirtu. On zresztą również. Potrafił działać subtelniej i skuteczniej. Bawiło go jednak odkrywanie, jak daleko musi się posunąć, żeby wreszcie straciła panowanie nad sobą, i do czego wtedy dojdzie. Czy za lodowatą fasadą kryje się coś interesującego?

Wszyscy pozostali wstali z miejsc. Farrington zabrał pannę Merklinger na szklanekę lemoniady. Rodzice, jak nakazywał obyczaj, szli tuż za nimi.

- Lauren! - Wilma Fawcitt trąciła kuzynką w ramię. - Sutton idzie do łoży lorda Bridgesa, żeby przywitać się z Angelą. Czy będziesz nam towarzyszyć? - Uśmiechnęła się z wdziękiem do Kita. - Och, hrabio Ravensberg, zostawiamy pana samego, ale wrócimy przed drugim aktem.

Lady Bridges była, jak sobie przypomniał, siostrą Suttona. Wstał z fotela. Lauren siedziała jednak bez ruchu. Wachlowała się powoli, wsparta jednym ramieniem na aksamitnym obiciu parapetu łoży.

- Chyba zostanę tutaj, Wilmo. Pozdrów ode mnie Angelę.

Suttonowi i jego narzeczonej nie pozostało nic innego, jak udać się bez niej do łoży Bridgesów po przeciwnej stronie sali. Lauren rozglądała się po parterze i nadal poruszała wachlarzem, póki Kit nie wrócił na swoje miejsce.

- Był pan oficerem zwiadowczym na Półwyspie, prawda? - spytała, nie odwracając głowy w jego stronę. - A więc szpiegiem.

Zasięgnęła o nim wiadomości!

- Wolę to pierwsze określenie. Słowo „szpieg” kojarzy się od razu z płaszczem, szpadą i różnymi przerażającymi wyczynami.

Spojrzała na niego.

- Spodziewałam się, że takie właśnie życie panu odpowiada. Czym różni się ono od tego tutaj?

Pomyślał o długich, samotnych dniach spędzanych zwykle na końskim grzbiecie, o przemarszach przez ziemie nieprzyjaciela, ryzykownych wypadach, o niełatwych kontaktach z hiszpańskimi i portugalskimi partyzantami. O cierpliwych i taktownych rokowaniach z miejscowymi kacykami, a także z okrutnymi, fanatycznymi patriotami. O niewyobrażalnym okrucieństwie na tyłach - torturach, gwałtach, egzekucjach. O fizycznych i duchowych udrękach, o pustce wewnętrznej. I o swoim bracie.

- Jest chyba o wiele bardziej trywialne i ponure - odrzekł, uśmiechając się smutno.

- Przecież został pan odznaczony. Niejeden raz bił się pan za ojczyznę. Jest pan bohaterem wojennym.

- Ojczyznę? - zamyślił się. - Wątpię. W wojsku czasami nie bardzo wiadomo, za co się walczy.

- Za słuszną sprawę. Po stronie dobra, przeciw siłom zła.

Skoro tak, to czemu nęka go bezsenność? Albo koszmary, gdy wreszcie zdoła zasnąć?

- Czy pani sądzi, że każdy Francuz lub Francuzka to człowiek zły, a każdy Brytyjczyk, Rosjanin, Prusak czy Hiszpan jest dobry?

Oczywiście, że nie, ale Napoleon Bonaparte to zło. I każdy, kto się za niego bije.

- Myślę, że we Francji wiele matek, których synowie polegli na wojnie, także wierzy, że brytyjscy żołnierze to wcielenie zła.

Chciała coś odpowiedzieć, ale umilkła.

- To wojna jest złem - rzekła wreszcie. - A wojny wywołują i toczą mężczyźni. Czy ta szrama na podbródku jest blizną po ranie wojennej?

Biegła od lewego końca szczęki aż po czubek brody.

- Tak, z bitwy pod Talaverą. Gdybym dostał trochę niżej, byłoby po mnie. - Z uśmiechem przeciągnął palcem po rękę, która trzymała wa chlarz, od bufiastego rękawa po górną krawędź rękawiczki. Skórę miała ciepłą i jedwabistą.

Otaczał ich gwar rozmów, bo widzowie wymieniali uwagi o sztuce oraz ploteczki. Mimo to obydwójce poczuli się nagle jak przeniesieni do innego świata. Kit poczuł przypływ pożądania do kobiety, która nie zrobiła nic, by je wzbudzić. Była piękna, lecz mało w niej było kobiecego wdzięku. Nawet się nie uśmiechała. A jednak jej zapragnął.

Odsunęła ramię.

- Proszę mnie nie dotykać, hrabio. Przecież niczym pana nie ośmieliłam. Po co było... zastawiać dziś na mnie tę pułapkę?

- Znużyło mnie bywanie na ciągnących się bez końca zabawach. Stałem się niepokojąco wręcz przyzwoity. I nie dałem dobremu towarzystwu żadnej pożywki do plotek przez ponad tydzień. To zmusiło mnie do działania.

- Gdybym na balu śmiała się niemądrze lub chichotała w Hyde Parku, od razu straciłby pan zainteresowanie mną.

- Na Boga, ma pani słuszność. - Co za bystra uwaga!

- Lepiej nie wzywać boskiego imienia nadaremno! - Powiedziała to z powagą, która go zachwyciła. - Widzę, że obrałam niewłaściwą metodą: pana należało ośmielać.

- Jeszcze można to naprawić. - Przysunął się z krzesłem nieco bliżej.

- Kpi pan sobie ze mnie. I to bez przerwy. Wciąż widzę rozbawienie w pańskich oczach.

- To niesprawiedliwe. Uśmiechają się z zachwytem, ilekroć spoczną na pani, bo widzą kobietę tak piękną, że nie chce się już im spoglądać na żadną inną ani o innej marzyć.

Bawił się znakomicie, starając się o jej względy w zupełnie inny sposób, niż zamierzał, bez żadnych ceregieli. Tej kobiety nie można zdobywać banalnymi sposobami.

- Pozostanę przy swoim zdaniu -tu nieznacznie się zarumieniła. - Nie mamy ze sobą nic wspólnego, co mogłoby się przyczynić do zawarcia



blizszej znajomości, jeśli taki był pański zamiar. Różnimy się od siebie jak noc i dzień.

- Ale pomiędzy dniem i nocą jest także brzask i zmierzch. - Kit zniżył głos, przysunął oczy i przysunął twarz do jej policzka. - Niekiedy są to najpiękniejsze chwile z całych dwudziestu czterech godzin. Wschód i za chód słońca mogą siać blask i wzbudzać namiętność lub tęsknotę. - Uśmiechnął się i dotknął końcami palców jej dłoni w rękawiczkę.

Cofnęła ją gwałtownie, lecz przypomniała sobie, że znajdują się na widoku w publicznym miejscu, sięgnęła więc po wachlarz, żeby osłonić zaróżowione policzki.

- Nie wiem, czym jest namiętność. Traci pan czas. Takie słowa nigdy nie robią na mnie wrażenia.

- W tym teatrze jest stanowczo za gorąco - powiedział, patrząc na jej wachlarz.

Przestała nagle nim poruszać i spojrzała na niego. Sądził, że się odsunie, widząc, jak blisko siebie się znaleźli, lecz nie zrobiła tego. Czuł, że wzbiera w niej gniew, i chciał, żeby dała mu się ponieść, nawet tu, w teatrze. Zwłaszcza w teatrze. Od razu zaczęto by o nich plotkować. Opanowała się jednak.

- Lepiej byłoby, gdyby przestał mi się pan narzucać. Nie przyjmę już żadnego zaproszenia, jeśli będzie się z nim wiązała pańska obecność. Zwykłam przestawać z dżentelmenami naprawdę godnymi tego miana.

- Jakież to nudne...

- Być może. - Złożyła wachlarz. - Ale lubię nudne życie. Chyba jestem nudną osobą.

- W takim razie powinna pani wyjść za kogoś w rodzaju Bartletta-Howe'a czy Stennsona. Przy każdym ruchu ciągnie się za nimi tuman kurzu.

Przez moment myślał, że wybuchnie śmiechem, a potem zrozumiał, że nabiera tchu, chcąc dać mu ostrą odprawę, do czego za wszelką cenę chciał doprowadzić - ale, niestety, otworzyły się drzwi łoży, nim zdołała zrobić jedno lub drugie. Odwróciła więc szybko głowę, znów patrząc na parter.

Kit wstał, skłonił się państwu Merklinger i ich córce, pomógł im zająć miejsca i spytał, jak im się podobał pierwszy akt. Mrugnął szelmowsko do Farringtona, który udał, że niczego nie widzi, i znów usiadł koło Lauren, nim jeszcze wrócili Wilma i Sutton, opowiadając o wszystkim, o czym rozmawiali z lady Bridges w jej łoży.

## 5

Przez pięć dni wciąż padało i można było spacerować co najwyżej po małym ogródku na tyłach siedziby Portfreyów, w krótkich przerwach między kolejnymi ulewami. Lauren czułaby się całkiem dobrze, siedząc spokojnie w domu przy Elizabeth z robótką lub piórem w ręku, lecz wszystko sprzyścięło się, by jej w tym przeszkodzić.

Księżna Anburey nazajutrz po spektaklu przyszła z wizytą i łagodnie zbesztła Lauren za pozostanie z wicehrabią, gdy Wilma chciała, bardzo stosownie, zaprowadzić ją do łoża lorda Bridgesa. I chociaż Lauren przypomniała, że pozostała w łożu lorda Farringtona z własnej woli, a ich *tete-a-tete* rozgrywało się na oczach wszystkich, ciotka orzekła, że troska damy o swoją reputację nigdy nie jest przesadna. Zwłaszcza w jej przypadku, dodała z naciskiem.

Zaprosiła też Portfreyów i Lauren na obiad następnego wieczoru, zaznaczając, że będzie to miłe, rodzinne spotkanie. Lauren doszła później do wniosku że ciotka miała chyba na myśli obecność pewnego pana, jednego z szacownych, a nudnych przyjaciół Suttona, który - choć siedział przy niej przez cały wieczór - prawie na nią nie spojrzał. Doprawdy, okropnie irytującą rzeczą jest mieć dwadzieścia sześć lat, być porzuconą panną młodą oraz obiektem podejmowanych w najlepszych intencjach matrymonialnych zabiegów licznych krewnych.

Wkrótce jednak usłyszała o wicehrabi ponownie. Po obiedzie lord Sutton uraczył całe towarzystwo relacją o swoim najnowszym skandalicznym wyczynie. Dzień wcześniej Ravensberg zrobił z siebie widowisko, pływając w Serpentine, stawie w Hyde Parku, w biały dzień, pomiędzy dwiema ulewami, ubrany tylko w... tu hrabia urwał ze względu na obecność dam. Ravensberg śmiał się wesoło, wychodząc z wody w szokująco skąpym stroju - był nawet bez butów! Potem złożył głęboki ukłon lady Waddingthorpe i pani Healy-Ryde. Obydwie zatrzymały się tam mimo zażenowania niesłychanym widokiem, chcąc go ostrzec, że hańbi swoje nazwisko, rodzinę i mundur, który do niedawna nosił. Rzecz jasna, to one ledwie godzinę później puściły w obieg tę historię, poczynając od salonu lady Jersey.

Godny szacunku młodzieniec zapewnił Lauren uroczyście, że tacy ludzie nie zasługują na miano dżentelmenów.

W tym samym tygodniu nadeszło kilka listów z domu, w tym jeden od Gwendoline, kuzynki i najlepszej przyjaciółki Lauren. Wychowywały się

razem i nie rozstawały przez większą część życia. Gwen donosiła, że jej matka, owdowiała hrabina, otrzymała list od ciotki Sadie.

„Najwyraźniej szykuje ci całą armię godnych szacunku konkurentów, na pewno beznadziejnie sztywnych. Biedna Lauren! Czy już spotkałaś kogoś odpowiedniego? Och, wiem, że nie chcesz adoratora, stosownego lub nie, ale... czy masz może kogoś takiego?”

Lauren widziała oczami wyobraźni figlarny uśmiezek Gwen. Oczywiście nikogo nie miała. Jej myśli pobiegły zupełnie innym torem: czy on świadomie prowokuje te skandale? Pływać półnago w Serpentine, też pomysły!

Gwen skończyła list zdaniem napisanym ciemniejszym atramentem, jakby długo siedziała przy biurku, dumając, co by tu jeszcze dodać, i zanurzając raz po raz pióro w kałamarzu: „Lily i Neville oznajmili nam dziś rano szczęśliwą nowinę: Lily jest przy nadziei”.

I to było wszystko. Bez żadnych szczegółów. Bez opisu Lily, która musiała wprost promieniować radością, bez wzmianki, że Neville'a rozpieła duma lub że ciotka rozplakała się na wieść o pierwszym wnuku. Ani słowa o dotkliwym żalu Gwen, która straciła swoje nienarodzone dziecko po upadku z konia i na zawsze pozostała bezpłodna.

Tylko sucha informacja, że Lily oczekuje dziecka. Lily i Elizabeth, dwie młode małżonki, obydwie były w ciąży, obydwie tak szczęśliwe. A tymczasem Lauren zamierzała osiąść gdzieś jako samotna stara panna i próbowała przekonać samą siebie, że właśnie tego najbardziej w życiu pragnie.

Lily oczywiście podzieliła się nowiną z ojcem. Lauren siedziała właśnie z Elizabeth w saloniku, kiedy hrabia pokazał list żonie.

- Och, naprawdę, Lyndonie? - Elizabeth położyła ręce na brzuchu. - Lily sądziła, że nie może mieć dzieci! - Przygryzła wargę i spojrzała z zakłopotaniem na Lauren.

Lauren uśmiechnęła się najserdeczniej, jak potrafiła.

- Wasza Miłość musi się ogromnie cieszyć.

- Rzeczywiście. A przynajmniej cieszyłem się aż do chwili, kiedy zrozumiałem, że teraz będę drżał i o żonę, i o córkę.

Lauren odłożyła haft, nad którym pracowała, i odeszła, zostawiając ich samych.

Po sześciu dniach znalazła przy swoim nakryciu list. Było to zaproszenie na obiad, który nazajutrz wydawała pani Merklinger. Potem zaś miało się odbyć przyjęcie w prywatnej loży, zarezerwowanej przez pana Merklingera w Vauxhall Gardens, z tańcami i fajerwerkami.

W teatrze zamieniła z państwem Merklinger ledwie parę słów. Nie mieli wspólnych znajomych. Jedynym wytłumaczeniem tego, że zaproszono ją

na to małe, ekskluzywne przyjęcie, był fakt, że wśród gości znajdzie się wicehrabia Ravensberg.

Powiedziała mu stanowczo, że nie chce mieć z nim więcej do czynienia. Po sześciu dniach uznała, że się z tym pogodził, i ulżyło jej. Musiała jednak szczerze przyznać, że te sześć dni okazało się nudnych nie do zniesienia, choć nie różniły się specjalnie od innych dni jej życia. Musi odrzucić zaproszenie. Nie zniesie jego pochlebstw, tak jawnie nieszczerych! Musi odmówić. A jednak...

A jednak mówiono, że wieczory w Vauxhall Gardens są zachwycające.

Ciekawiło ją też, jak on się wobec niej zachowa po tym, jak jasno dała mu do zrozumienia, że nie interesuje jej znajomość z kimś takim jak on.

A ciotka Sadie, Wilma i Sutton tak nim pogardzają! Już samo to jest dla niego dostateczną rekomendacją, jak pomyślała z poczuciem winy.

Wkrótce Elizabeth będzie rodziła.

Lily jest w ciąży, Neville zaś żonatym mężczyzną, który wkrótce zostanie ojcem. Co Lauren ma ze sobą zrobić?

- Co powinnam zrobić? - spytała Elizabeth, gdy ta przeczytała zaproszenie.

- Czy sądzisz, że Ravensberg tam będzie?

-Tak.

- Jak więc zamierzasz postąpić?

- To lekkomyślny człowiek - odparła. - Po cóż dostarczał tematu do plotek, pływając w Serpentine, a potem, przyłapany, drwił z upomnień?

- Ale jest też bardzo przystojnym młodzieńcem. I najwyraźniej ci się podoba. Nie wiem, co ci poradzić. Potępiasz czy pragniesz? To właśnie pytanie, na które trzeba znaleźć odpowiedź.

- Wcale mnie nie pociąga - obruszyła się Lauren.

- Jeśli tak, to możesz spokojnie pójść na zabawę do Vauxhall. Chyba że on ci się wydaje odpychający.

-Bynajmniej.

Elizabeth złożyła serwetkę koło nakrycia i wstała od stołu, przesuwając dłonią po wypukłym brzuchu.

- Lauren, jesteśmy oboje z Lyndonem zmartwieni tym, że nowina o ciąży Lily, która nadeszła tak szybko po twoim przyjeździe, nie pozwoli ci zapomnieć o bolesnych przeżyciach. - Wzięła ją za rękę, kierując się w stronę saloniku. - Nie, nie zaprzeczaj. Wiem doskonale, jak byłaś przywiązana do Neville'a. Przyrzekłam sobie jednak, że nie będę powtarzała błędów Sadie, która chce ci na siłę układać życie. - Westchnęła. - Ale też nie mogę oprzeć się chęci pomocy. Lauren, proszę cię, nie myśl,

że nie masz już szansy na szczęście. Tylko ty sama wiesz, co może cię uszczęśliwić, i jeśli spokojna egzystencja z dala od zgiełku jest tym, czego pragniesz, wezmę cię w obronę przed wszystkimi ciotkami Sadie na świecie. Tylko że... Nie, wole nic więcej nie mówić. Naprawdę chcesz mojej rady?

- Nie - odparła Lauren po chwili namysłu. Uśmiechnęła się smutno. - Źle zrobiłam, prosząc o nią. Powinnam pójść i już! Zawsze chciałam zobaczyć Vauxhall. A lord Ravensberg ani mnie nie pociąga, ani nie odpycha. Jest mi obojętne, czy będzie wśród gości, czy nie.

Elizabeth poklepała ją po ramieniu.

Kilka minut później, gdy znalazła się w swoim pokoju, Lauren przypomniały się nagle słowa, na które wtedy nie znalazła odpowiedzi. „Powinna pani wyjść za kogoś w rodzaju Bartletta-Howe'a czy Stennsona. Przy każdym ruchu ciągnie się za nimi tuman kurzu”.

Jakże były niewiarygodnie brutalne! Jak wspaniale nieuprzejme! Jakie zachwycające!

Lauren porwała z krzesła poduszkę i przycisnęła ją do ust, tłumiąc wybuch śmiechu. Potem odrzuciła ją i zaczęła gorączkowo szukać chusteczki, żeby wytrzeć załzawione oczy.

Nie należy go ośmielać nawet tym niesłyszczanym przez nikogo śmiechem, skarciła się w duchu.

Kiedy popłynęli do Vauxhall Gardens łódką, było już ciemno. Wprawdzie mogli tam pojechać powozem przez most na Tamizie, ale po cóż było tracić wspaniałą sposobność do romantycznej przeprawy łódką, zwłaszcza że deszcz ustał i zapowiadała się piękna noc, z gwiazdami i pełnią księżyca.

Czemuzby nie? - pomyślał Kit, podając jej rękę przy wejściu do łodzi i sadowiąc się obok niej. Podczas obiadu również przy niej siedział, ponieważ pani Merklinger najwyraźniej doszła do wniosku, że są już parą, podobnie jak uparcie starała się wyswatać Farringtona ze swoją córeczką, o czym zawzięcie plotkowano.

- No i pożegnawali na koniec świata, do krainy cudów i czarów, na miłe zaloty...

- Ależ my tylko przepływamy Tamizę w drodze do Vauxhall Gardens. To zajmie ledwie dziesięć minut.

Wreszcie odezwała się do niego! Unikała tego podczas obiadu, gawędząc wyłącznie z Merklingerem, który siedział po jej drugiej stronie.

- Vauxhall też jest cudowną, zaczarowaną krainą, miejscem zalotów i innych romantycznych brewerii. Była tam pani?

- Nie. A rozmowa z panem nabiera niezbyt przyzwoitego charakteru.

Czy ona wie, jak jej do twarzy ze zgorzeniem? Na samą wzmiankę o zalotach zrobiła się sztywna jak pogrzebacz, uniosła podbródek i zaczęła patrzeć na wodę. Miała na sobie ten sam, co w teatrze, lawendowo-błękitny płaszcz. Naciągnęła obszerny kaptur na ciemne loki, choć wieczór był ciepły. Niżej widać było suknię z kremowej koronki na jedwabnym spodzie, z wysokim stanem i długimi rękawami. Już podczas obiadu zastanawiało go, czemu zawsze jest najlepiej ubrana ze wszystkich mimo prostoty stroju. Odpowiedź nasuwała się sama. Nie tylko jest damą, lecz także ma wyśmienity gust!

Tego wieczoru czekało go trudne zadanie. Zostało mu już tylko dzień dni. Musi się z nią ożenić w tym czasie albo straci trzysta gwinei. Czy to możliwe? Nie wiedział. Ale słowo „niemożliwe" nie istniało w jego słowniku.

Wokoło słychać było kobiecą paplaninę. Panna Merklinger i jej kuzynka, panna Abbott, zachwyciły się wszystkim z młodzieńczym entuzjazmem.

W końcu Lauren Edgeworth, milcząca od czasu ostatniej, zgryźliwej uwagi, odezwała się znowu, na wpół odwrócona w stronę wody:

- Czemu pływał pan półnago w Serpentine? Po co robił pan z siebie widowisko? Czy to pana bawi?

- Ach, o to chodzi... - Roześmiał się. - Dotarły do pani plotki?

- Spodziewa się pan, że pozwolę, by kojarzono nasze nazwiska?

- Nie życzy sobie pani zażyłości z kimś, kto w publicznym miejscu robi z siebie widowisko? Z kimś osławionym? Jakże mi przykro! Proszę jednak wziąć pod uwagę, że to dziecko darło się wprost rozpaczliwie, a niania była u kresu wytrzymałości. Chyba doszła do wniosku, że będzie musiała dać mu tęgę lanie.

- Jakie dziecko? - odwróciła się wreszcie z grymasem niechęci.

Zaśmiał się. Wyglądała prześlicznie nawet z tak srogą miną.

- Mogłem się spodziewać, że te dwie stare plotkary puszczą w obieg tylko część prawdy. Widzi pani, dziecko miało nową łódeczkę, która przez całą minutę żeglowała wspaniale po stawie ku horyzontowi, skakało więc z radości i wydawało okrzyki godne sierżanta piechoty. A potem nagle chlup! I już jej nie było widać, tylko parę baniek unosiło się na powierzchni kilka metrów od brzegu.

- A więc zanurkował pan, żeby ją wyłowić? - Niedowierzenie mieszało się w jej głosie ze wzgardą.

- Nie od razu. Dopiero gdy zrozumiałem, że niańka zupełnie zawiodła w kryzysowej sytuacji. A który kapitan mógłby spokojnie patrzeć na tonący statek? Kiedy stwierdziłem, że będę tylko bezradnym świadkiem lania, jakie niańka zamierzała spuścić rozhisteryzowanemu bachorowi, zrzuciłem tyle łańców, ile się dało - pewnie różnie podają ich liczbę - i wyłowilem łódeczkę z mułu. Postąpiłem jak bohater. Smarkacz też był tego zdania.

Patrzyła na niego oniemiała.

- Widzi pani, ja też byłem kiedyś chłopcem.

- Czy pan w ogóle dorósł? - Przygryzła wargę, jakby chciała powstrzymać śmiech?

- Lady Waddingthorpe i pani Healy-Ryde nadęły się z oburzenia jak dwa balony - dodał ze złośliwą satysfakcją.

Nawet przy świetle księżyca mógł przez chwilę dostrzec w jej oczach rozbawienie. Tylko że - niech to licha! - nim zdołała wyrazić je słowami, radosne okrzyki obydwu panien uświadomiły wszystkim, że dobijają do brzegu. Na falach migotało światło licznych lamp rozwieszonych wśród drzew Vauxhall Gardens.

Lauren Edgeworth zdołała jedynie krzyknąć:

- Och!

- A nie mówiłem, że to zaklęta kraina?

- Magiczna - przytaknęła z takim zapalem, że, jak się domyślił, przynajmniej raz nie zdołała zachować niewzruszonej godności.

Podał jej rękę i poszli wraz z innymi w głąb ogrodu, którego urok poruszył Kita, mimo że widział niejedno. Długie kolumnady, rzędy drzew i szerokie aleje nawet w biały dzień mogły nastroić marzycielsko. Wieczorem zaś wszystko przeobrażało się w krainę czarów. Barwne lampy mrugały zza portyków i spomiędzy gałęzi, zapalały się gwiazdy i księżyc na czarnym sklepieniu. Dźwięki muzyki dobiegające z pawilonów tłumiły gwar rozmów. Było to idealne tło dla zalotów.

I oświadczyn.

Zasiedli w wynajętej przez Merklintera łoży, tuż przy orkiestrze i miejscu, gdzie miały się odbywać tańce. Jedli truskawki ze śmietaną, pili wino i rozkoszowali się wieczornym powietrzem. Pani Merklinger wciąż zabiegała o względy Farringtona, rzecz jasna z myślą o córce. Pan Merklinger pozdrawiał wszystkich, którzy przechodzili koło ich łoży, i z każdym, kto się zatrzymał, nawiązywał żywą rozmowę.

- Zatańczy pani ze mną walca? - zapytał Kit.  
- Ach, cudownie! - zawołała panna Merklinger i klasnęła w dłonie.  
-Zatańczymy go wszyscy! Dobrze, mamó?

Na szczęście Kit zrozumiał, że chodzi jej o Farringtona, który podniósł się posłusznie z krzesła. Pani Merklinger uśmiechnęła się do nich serdecznie.

- Och, walc! Nie każda matrona zgodziłaby się na to, moja miła, ale w Vauxhall nie trzeba się chyba stosować do tak surowych reguł. Tańcz cie więc i bawcie się jak najlepiej!

I Kit zatańczył walca z Lauren, podobnie jak dwie pozostałe pary, w świetle gwiazd i lampionów. Koronkowa suknia Lauren falowała na wietrze. Znów się przekonał, że wygięcie jej talii jest jak stworzone dla jego dłoni. Tańczyła elegancko i wdzięcznie, a wyglądała piękniej, niż mógł sobie wymarzyć.

Będzie znakomitą hrabiną. Ojciec powinien pogodzić się z faktem, że to nie Freja. Jakże różnią się od siebie... Nie chciał jednak zastanawiać się nad tym teraz. Lauren jest idealna.

- Czy może być coś bardziej romantycznego od walca pod gwiazdami?  
- spytał cicho, tak żeby słyszała go tylko ona.

Spojrzała mu prosto w twarz.

- Sądzę - odparła poważnie - że to zależy od partnera.

- A czy może być coś bardziej romantycznego od tego właśnie walca, którego tańczymy?

- Owszem, przynajmniej parę rzeczy, hrabio. - Ależ mu się odcięła!

- Kilka z nich mógłbym sobie wyobrazić. - Świadomie skierował wzrok na jej usta i mocniej objął ją w pasie. Po cóż, u licha, naprzykrza jej się, kiedy powinien się zalecać?

- Czemu pan się upiera, żeby ze mną flirtować? Czy nie dałam jasno do zrozumienia, że pochlebstwa są mi obojętne? Czy to mój opór pana bawi?

Rozśmieszyły go te słowa. Surowa godność, która powinna była irytować, nagle zaczęła wydawać mu się wzruszająca.

Zamiast odpowiedzi mocniej objął ją w talii. Lauren jednak nie pozwoliła na to, odsunęła się na właściwą odległość i spojrzała na niego z wyrzutem.

- Och, ten cymbał o mało pani nie przewrócił. - Kit wskazał na korpu lentnego młodzieńca, który ledwo uniknął zderzenia z kolejną parą, i za śmiał się. - Kiedy walc się skończy, zabiorę panią na spacer. A jeszcze przed usłyszeniem stanowczego „nie”, do którego już pani nabiera tchu, bardzo stosownie zaproponuję, żeby ktoś nam towarzyszył.

Zamknęła półotwarte usta i spojrzała na niego podejrzliwie.



- To doskonała okazja, żeby zobaczyć Vauxhall! Ścieżki są obsadzone drzewami, zupełnie jak na wsi, i niewiarygodnie wręcz romantyczne.
- Nie przyszłam tu dla romansów.
- Są jeszcze inne możliwości. - Uśmiechnął się łobuzersko i znów zawirowali w tańcu. - A więc po co pani tu przyszła?
- Zwleką z odpowiedzią. Westchnął. Czuł, że muzyka zaraz ucichnie.
- No, niechże pani pójdzie ze mną na ten spacer. Oczywiście w towarzystwie. - Jeśli nie zdoła tego towarzystwa zgubić tuż za pawilonem, straci przewagę w grze.
- Muzyka przestała grać, lecz oni wciąż stali, spoglądając na siebie, podczas gdy wszystkie inne pary wróciły do łóż.
- Waha się pani, bo pływałem w Serpentine, mając na sobie tylko pantalon?
- Stroi pan sobie żarty ze wszystkiego. Czy w ogóle bierze pan cokolwiek na serio?
- Parę rzeczy. Niech się pani zgodzi na spacer.
- Dobrze - westchnęła w końcu. - Tylko koniecznie musi pójść z nami ktoś jeszcze. Nie pozwolę na żaden flirt ani na umizgi.
- Obiecuję, że nie będę flirtował ani zalecał się do pani - wyrecytował, kładąc rękę na sercu.
- Nie wyglądała na przekonaną. Dobrze
- powiedziała po raz drugi.

## 6

Lauren kochała piękno. Park w Newbury Abbey był zachwycający, zwłaszcza w słoneczny letni dzień, kiedy wiatr od morza nie dmuchał zbyt ostro. Najbardziej lubiła trawniki i kwietniki, a więc te części parku, gdzie przyrodę oswojono i okiełznano. Nigdy nie zdołała pokochać zarosniętej doliny ani plaży, które też do niego przecież należały. Tam natura była nieposkromiona i dzika. Te miejsca ją przerażały, choć nie rozumiała, dlaczego. Może przypominały jej o tym, że człowiek ma niewielki wpływ na swój los? I że tuż za progiem czyha chaos.

A chaos przejmował ją zgrozą.

Ogrody Vauxhall Gardens były prześliczne, a natura ujęta w ryzy. Las rozświetlały lampy, przecinały go szerokie, dobrze oświetlone alejki

z posągami i grotami. Spacerowało tu mnóstwo ludzi i wszyscy bez wyjątku zachowywali się nienagannie.

A jednak czuła jakieś nieokreślone zagrożenie. Panna Merklinger, lord Farrington, panna Abbott, pan Weller szli przodem, śmiejąc się i gawędząc. Lord Ravensberg nie włączył się jednak do rozmowy, chociaż lord Farrington był jego bliskim przyjacielem. W dodatku z każdą chwilą rosła odległość między nimi dwojgiem a resztą.

Wśród drzew wiły się węższe ścieżki - mroczniejsze i bardziej tajemnicze niż główne trakty.

Lauren była niemal pewna, że Ravensberg pragnie skrócić w jedną z nich. Wzdrygnęła się. Chciała przyspieszyć kroku i dogonić pozostałych. Albo gdy nadejdzie ta chwila, stanowczo odmówić oddalenia się od nich. Przecież nie może jej do niczego zmusić. Lauren Edgeworth zawsze wiedziała, co chce robić, a czego nie, i na pewno nie miała ochoty zbaczać na odludną ścieżkę z nieznanym człowiekiem, któremu w głowie były tylko zaloty.

A jednak okazało się to ogromną pokusą. Czym właściwie są zaloty? Na pewno muszą być czymś innym niż zwykły flirt. Flirtować można w towarzystwie, a zaloty... Przedtem nie ciekawiło jej to ani trochę.

A tej nocy - owszem.

- Co za tłok na tej alejce - odezwał się wicehrabia, nachylając się ku niej. - Czy nie chciałaby pani wybrać jakiejś spokojniejszej ścieżki? Jego rozbawiony wzrok najwyraźniej z niej kpił. Oczywiście wiedział, że ona rozumie, o co chodzi. Ale czy wiedział też, jak ją to kusi?

Czuła się między młotem a kowadłem. Mogła i powinna była powiedzieć „nie”, a wtedy wszystko by się skończyło. Mogła też powiedzieć „tak”... i zaryzykować... Co? Kompromitację? Skandal? Zostali sami. Czy on chce ją ukradkiem pocałować? Neville zrobił to tylko raz. Miała dwadzieścia sześć lat i tylko jeden raz się całowała. Z byłym narzeczonym. A może wicehrabiemu chodzi o coś więcej?

- Z miłą chęcią - usłyszała własne słowa, nim jeszcze zdołała przekonać samą siebie, że należy odmówić.

Szybko skręcili w wąską ścieżynkę po lewej. Pozostałe pary poszły dalej, nie zauważając, że się od nich odłączyli.

Lord Ravensberg przycisnął jej ramię do swego boku. Wąziutka ścieżka nie dawała wyboru - ścieżka i wysokie, mroczne drzewa, których korony stykały się w górze, tłumiąc blask księżyca. Świeciły tylko lampy ukryte gdzieś w listowiu.

Nie należało się na to godzić! Było gorzej, niż się spodziewała. Głosy i muzyka cichły, wokół nie było nikogo.

Dlaczego się zgodziła? Z ciekawości? Czy dlatego że chciała, by ją pocałował?

Żeby się choć odezwał! Ona wprawdzie potrafiła prowadzić uprzejmą rozmowę, ale każdy temat wydawał się jej w tych okolicznościach beznadziejnie śmieszny.

- Chcę panią pocałować - powiedział po prostu i przez chwilę nie do cierało do niej znaczenie tych słów. Pierwsze zorientowało się serce i zaczęło trzepotać jak ptak w klatce, utrudniając oddychanie.

Czym może być pocałunek z kimś takim jak wicehrabia Ravensberg? Czemu nie odmówiła mu natychmiast, stanowczo i ozięble? Zamiast tego spytała tylko:

- Dlaczego?

Zaśmiał się cicho.

- Bo pani jest kobietą, piękną kobietą, a ja mężczyzną. I dlatego że pani pragnę.

Lauren miała wrażenie, że zaraz osunie się na trawę. Czy tak wygląda ją zaloty?

Słowa, których użył, sprawiły, że poczuła zamęt w głowie. A jednak szli dalej ścieżką, jakby rozmawiali o pogodzie. On nie tylko chce ją pocałować, on jej pragnie! Czy ona może budzić pożądanie? Czy rzeczywiście jest piękną kobietą? Tego już się chyba nie da nazwać zalotami! Wpadła w sidła doświadczonego rozpustnika.

Przystanęli jednocześnie i przez chwilę na siebie patrzyli. Słabe światło dalekiej lampy migotało na jego twarzy. Uniósł rękę i powiódł delikatnie palcami po jej podbródku.

- Niech mi pani pozwoli się pocałować.

Zamknęła oczy i skinęła głową, jakby to, że nie była w stanie wymówić słowa, zdjęło z niej odpowiedzialność za wszystko, co teraz nastąpi.

Poczuła, że jego ręce obejmują ją w pasie. Przyciągnęły ją do siebie i, choć wcale nie ruszyła się z miejsca, dotknęła piersiami jego torsu, a potem przyłgnęła do niego. Wsparła dłonie na jego ramionach. Otworzyła oczy i ujrzała jego twarz tuż przy swojej. Ich usta się zetknęły.

Trwali tak przez kilka chwil, a ona napawała się niezwykłym doznaniami. A potem Ravensberg zrobił jednocześnie jeszcze dwie rzeczy: Przesunął językiem po jej wargach, a jego ręka przesunęła się poniżej talii, przyciskając ją tak mocno, że zetknęły się ich uda, a...

Zakręciło jej się w głowie. Odchyliła się gwałtownie do tyłu. Jakież to rozumne, że niezamężnej damie nie wypada przebywać samej z mężczyzną, póki nie są zaręczeni! Nigdy nie doznała czegoś takiego z Neville'em. Neville'był... dzentelmenem.

- Dostyc, hrabio. - Starala się, by zabrzmialo to jak najbardziej lodowato. - Dostyc juz tego.

- Panno Edgeworth. - Patrzyl na nia, z glowa lekko przechylo na bok. Nie usilowal objac jej ponownie. Nie dotykal jej nawet, zalozyl rece na plecach. Mimo to cofnela się o krok, chcąc być dalej od niego, tak daleko, jak tylko pozwalaly na to drzewa. - Czy zechce mnie pani zaszczyć przyjęciem moich oświadczeń?

Odebralo jej mowe. Te slowa byly tak nieoczekiwane, ze dopiero po chwili dotarl do niej ich sens. To wcale nie byly zaloty. On ja prosil o reke!

- Dlaczego? - wyrwalo się jej.

- Gdy tylko ujrzalem pania na balu, zrozumialem, ze taka wlasnie kobieta pragne poslubic. Jesli i ona mnie zechce.

Kazda dziewczyna marzy, zeby to wlasnie ja wybrano z tlumu innych. Zeby z Kopciuska zmienic się w jednej chwili w wybranke księcia z bajki. Tylko ze ona nie jest juz dziewczyna i rozumie roznicę między bajka a rzeczywistoscia. Nie wierzy w miłość od pierwszego wejrzenia. Ani w miłość romantyczna.

- Moje uczucie roslo z kazdym dniem. Z kazda godzina - dodal.

- Doprawdy? - Szczerze zalowala, ze nie stac ja na dziewczęca naiwnosc, na wiarę w bajkowy romans.

- Jest pani piekna, wytworna, pelna gracji idealna dama. Zakochalem się w pani bez pamieci.

Dopiero te slowa wyrwaly ja z oslupienia. Mężczyzni nie zakochuja się bez pamieci. Młode dziewczęta owszem, ale oni nie. Sa na to zbyt pragmatyczni. Lord Ravensberg nie wydawal jej się kimś, kto moglby się zakochac w jakiejkolwiek kobiecie. Poza tym takie jak ona nie wzbudzaja w mężczyznach burzy uczuć.

- Hrabio - spojrzala mu prosto w oczy, zalujac, ze nie jest choc troche jasnij - co to za żarty?

- Żarty? - Przynal się nieco.

Odwrócila się gwałtownie i odeszla kilka kroków. - Czy chodzi o mój majątek? Chce się pan ozenic z pieniędzmi?

Jestem dostatecznie zamożny - odparl po krótkiej pauzie - a odziedzicze duzo wiecej.

- Po co wiec to wszystko? - Spojrzala przed siebie, dostrzegajac mi mochodem zmienna gre błękitnawych cieni i światla odleglej lampy. - Po co przyszedl pan na bal? Mówiono mi, ze nie byl pan na zadnym innym. Dlaczego zatańczyl pan tylko ze mna? Bo zdecydowal się pan na oświadczenie, nie widzac mnie wczesniej, prawda?

- Widziałem już panią w parku. Chyba pani pamięta. Niełatwo to zapamiętać.

Wicehrabia miał niespełna trzydzieści lat, może trochę więcej. Dziedziczył hrabiowski tytuł. Nic dziwnego, że postanowił się w końcu ożenić. Tylko dlaczego akurat z nią? I w dodatku zanim ją poznał? Ani trochę nie wierzyła, że mógł się w niej zakochać, widząc ją tylko przelotnie. Odwróciła się. Twarz, którą widziała teraz w jaśniejszym świetle, nie była już rozbawiona.

- Pańska namiętność jest udawana. Po co kłamać? To mnie obraża. Wolałabym prawdę.

Uśmiech znikł z jego twarzy, rysy stężały. Teraz mogła sobie wyobrazić, że był oficerem.

- Obraza - powtórzył cicho. - Obraziłem panią. Może to i racja.

Serce podeszło jej do gardła. A więc nie myliła się. Niczego względem niej nie czuje. Przeszył ją chłód. Nie jest piękna. Nie budzi pożądania. Okazała się jedynie idealną partią, stosowną dla hrabiowskiego dziedzica. Spojrzała na ławeczkę, której wcześniej nie dostrzegła, i usiadła na niej, otulając się płaszczem. Ravensberg zbliżył się wprawdzie, lecz nie zamierzał usiąść koło niej.

- Honor zawsze znaczył dla mnie najwięcej - przemówił tonem tak poważnym, że ledwie poznała jego głos. - Kiedy zaciągnąłem się do wojska, był dla mnie ważniejszy niż własne życie, nawet życie drogiej mi osób. A jednak... - Urwał. - Postąpiłem względem pani najzupełniej niehonorowo. Jestem szczerze przygnębiony i proszę o przebaczenie. Czy mogę odprowadzić panią do Merklingerów?

Niehonorowo? Dlatego że udawał miłość, której nie czuł? Czemu tak ją to zasmuciło? Przecież nigdy mu nie wierzyła.

- Chyba winien mi pan jest wyjaśnienie. - Wcale nie była pewna, czy chce tego słuchać.

Przez dłuższą chwilę myślała, że jej nie odpowie. Usłyszała niedaleko czyjeś kroki, szepty i śmiechy, lecz szybko się oddaliły i ucichły. Z oddali dolatywały dźwięki kolejnego walca.

- Wystarczy, że pani powiem - odparł, głośno nabierając powietrza - iż założyłem się z trzema przyjaciółmi, że zdobędę panią i poślubię do końca tego miesiąca.

Co to za uczucie? Zgorszenie? Gniew? Oszłomienie? Ból? Upokorzenie? Lauren daremnie starała się zachować zimną krew. - Zakład? - szepnęła.

- Wybrałem panią ze względu na nieposzlakowaną opinię, godność i dystynkcję. Moi... przyjaciele uznali, że pani z pewnością da mi kosza.

- Bo jest pan łajdakiem? A więc to była tylko gra? - spytała głucho.  
-Zresztą wyjątkowo niemądra. W razie wygranej do końca życia miałby pan za żonę nudną damę. Bo ja taka właśnie jestem, hrabio.

Śmieszne, że aż tak ją to zabolalo. Przecież ten mężczyzna nigdy nie budził jej szacunku. Nie dowierzała też jego niedorzecznym pochlebstwom. A teraz nim pogardza. Cóż to jednak znaczy wobec tego, że założył się tylko dlatego, że jest mdła i nudna! Bo godność, dystynkcja i respekt do tego się w jego opinii sprowadzają. Miał zresztą rację. Była dokładnie taka, jak myślał, tyle że była z tego dumna. Dziś zresztą też. A więc jej ból jest bezzasadny. Zresztą to nie ból. Raczej gniew, bardziej na siebie niż na niego. Od początku wiedziała, kim jest. Wolala nie słuchać rodziny, pragnęła niezależności. No i przez cały czas wmawiała sobie, że nie działa na nią jego urok.

- Nie jest pani sprawiedliwa względem siebie. To nie była tylko gra. Naprawdę chciałem... naprawdę trzeba mi żony. Kogoś takiego jak pani. Nie należało jednak zabiegać o względy tak... bezdusznie, nie dbając o nic. Nie powinienem był się zakładać ani o panią, ani o żadną inną kobietę. Mogłaby być pani dla mnie doskonałą żoną, ale ja byłbym najgorszym z mężów.

Powinna teraz wstać i wrócić do łóży, gdzie czekali Merklingerowie. Żeby zachować godność. I nie pozwolić, by jej towarzyszył. Wciąż jednak siedziała bez ruchu.

- Dlaczego koniecznie chciał się pan ożenić, nim minie czerwiec? I dlaczego z kimś takim jak ja?

- Może lepiej będzie powiedzieć wszystko. - Westchnął i zbliżył się o krok, ale nie usiadł przy niej. Wsparł tylko nogę na ławce.

- Ojciec nakazał mi wrócić tego lata do Alvesley. Po śmierci brata stałem się dziedzicem; zmusił mnie, żebym wystąpił z wojska i nie narażał dłużej życia, które nagle nabrało dla niego wartości - powiedział poważnie i gorzko.

- A pan nie chciał porzucić służby?

- Jako młodszego syna przeznaczono mnie do kariery wojskowej. Zresztą sam tego chciałem. Byłem dobrym żołnierzem... Tego roku moja babka kończy siedemdziesiąt pięć lat. Z powodu tej uroczystości rodzinnej syna marnotrawnego odwołano z wygnania. Będzie przecież miał obowiązki hrabiowskie, sama pani rozumie. A jednym z nich jest ożenek i splodzenie potomstwa. Ojciec zamierza zrobić z moich zaręczyn główny punkt obchodów urodzinowych.

Wszystko zaczęło nabierać sensu.

- Pewnie hrabia Redfield kazał panu wziąć sobie godną szacunku żonę?  
Czy to jemu zawdzięczam moją kandydaturę?

- Nie. - Uderzył ręką w kolano. - Miał całkiem inną.

- Kogóż to?

- Narzeczoną mego zmarłego brata.

- Och. - Lauren przycisnęła dłonie do piersi. Jakież to przykre tak przechodzić z brata na brata, niczym spadek!

- Przedtem była moją narzeczoną- rzekł po krótkiej pauzie. - Tylko że ona wolała dziedzica, a nie zwykłego majora kawalerii. Ironia losu, prawda? Mogłaby teraz mieć i mnie, i tytuł, tylko że ja już jej nie chcę. Postanowiłem sam wybrać sobie żonę i przyjechać tam razem z nią, żeby postawić wszystkich przed faktem dokonanym. Chciałem, żeby ojciec nie miał nic do zarzucenia mojej małżonce. Podsunięto mi pani nazwisko. Nie kogoś, kto by się może na taki układ zgodził, lecz dystyngowanej damy, która zapewne nie zechciałaby tego uczynić. Stąd zakład.

Lauren spojrzała na swoje ręce, złożone teraz na kolanach. Nie była pewna, czy to prawda. Już raczej ktoś o niej wspomniał jako o osobie, która prawie na pewno przyjmie jego oświadczyzny. Czy nie jest porzuconą, wzgardzoną panną młodą? Kobieta mającą już swoje lata, która uczepli się każdego, kto ją zechce? Gdyby tak jednak było, dlaczego przyjaciele założyli się z nim, nie wierząc, że mu się powiedzie?

Zresztą to bez znaczenia.

- Proszę o przebaczenie - odezwał się. - Stała się pani ofiarą mego haniebnie niehonorowego postępu. Należało postawić sprawę uczciwie. Powinienem zwrócić się do księcia Portfrey i zadowolić się jego odpowiedzią, obojętnie, jaką. Teraz jest już za późno, abym starał się o panią we właściwy sposób. Nie zasłużyła pani na tak niegodne potraktowanie. Jestem pełen skruchy. Czy mogę panią odprowadzić do łoży?

Zdjął nogę z ławki i podał jej ramię.

Nadal wpatrywała się w swoje ręce. Nie wiedziała, co ma powiedzieć.

Czuła przejmujący ból. --Nie, proszę poczekać-powiedziała cicho.

Jeszcze chwilę.



Kit patrzył, jak Lauren splata nerwowo palce. Milczała, a on czuł się jak ostatni nędznik. Chciał odprowadzić ją do pani Merklinger i wytrwać

cierpliwie do końca wieczoru. Rankiem zaś odszukać przyjaciół i przed wyjazdem do Alvesley wypłacić im wygraną.

Gnębiła go myśl, że czyniąc przedmiotem zakładu najzupełniej niewinną kobietę, splamił swój honor. Jeszcze niedawno go to bawiło. Teraz czuł do siebie obrzydzenie.

Wąską ścieżką zbliżali się ku nim jacyś ludzie, nie przejmując się, że przerywają ich *tete-a-tete*. Kit usiadł koło Lauren, a grupka przeszła obok nich z pozorną obojętnością, lecz z oddali dobiegły ich chichoty i wybuchy śmiechu.

- Czy naprawdę chce pan po raz drugi zaręczyć się z byłą narzeczoną?

- Może uda mi się tego uniknąć...

- A czy ona tego chce?

- Szczerze wątpię. Trzy lata temu wołała Hieronima niż mnie. Co prawda z Freją nigdy nic nie wiadomo.

- Chcę zawrzeć z panem pewien układ - powiedziała bardzo spokojnie. - Pojadę do Alvesley jako pańska narzeczona.

Zaniemówił.

- Jako pańska fikcyjna narzeczona - dodała. - Przedstawi mnie pan rodzinie, a ja okażę się dokładnie taka, jak należy. Pozostanę tam, póki nie pogodzi się pan z ojcem i póki tamto haniebne narzeczeństwo z damą, która wołała brata, nie pójdzie w niepamięć. Odciążę pana, by tak rzec, podczas fety rocznicowej, ale za pana nie wyjdę. A pod koniec lata zerwę zaręczyny i wyjadę. Zrobię to tak, że panu nie będzie można nic zarzucić. Mam nadzieję, że potem rodzina pozwoli panu wreszcie wybrać sobie odpowiednią żonę.

- Chce pani zerwać zaręczyny?! To wywoła straszny skandal.

- Myślę, że nie będzie aż tak źle - uśmiechnęła się blado, nadal wpatrzona w swoje dłonie. - Może mi nawet pogratulują, że uniknęłam małżeństwa z niepoprawnym hulaką. Zresztą nie dbam o to. Mówiłam już, że nie chcę wychodzić za męża. Czuję, że muszę zerwać z rodziną, która w najlepszej zresztą intencji traktuje mnie jak małą dziewczynkę. A ja od dawna jestem dorosła i chcę zapewnić sobie wygodny, niezależny byt. Zamierzam osiąść gdzieś na stałe, może w Bath. Po lecie spędzonym w charakterze fikcyjnej narzeczonej łatwiej mi przyjdzie to, co powinnam była zrobić już rok temu. Nikt mnie od tego nie odwiedzie. Pozostanę niezamężna.

Co, u licha? Dopiero teraz zrozumiał, że wcale jej nie zna. A chciał się z nią zenić za dwa tygodnie!

-Czy Kilbourne tak wiele dla pani znaczył?



Pochyliła niżej głowę. Znow nerwowo splatała i rozplatała palce. Wychowywali się razem, odkąd przywieziono mnie do Newbury Abbey jako trzyletnią dziewczynkę. Był dla mnie jak brat, ale zawsze wiedziałam, że pożenią nas, gdy tylko dorośniemy. Żyłam nadzieją, że zostanę jego żoną, nawet gdy wstąpił do wojska i odjechał ze słowami, że nie muszę na niego czekać i wolno mi wyjść za innego. Ja jednak czekałam. Po wyjeździe ożenił się jednak potajemnie, a później, w Portugalii, wpadli z żoną w zasadzkę i myślał, że ona nie żyje. Wrócił więc i w końcu postanowił poślubić mnie. Ale Lily wcale nie zginęła. Zjawiała się w Newbury... w dniu mojego ślubu.

Nie zmyliła go jej pozorna obojętność. Zresztą znał tę historię, sensację zeszłego roku. Plotki z entuzjazmem sławiły miłość młodej pary. Wprawdzie litowano się nad Lauren, lecz robiono to dyskretnie. Iluż ludzi rozumiało ból, który wtedy przeżyła i który może trwać do dziś? Była o włos od spełnienia marzeń, a los obszedł się z nią tak okrutnie.

- Kochała go pani? - Nie był pewien, czy należało użyć czasu przeszłego.

- Oczywiście... ale nie tak, jak kochają się Neville i Lily, bo tak silnych uczuć lepiej unikać. Byłabym lojalna i wierna... Och, jasne, że go kochałam! - Westchnęła. - Nie myślę już o małżeństwie.

Litość i nieczyste sumienie kazały mu milczeć, ale ona jakby czytała w jego myślach.

- Nie chodzi mi o litość, tylko o to, co w przypadku mężczyzn nikogo nie dziwi - o swobodne życie z dala od ludzi, którzy na siłę chcą mnie uszczęśliwić. Pragnę samotności i niezależności. Jeśli tego lata zrujnuję sobie reputację, to dopnę celu bez trudu.

- Do licha, czy mam się na to zgodzić? Niedawno mówiłem o honorze. Jak go pogodzić z oszukiwaniem naszych rodzin? Jak mogę przerzucić na panią brzemień zerwania zaręczyn? Bo chyba jasne jest, że jako dżentelmen nie mogę zerwać ich sam.

W tym właśnie rzecz. Pańskie narzeczeństwo musi przecież uchodzić za prawdziwe. Gdybym to ja zachowała się niehonorowo i mimo zawartej umowy odmówiła ich zerwania, nie miałby pan innego wyjścia, jak tylko mnie poślubić. Zgoda na moje warunki sprawi, że nie będzie pan musiał kłamać.

Próbował znaleźć lukę w jej rozumowaniu. Bez skutku. Oczywiście, gdyby przyjął tę zdumiewającą ofertę, zaręczyny, w jego rozumieniu, byłyby prawdziwe. A gdyby tak odzyskać utracony honor i w ciągu lata namówić ją, żeby jednak za niego wyszła? Może da się przekonać, że to

znacznie atrakcyjniejsza alternatywa niż samotność. Nawet kobiety, którym zamożność pozwalała na niezależne życie, nie zażywają w nim wielkiej swobody.

Nie kochał jej, a nawet, jak ze zdumieniem stwierdził, nie znał. Mimo to przez ostatnie pół godziny przekonał się, że jest interesującą osobą, bynajmniej niepozbawioną uczuć. Wzbudziła w nim nawet pewne uznanie. No i czuł się winny.

- Czy wielka urodzinowa feta przypadnie pani do gustu?

Nareszcie na niego spojrziała.

- Myślę, że tak. Miałam być panią dworu w Newbury Abbey, hrabiną. Bez trudu poradzę sobie z rolą narzeczonej hrabiego Redfielda. Nie zawiedzie się pan.

- Czy koniecznie trzeba w ten sposób nakłaniać krewnych do zgody na pani styl życia? Nie widzę w pani nieśmiałości ani pokory. Wystarczy chyba stanowczo oznajmić swoją wolę, a oni niech pilnują swego nosa.

- To, co pan powiedział, w pełni potwierdza złą opinię, jaką o panu miałam. Przez chwilę sądziłam, że najlepiej będzie odwrócić się i odejść, tylko że...

Myślał, że to już koniec, lecz się mylił.

- Moje życie było spokojne i cnotliwe. Dopiero niedawno zrozumiałam, że również i nudne. Odpowiada mi jednak ta nuda. Przywykłam do niej, lubię ją i mogę nadal żyć w ten sposób. Ale ostatnio gwałtownie zapragnęłam jakiejś odmiany. Choćby nieznaczej. Żeby... ach, nie po trafie wyrazić tego słowami. Może lato spędzone w roli fałszywej narzeczonej przyniosłoby mi... dreszczyk emocji... Chciałabym, hrabio Ravensberg, żeby przyrzekł mi pan w zamian za tę umowę jedno wspaniałe, niezapomniane lato. Przygodę. Bo to ma być przygoda! Tego właśnie żądam za uratowanie pana przed niechcianym małżeństwem.

Kiedy chciał się odezwać, podniosła rękę.

- Kilka dni po moim niedoszłym ślubie wstałam rano i poszłam samotnie na plażę. Kiedy schodziłam z pagórka w kotlinę, usłyszałam czyjeś głosy i śmiech. Neville i Lily kąpali się w sadzawce pod wodospadem, niedaleko letniego domku, który dziadek Neville'a wybudował dla swojej żony. Drzwi były otwarte. Widocznie tam nocowali. Byli... byli prawie nadzy. A prócz tego... tacy swawolni! Neville po prostu promieniał. Przy mnie nigdy tak się nie zachowywał! Nie mogłabym się... aż tak bardzo zapomnieć. A przynajmniej tak mi się wydaje. W kilka sekund zrozumiałam, czym jest namiętność. I uciekłam stamtąd co sił w nogach.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale tylko pokiwała głową i umilkła.

- Czy pani pragnie lata pełnego namiętności i przygody?  
- Skądże! - Znowu była sobą. Wyprostowała się, uniosła podbródek. Wyglądała na zgorzowaną. - Pragnę jedynie rozluźnić krępujące mnie więzy. Na krótko. Nie stać mnie na wielką namiętność ani na szaleńczą radość. Chcę tylko przeżyć jedno niezapomniane lato. Czy może mi je pan zapewnić? Jeśli tak, jadę z panem do Alvesley.

Dobry Boże! Czy powinien nauczyć ją spontaniczności, swobody, śmiechu, radości? Czy po to jednak, żeby go później opuściła i wędła w staropanieństwie?

Czy ma podjąć to ryzyko? A jeśli mu się nie powiedzie? Lub gorzej: jeśli mu się powiedzie? Ryzyko było jednak dla niego solą życia. Jeśli przyjmie tę nieprawdopodobną propozycję, to rzuci się w nią cały, zdecydowany na wygraną w postaci żony. Może sobie kochać Kilbourne. Nie dba o to. Czy uda mu się przywrócić jej radość życia?

- Zapewnię pani niezapomniane lato.

Odwróciła się szybko w jego stronę.

- A więc zgoda?

- Zgoda.

W tej samej chwili na niebie pojawiły się pierwsze sztuczne ognie. Nawet w mrocznym ogrodzie mogli dostrzec, jak rozbłyskują barwne snopy iskier.

Gdy długa podróż Lauren do Alvesley Park w Hampshire dobiegła kresu, zapadał już zmrok.

Od szaleńczej decyzji podjętej w Vauxhall Gardens upłynęły ponad dwa tygodnie. Wyobrażała sobie wówczas, że pojedzie z wicehrabią do Alvesley, podając się za jego narzeczoną, i że już następnego dnia wybiorą się na spotkanie jej wspaniałego lata.

Oczywiście nic z tego nie wyszło. Już podczas bezsennej nocy po powrocie do domu zdała sobie sprawę, że to, na co się zgodziła - nie, to, co sama mu podsunęła! - nie będzie beztruskim figlem splatanym we dwoje, lecz kłamstwem, w które wplaczą mnóstwo osób. Zdrowy rozsądek i uczciwość o mało nie przeważyły szali. Była już bliska napisania do Ravensberga, żeby wszystko odwołać.

Tak, była bliska - ale najpierw zeszła na śniadanie, a wtedy Elizabeth spytała ją o wrażenia z Vauxhall.

- Wspaniale się bawiłam - rzuciła, a potem, po chwili wahania, dodała: - Elizabeth, on poprosił mnie o rękę i ja się zgodziłam.

Księżna, mimo zaawansowanej ciąży, zerwała się od stołu, uściskała ją gorąco i śmiejąc się, oświadczyła, że dokonała mądrego wyboru, niezależnie od tego, co powie ciotka Sadie i jej podobni.

- Poszłaś wreszcie za głosem serca. Cieszę się i jestem z ciebie dumna!

Lord Ravensberg w niecałą godzinę później przybył, by porozmawiać z księciem, choć ten bynajmniej nie był opiekunem Lauren. Elizabeth przyjęła to jednak z uznaniem.

Okazało się, że Lauren nie może ot, po prostu wyjechać z narzeczoną do Alvesley. Jak mogła tak myśleć? Nagle wszystko zaczęło być ogromnie formalne i ceremonialne.

Należało dać na zapowiedzi. Rodzina wicehrabiego spodziewała się tego po jej dziadku, rodzinie w Newbury Abbey i krewnych w Londynie.

Falszywe narzeczeństwo stało się czymś zatrzważająco prawdziwym, a nie beztruską przygodą. Wuj Webster nie krył niezadowolenia i nazwał wicehrabiego, pod jego nieobecność, bezczelnym chłystkiem. Ciotka Sadie wołała o sole trzeźwiące, a Wilma w potoku słów dała bardzo jasno do zrozumienia, że odebrało jej mowę. Joseph wydawał się nieco rozbaawiony, ale nic nie powiedział poza tym, że życzy Lauren szczęścia. Księżę Portfrey oświadczył natomiast, że osławione wyczyny lorda Ravensberga należy uznać za młodzieńcze wybryki. Dodał też, że zaszczytna opinia wyniesiona przez niego ze służby wojskowej mówi sama za siebie. Wraz z Elizabeth wydał wielki rodzinny obiad w przeddzień wyjazdu wicehrabiego do Alvesley.

Nie mogli też jechać do Alvesley sami lub co najwyżej z jedną służącą, mimo że całą podróż dałoby się odbyć w jeden dzień. Nie było to również możliwe bez eskorty, gdyż okazałoby się czymś co najmniej niewłaściwym, bo przecież jeszcze się nie pobrali. Elizabeth za miesiąc oczekiwała rozwiązania i nie mogła im towarzyszyć. Lauren nie próbowała nawet prosić o tę przysługę ciotki Sadie.

Pojechała więc z nią ciotka Clara, owdowiała hrabina Kilbourne. I Gwendoline, owdowiała lady Muir. Obydwie przez całą drogę na przemian to śmiały się, to nad nią płakały, a od ich uścisków rozboleły ją zębra. Do Alvesley udawały się na zaproszenie hrabiny Redfield.

Lauren czuła, że przytłacza ją własne kłamstwo. Nie powiedziała prawdy nawet Gwendoline. Wicehrabia nie napisał, jak przyjęto wieść o zaręczynach w jego rodzinie. Nadszedł jedynie list z formalnym zaproszeniem od jego matki.

- Ach! - wykrzyknęła ciotka Clara, budząc się z drzemki. - To chyba gdzieś tutaj. Przyznam, że cieszyłabym się z końca podróży!

Okazała karoca z herbem księcia Portfrey, woźnicami w bogatych liberiach i forysiami przejechała przez niedużą wioskę, a potem skręciła powoli, kierując się ku masywnej bramie z kutego żelaza. Odźwierny właśnie otwierał ją na oścież. Stanął z boku, zajrzał do pojazdu i skłonił się głęboko.

- Och, Lauren! - Gwen pochyliła się i położyła dłoń na jej kolanie. - Jakie to wszystko imponujące! Pewnie nie możesz się doczekać lorda Ravensberga? Nie widziałas go prawie dwa tygodnie.

- Bardzo chciałabym go poznać - dorzuciła ciotka Clara. - Mimo dąsów Sadie i waporów Wilmy myślę, że go polubię. Elizabeth go przecież lubi, a ona zna się na ludziach. No i zyskał twoje względy, Lauren, co przeważałoby nad wszystkimi moimi zastrzeżeniami, gdybym je oczywiście miała!

Lauren zdobyła się na błądy uśmiech. Za nic nie chciała rozczarować tych dwóch najbliższych jej osób ani hrabiego Redfielda i reszty rodziny. Trudno. Musi jechać przez ten cienisty, gęsty park ku temu, czego sama chciała. Za późno, żeby się wycofać.

Jak mogła powążyć się na ten nieodpowiedzialny pomysł? Co ją opętało? Nigdy nie była impulsywna. Poza tym lord Ravensberg wcale się jej przecież nie podobał... Hm, czy naprawdę?

Nagle we wnętrzu karety znów zrobiło się jasno. Lauren wyjrzała przez okienko. Zostawili już za sobą las i zbliżali się do rzeki, nad którą przetrzucony był zadaszony palladiański most. Lauren zdążyła dostrzec, iż rzeka wpada do ledwo widocznego spoza drzew jeziora. Od mostu aż do eleganckiego, klasycystycznego dworu z szarego kamienia ciągnął się doskonale utrzymany trawnik, na którym rosły wiekowe drzewa. Za pałacem, od strony jeziora, znajdowały się stajnie i wozownia.

- Och! - westchnęła Lauren zachwycona.

- Coś wspaniałego! - zawołała ciotka Clara, która patrzyła przez drugie okienko. - Zdaje się, że tam jest ogród różany, a niżej partery kwiatowe!

Gwen z uśmiechem po raz drugi dotknęła kolana Lauren. Oczy błyszczały jej z podniecenia.

- Tak się cieszę z twojego powodu! Wiedziałaś, wiedziałaś, że wcześniej czy później spotkasz mężczyznę swego życia. Bardzo go kochasz?

Lauren słuchała jej z roztargnieniem. Powóz minął już stajnie i koła zazgrzytały na żwirze rozległego podjazdu. Długi rząd marmurowych stopni wiódł ku wielkim, podwójnym drzwiom, otwartym teraz szeroko. Na

stopniach stali ludzie... dwoje, troje... nie, czworo. A u stóp schodów, pełen energii i elegancki w dopasowanym, błękitnym surducie, w obcisłych, szarych pantalonach i lśniących drugich butach, z promiennym uśmiechem...

- Ach, tak, tak! - wyrwało się Lauren, chociaż sama nie wiedziała, czy chce odpowiedzieć na pytanie Gwen, czy zażegnać niemądry strach, że nie zdoła go rozpoznać.

Przez cały dzień Kit czuł niepokój. Cztery godziny jeździł konno po okolicy. Po powrocie do domu chodził tam i z powrotem po pokojach od frontu i wyglądał przez okna na długo przedtem, nim powóz mógłby się ukazać. Chyba że wyruszyłyby z Londynu w środku nocy. Tuż po lunchu poszedł nawet do domku stróża i zamienił parę słów z odźwiernym.

Lepiej, żeby nie przyjeżdżała. Teraz żałował, że nie napisał ojcu, że nie zgadza się na jakiegokolwiek zaaranżowane przez niego małżeństwo. Nie powinien był nawet wracać do domu, bo w ogóle nie czuł się na to gotów. Nie powinien był występować z wojska. Byłby teraz w armii, robiąc to, w czym był najlepszy.

Cały kłopot w tym, że jest Ravensbergiem. Dziedzicem. A dziedzic ma obowiązki, od których on uchylał się przez prawie dwa lata. Tak, należało wrócić do domu, pogodzić się z ojcem, dowiedzieć się tego, co przyszły hrabia Redfield musi wiedzieć, ożenić się i spłodzić synów. Tak, synów. Najlepiej kilku.

Powrót do domu nie byłby łatwy nawet w bardziej sprzyjających okolicznościach. Ojciec niemal wpadł w szal, kiedy po pierwszych, formalnych powitaniach, oznajmił swoją wolę. Sytuacja wyglądała o wiele gorzej, niż się spodziewał. Małżeństwo uzgodniono już z księciem Bewcastle, bratem Frei. Ojciec i księżę podpisali nawet intercyzę. Najwyraźniej żadnemu z nich nie przyszło na myśl, żeby spytać o zdanie przyszłych państwa młodych.

Kit wątpił zresztą, czy zdanie Frei brano by pod uwagę.

Matka najpierw oniemiała, a potem zaczęła popłakiwać. Gorące uściski powitalne już się nie powtórzyły. Nawet babka kiwała głową z niemym wyrzutem. Nie mogłaby zresztą za wiele mówić, bo po przebytych pięć lat temu udarze nie powróciła w pełni do zdrowia. Nadal traktowała go czule, lecz wiedział, że ją rozczarował.

A Sydnam? Z młodszym bratem, który niezręcznie uściskał mu dłoń, nie patrząc w oczy, poróżnili się jeszcze tej samej nocy i odtąd nie zamienili słowa. Kit zastał go w kantorku rządcy, gdy wszyscy poszli już spać, Sydnam pisał coś w rejestrze lewą ręką.

- Tutaj zniknąłeś na cały wieczór. Co robisz?

- Parkin odszedł ze służby w zeszłe święta Bożego Narodzenia - wyjaśnił Sydnam, ze wzrokiem wbitym w zniszczoną skórzaną oprawę książki.

- Poprosiłem ojca, żebym mógł go zastąpić jako rządcą Alvesley.

- Rządcą? - zdumiał się Kit. - Ty?

- Odpowiada mi to.

Kit wiedział, że Syd, bez prawej ręki, skazany jest na przymusową bezczynność, a że pozostało mu tylko lewe oko, nie może robić tego, do czego był stworzony. Nie pisali do siebie przez trzy lata, bo, jak Kit uznał, nie mieli sobie nic do powiedzenia.

- Jak ci się wiedzie? - spytał go tylko.

- Dobrze. - Syd wypowiedział to jedno słowo z tłumioną złością.

-Znakomicie, dziękuję - dodał przez zęby.

- Na pewno?

Sydnam wysunął lewą górną szufladę biurka i włożył tam rejestr.

- Na pewno.

Niegdyś byli nierozłączni mimo sześćioletniej różnicy wieku. Syd patrzył w niego jak w obraz, a on sam uwielbiał młodszego brata, uosobienie cnót, których jemu brakło: wytrwałości, łagodności, cierpliwości, bogatej wyobraźni i oddania.

- Dlaczego chciałeś, żebym wystąpił z wojska? - wyrwało mu się. - Dlaczego dołączyłeś do chóru?

Syd nie musiał go pytać, o co chodzi. Gdy przed trzema laty ojciec wyrzucił Kita z domu, Syd zszedł do holu w nocnej koszuli. Zamiast wyrazić bratu współczucie, kazał mu iść precz i więcej nie wracać. Bez jednego słowa pożegnania czy przebaczenia.

- Zniszczyłeś nas - mruknął teraz w odpowiedzi - a przede wszystkim siebie. Powinieneś być odejść. Myślałem, że porwiesz się na ojca, że zno wu rzucisz się na Hieronima i zabijesz go. Chciałem, żebyś zniknął na zawsze.

Kit podszedł do odsłoniętego okna, ale nie zdołał niczego przez nie dojrzeć; widział tylko swoje własne odbicie w szybie, a z tyłu Syda, nadal siedzącego za biurkiem.

- A więc potępiasz mnie.

-Tak.

To słowo było jak cios w serce. Nigdy nie zdołał wybaczyć sobie samemu, ale bez przebaczenia Syda nie zazna spokoju. Pozostawało mu tylko czekać na chwilę zapomnienia, co czasem udawało się w wojsku, lecz po wystąpieniu ze służby nigdy. Próbował. Bezskutecznie.

- Owszem, potępiam cię - odezwał się wreszcie Sydnam - ale za coś innego, niż myślisz.

Nie warto było ciągnąć dłużej tej rozmowy.

- Czy sądzisz - spytał Kit - że nie wziąłbym na siebie twojego cierpienia, gdybym mógł? Gdybym mógł wybierać, chciałbym, żeby stało się moim, a nie twoim udziałem. Oddałbym życie, gdyby to cię uzdrowiło.

- Jestem tego pewien - rzucił brat gorzko. - Lecz to moje cierpienia, moje kalectwo i moje życie. Niczego od ciebie nie chcę.

- Nawet mojej miłości? - wyszeptał Kit, z głową opartą o framugę.

- Nawet tego.

- No, dobrze. - Odwrócił się z uśmiechem, choć czuł, że krew ścina mu się w żyłach. Szybko podszedł do drzwi i wyszedł.

Nie, nikogo nie ucieszył jego powrót do Alvesley, a jego samego najmniej. Czuł się obcy we własnym domu, jak kłopotliwy, niepożądany gość. A także bezużyteczny - on, zawsze czynny, zawsze tak szanowany za sukcesy w wojsku. Ojciec ani nie zaczął przygotowywać go do obowiązków dziedzica, ani nie wyznaczył mu żadnych zajęć. Może czekał z tym na koniec uroczystości i powrót do codziennej rutyny? Kit czuł, że to początek nowego rozdziału w jego życiu, tylko że ów początek jest niewiadomą naznaczoną kłamstwem. Chyba że, jak przekonywał sam siebie, zdoła ją namówić, by za niego wyszła naprawdę. To pomoże mu odzyskać honor.

Wczesnym popołudniem siedział w salonie w towarzystwie rodziców i babki. Tamci wiedli spokojną rozmowę, on zaś mógł tylko stać przy oknie, wpatrzony w drogę, na której miał się ukazać powóz. Wszyscy zresztą czekali na przybycie niechcianych gości, choć nikt nie był na tyle źle wychowany, by tak właśnie to ująć.

Zaręczyny Kita skłóciły go z sąsiadami w oddalonym o dziesięć kilometrów Lindsey Hall, siedzibie księcia Bewcastle i jego rodzeństwa, Bedwynów. Pojechał do nich zresztą już pierwszego dnia po powrocie, żądając rozmowy z księciem. Bewcastle sądził niewątpliwie, że czysto grzecznościowa wizyta ma na celu formalne poproszenie o rękę Frei. Bez zwłoki wpuszczono go więc do biblioteki.

Wulfryk Bedwyn, książę Bewcastle, nie był człowiekiem, z którym chciałoby się zadzierać. Wysoki, smagły, raczej chudy, z przenikliwymi,



szarymi oczami, wielkim, krzywym nosem i cienkimi wargami zdawał się wręcz emanować arogancją właściwą człowiekowi jego urodzenia. Od kołyski wychowywano go na księcia, zawsze więc wynosił się nad resztę rodzeństwa i przyjaciół, choć był tylko o rok starszy od Kita. Był zimny jak lód i śmiertelnie poważny.

Na wieść o zaręczynach Kita bynajmniej nie zakipiał z gniewu. Założył tylko jedną elegancko obutą nogę na drugą, pociągnął łyżeczek z kielicha - rzecz jasna najlepszego francuskiego koniaku - i zapytał uprzejmie.

- Niewątpliwie zechcesz się z tego wytłumaczyć?

Kit poczuł się jak w latach dzieciństwa, wezwany przed oblicze nauczyciela po jakimś figlu.

- Niech raczej książę wytłumaczy - zaczął Kit równie uprzejmie - dlaczego książę podpisał intercyzę ślubną siostry z moim ojcem, a nie ze mną, jej przyszłym małżonkiem?

Zimne, nieprzeniknione oczy świdrowały go przez długą chwilę.

- Wybacz - odezwał się w końcu książę - że nie winszuję ci zaręczyn, Ravensberg. Choć ci się to należy. Umiesz wziąć odwet. Poszło ci lepiej niż przedtem.

Aluzje dotyczyły zdarzenia sprzed trzech lat, kiedy Kit, po złamaniu nosa Hieronimowi, pogalopował jak szaleniec do Lindsey Hall późną nocą, by tam przez pół godziny łomotać w bramę, nim wreszcie Rannulf, brat księcia, a jego przyjaciel, otworzył mu ze słowami, żeby przestał robić z siebie durnia i wracał do domu. Kit oznajmił, że chce usłyszeć prawdę o zaręczynach Hieronima od samej Frei. Rannulf wyszedł wówczas za próg, a potem przez cały kwadrans tarzali się na ziemi w bójce, póki lokaj i Alleyne, drugi brat księcia, nie zdołali ich rozdzielić - posiniaczonych, zakrwawionych, złorzeczących i nadal rwących się do walki. Bewcastle patrzył na to w milczeniu, stojąc w drzwiach, aż wreszcie doradził Kitowi powrót na Półwysep, gdzie z jego szалу byłby przynajmniej jakiś pożytek. Freja stała przy nim, z dumnie uniesioną głową i pogardliwym uśmiechem. Nie odezwała się ani słowem.

Teraz, po trzech latach, Kit właśnie miał zamiar dać odpowiedź księciu, gdy nagle drzwi biblioteki otworzyły się z trzaskiem, uderzając o półki z książkami, i książęce spojrzenie powędrowało gdzieś za jego plecy. Uniósł wysoko brwi.

-Nie zapraszałem cię tutaj, Frejo.

Ona jednak wtargnęła do pokoju i podeszła do fotela Kita, ignorując słowa brata. Kit wstał i uklonił się.

- Nie spieszyło ci się z porzuceniem rozrywek Londynu. - Uderzyła szpicrutą w suknię. - Wybieram się właśnie na przejażdżkę z Alleyne'em.

Jeśli chcesz ze mną mówić, lordzie Ravensberg, poproś Wulfa o umówienie spotkania, a ja zobaczę, czy będę wtedy wolna.

Nie zmieniła się wcale. Nieco mniej niż średniego wzrostu, lecz znakomitej budowy, poruszała się z dumną gracją. Nikt nie nazwałby jej ładną, nawet w czasach dzieciństwa. Miała jasne włosy, spływające falami na plecy, choć sprzeciwiało się to panującej modzie. Podobnie jak inni jasnowłosi Bedwynowie miała gęste, ciemne brwi, smagłą cerę i haczykowaty nos. Jako dziecko była zdumiewająco brzydka, potem jednak nieoczekiwanie rozkwitła, stając się młodą, pociągającą osobą, a brzydota ustąpiła miejsca zaskakująco przystojnej aparycji. Od dziecka była też złością.

- Frejo - mruknął Kit.

- Gdybyś rzeczywiście chciała się wybrać na przejażdżkę - książę nadal mówił tym samym miękkim, łagodnym głosem - zamiast powiedzieć mi, że nie masz zamiaru przyjąć lorda Ravensberga, to nie musiałabyś dowiadywać się od osób trzecich tego, co mogłem ci powiedzieć w cztery oczy. On się zaręczył. Z panną Lauren Edgeworth, która przybędzie do Alvesley za tydzień lub dwa.

Freja po chwili milczenia odwróciła się do drzwi, spojrzała przez ramię na Kita i uśmiechnęła się lub raczej skrzywiła twarz w grymasie podobnym do uśmiechu.

Po czym bez słowa wyszła z biblioteki.

Trzy lata wcześniej Kitem owładnęła nagle nieoczekiwana namiętność do kobiety, która w dzieciństwie była jego towarzyszką zabaw i z zapalem brała udział w najbardziej dzikich wyczynach. Pragnął ją poślubić i zabrać na Półwysep, gdzie go odkomenderowano. Nie wyraziła sprzeciwu. Tego lata z chęciąaby dla niej zginął. Gdy Hieronim oznajmił niespodziewanie o swoich zaręczynach, Kit myślał, że nie przeżyje jej zdrady. Ale to wszystko należało do przeszłości.

- Już jadą - mruknął Kit.

Na końcu drogi pojawił się wielki powóz ciągnięty przez cztery konie. Nie mógł to być żaden z sąsiadów przybywający na pogawędkę z matką czy babką.

Kiedy Kit odwrócił się od okna, zobaczył, że wszyscy wstali, nawet babka, wsparta na lasce. Rzecz jasna, wyjdą naprzeciw niepożądanemu

gościowi i przyjmą go, jak należy. Zapragnął nagle, żeby to była prawdziwa narzeczoną, prawdziwą miłość. Chciał przekonać rodzinę (i utrzymać ją w tym przekonaniu), iż postąpił najzupełniej właściwie, wybierając pannę Lauren Edgeworth na przyszłą wicehrabinę.

Chciał podać babce ramię, lecz uprzedził go ojciec, ofiarował je więc matce. Zeszli ze schodów, przebyli rozległy hol i stanęli w progu.

Powóz mijał już stajnie. A zatem Portfrey użyczył jej własnej karety i otoczył iście książęcym przepychem. Wszystko było tak przeraźliwie stosowne i ceremonialne.

Zbiegł na podjazd. Niech to diabli! Nie może doczekać się jej przybycia. Oto początek ich wielkiej maskarady. Czy ona też się denerwuje?

Kareta stanęła. Jeden z forsyów zeskoczył, żeby otworzyć drzwiczki. Kit wyszedł naprzeciw z uśmiechem i wyciągniętą ręką, a Lauren wynurzyła się z powozu, podając mu dłoń w rękawiczce.

Już zapomniał, jaka jest piękna i elegancka. Podróżny płaszcz w odcieniu gołębiej szarości i toczek, obydwie z fiołkowym obszyciem, wyglądały tak nieskazitelnie, jakby nosząca je dama nie miała za sobą długiej podróży. Lauren wyglądała świeżo, ślicznie. I była wzorem opanowania. Lauren. - Ujął jej dłoń i nachylił się, chcąc pocałować ją w policzek, lecz trafił w kącik ust.

- Kit.

Uzgodnili w Vauxhall lub raczej on ją przekonał, że powinni zwracać się do siebie po imieniu, ale zrobili to teraz po raz pierwszy. Uścisnął jej dłoń, którą wciąż trzymał w swojej, i uśmiechnął się do niej. Nagle opuściło go przygnębienie, poczuł pewność siebie i satysfakcję. Lauren okazała się doskonałym wyborem, choćby tylko na jedno lato. Jak jednak może sprawić, żeby zmieniła zamiary, nim dobiegnie ono końca? Było to trudne wyzwanie, ale on wyzwania uwielbiał.

Pomógł wsiąść z karety damie o bystrych oczach i dumnej postawie, i drugiej, młodszej, drobnej, lnianowłosej i bardzo ładnej.

- To ciotka Clara, owdowiała hrabina Kilbourne - powiedziała Lauren - a to Gwendoline, lady Muir, moja kuzynka.

Należało przedstawić je rodzinie, która czekała na schodach. Wszystko poszło doskonale. Jeśli Lauren się denerwowała, nie było tego po niej widać. Rodzice również nie okazywali, że nie pochwalają zaręczyn syna. Babka wzięła nawet Lauren za rękę, podając jej jednocześnie własną do ucałowania.

- Jaka... ładna... - rzekła, skinieniem głowy dając do zrozumienia, że powiedziałyby więcej, gdyby tylko mogła. - Wiedziałam... że Kit... wybierze sobie... ładną.

Lauren czekała cierpliwie na koniec krótkiego zdania. Uśmiechnęła się nawet i podziękowała serdecznie.

Kit spostrzegł, że na najwyższym stopniu, skryty w cieniu kolumny, stoi Sydnam. Ujął Lauren za łokieć.

- Pragnę przedstawić ci kogoś jeszcze. - Miał nadzieję, że Syd wycofa się, ale brat stał bez ruchu. - Mój brat, Sydnam.

Jeśli doznała szoku, nie okazała tego. Widziany z lewego profilu Syd był niezwykle przystojnym młodzieńcem, gdy się jednak odwrócił, można było dojrzeć pusty rękaw przypięty starannie do surduta i ślady po oparzeniach znaczące całą prawą połowę twarzy i szyi, a także czarną opaskę na prawym oku. Piękno i szpetota w jednym ciele.

Syd wyciągnął lewą dłoń, a ona ujęła ją bez wahania w swoją, również lewą, tak że bez kłopotu mogli wymienić uścisk.

- Dzień dobry, panie Butler.

- Witam w Alvesley, panno Edgeworth. Czy nie znużyła pani podróż?

- Ani trochę. Jechałam w towarzystwie ciotki i kuzynki, a prócz tego pewność, że Kit na mnie czeka...

Kit spojrział na nią z uznaniem.

Matka, jak zawsze, okazała się idealną panią domu, odprowadzając wszystkie trzy damy do pokojów, by mogły się odświeżyć, nim w salonie podadzą herbatę. Ujęła Lauren pod ramię, wskazując drogę. Ciotka Clara i Gwen poszły ich śladem. Kit zauważył wtedy, że lady Muir kuleje.

## 8

Gwendoline grała na pianoforte, a hrabia Redfield stał za nią i przewracał stronicę nut. Hrabina i ciotka Clara zajęły malutką kozetkę, to słuchając Bacha, to gawędząc. Sydnam Butler zasiadł na ławce w oknie wykuszowym po przeciwnej stronie salonu, nieznacznie odwrócony, tak że prawa część jego ciała nikła w cieniu ciężkich, aksamitnych zasłon. Kit przechadzał się uśmiechnięty, pogodny, rzucając od czasu do czasu jakąś uwagę, lecz nie przyłączał się do żadnej z grup i nie zbliżał do brata.

Lauren prawie przez cały wieczór dotrzymywała towarzystwa babce Kita, choć obiecała wszystkim, że również i ona zasiądzie do pianoforte. Opowiadała jej o Newbury Abbey, o pobycie w Londynie i zabawach, na jakich tam była. Przede wszystkim jednak słuchała. Nie przyszło jej to

łatwo, bo stara dama mówiła urywanymi zdaniami, robiąc długie przerwy. Aż kusilo, by podsunąć jej odpowiednie słówko lub dokończyć zdanie, którego puenty można się było domyślić dużo wcześniej. Dostrzegła, że rodzice Kita robili to zarówno przy herbacie, jak i podczas obiadu. Może krępowało ich towarzystwo gości, może sądzili, że wyświadczają jej przysługę, lecz Lauren wydało się to niezręczne.

Słuchała więc staruszki z uwagą, starając się wyglądać na zainteresowaną, a jednocześnie miała sporo czasu na obserwację. Przyjęto ją w Alvesley uprzejmie, lecz chłodno. Uprzejmość wystarczała jej w zupełności. Kit grał dobrze swoją rolę. Wyglądał na tak zachwyconego jej przyjazdem, że ujął tym Gwen. Nim zeszły na herbatę, wstąpiła do pokoju Lauren i uściskała ją rozradowana.

- Lauren, on jest cudowny. Co za uśmiech! Kiedy ucałował cię przy wszystkich, nim jeszcze wysiadłaś, o mało nie zemdlałam. To było takie

romantyczne! - Roześmiała się serdecznie. - A mówiłaś, że potrafi za chowywać się skandalicznie!

Ta ostatnia uwaga nie była krytyczna. Pocałunek zaś - właściwie tylko lekkie muśnięcie - sprawił, że Lauren zakręciło się w głowie.

Zauważyła jednak, że rodzina jakby go nie dostrzegą. Rozmawiali z nią, ciotką Clarą i z Gwen, ale z nim nie zamienili ani słowa. Czy mieli mu za złe zaręczyny i woleliby, żeby ożenił się z tamtą? Czy nie mogli mu wybaczyć fatalnej bójki sprzed trzech lat, niewątpliwie toczonej o kobietę, bójki, po której hrabia wygnał go z domu? Śmierć starszego syna i konieczność przeniesienia dziedzictwa na drugiego musiały być dla hrabiego bolesne, ale Kit wiedział przecież, że tylko dlatego odwołano go z wygnania i dla niego było to podwójnie bolesne.

Kit i młodszy brat ignorowali się, choć przy powitaniu odniosła wrażenie, że Kit kocha tego okaleczonego młodzieńca. Co między nimi zaszło?

Rodzina hrabiego nie była ani zżyta, ani szczęśliwa. Obowiązek, jakiego Lauren niebacznie podjęła się w Vauxhall, wydał jej się nagle przerażająco trudny. Jak ma pogodzić Kita z bliskimi, skoro poróżnił się z nimi tak boleśnie i głęboko? A nuż pogłębi tylko tę przepaść i zaogni rany? A kiedy trzeba będzie zerwać zaręczyny...

Rozmyślenia przerwała jej stara hrabina, która najwyraźniej zamierzała wstać, wspierając się na lasce. Lauren powściągnęła chęć zerwania się i podania jej ramienia. Nieproszona pomoc mogłaby jednak wzbudzić niechęć. Wołała więc poprzestać na uśmiechu.

- Co, już do łóżka, mam? - hrabia, podszedł do nich. - Pozwól, że cię zaprowadzę. - Najpierw... chcę... na spacer.

- Wieczorny chłód może ci zaszkodzić. Nie lepiej poczekać do rana?  
- Ja... chcę... na spacer... - upierała się stara dama, odpędzając syna ruchem ręki. -Z... z Kitem... i... z... z... panną... Edgeworth.

- Mama uważa, że powietrze i ruch jej służą- wyjaśniła hrabina ciotce Clarze nieco podniesionym głosem. - Ja jednak myślę, że odpoczynek byłby dla niej lepszy. Codziennie chce spacerować tam i z powrotem wzdłuż tarasu, obojętne, w jaką pogodę, ale zazwyczaj rankiem.

Tymczasem Kit ujął babkę pod rękę, uśmiechając się pogodnie.

- Skoro chcesz spaceru, babciu, to pójdziemy. A gdy zapragniesz zatańczyć gigę, będę z tobą hulał do upadłego. Pójdiesz z nami, Lauren?

- Oczywiście.

I tak w pięć minut później Kit wraz z Lauren, w ciepłych okryciach, szli powoli w stronę stajen, podtrzymując z obu stron starszą panią.

-Mówcie... - wydukała-jakeście... się poznali.

- Babcia jest nieuleczalną romantyczka. - Kit zerknął na Lauren ponad głową staruszki. - Ty jej opowiedz.

Dużo lepiej by z tego wybrnął, pomyślała. Bal, tłum gości, nagie bicie serca, kobieta stworzona dla niego - z tej perspektywy wszystko brzmiałoby bardziej prawdziwie, podczas gdy ona...

- Pewnego ranka w Hyde Parku... - dostrzegła, że Kit przestał się uśmiechać - hrabia Ravensberg... to jest Kit... wdał się w bójkę z trzema prostytutkami. Był rozebrany do pasa i okropnie przeklinał.

Sama nie mogła, uwierzyć, że ona, Lauren Edgeworth, mówi coś takiego.

Staruszka zachichotała głośno.

- Przechodziłam właśnie tamtędy z kuzynką... No i tak się wszystko zaczęło.

- Hultaj... każdej... się spodoba. - Staruszka znowu się roześmiała.

- Ostrzegano mnie przed nim. Miał fatalną reputację. Ale gdy spotkał się na balu, poprosił mnie do tańca, a ja nie mogłam mu się oprzeć. No bo, widzi pani, to był walc!

Dotarli już do końca podjazdu. Zapadła noc, jasna jednak dzięki gwiazdom i księżycowi.

- Z tamtej strony jest ogród różany - wyjaśnił Kit. - Jutro ci go pokażę.

- Nawet stąd czuję zapach róż.

- Poniżej leżą klomby, za nimi rosną przyszczyżone drzewa, a tam dalej ciągnie się dziki park z pięknymi widokami. Rzecz jasna, starannie zaprojektowany!

- Wszystko chętnie obejrzę trochę później - powiedziała, gdy szli już z powrotem. Lecz kiedy wchodzili do holu, starsza dama puściła ramię wnuka i skinęła laską na lokaja.

- Kit, teraz... pokaż jej... róże.

Nachylił się, całując ją w policzek, a w jego oczach Lauren dostrzegła iskierki rozbawienia.

- Wszystko zrobiłaś naumyślnie, prawda? Przecież zwykle chodzisz na spacer rano. Ale cie nie rozczaruję! Zabiorę Lauren do rosarium. Oczywiście tylko po to, żeby powąchała róże!

Lauren poczuła, że się czerwieni.

Kit śmiał się jeszcze, kiedy schodzili z tarasu, obejmując się mocno.

- Mówiłem, że to romantyczka. Przez cały wieczór patrzyła, jak wnuk i jego narzeczona, po dwóch tygodniach rozstania, mogą tylko tęsknie zerkać ku sobie...

- Wcale nie zerkałam!

- Właśnie że tak! No i babcia zaczęła się głowić, jakby mi tu dać sposobność do ucałowania cię na dobranoc.

- Czy ja wyglądam na...

- .. kogoś zakochanego we mnie po uszy? W oczach babci na pewno. Twoja historyjka upewniła ją o tym. Zaskoczyłaś mnie nią zresztą.

- Hrabio, udawać musimy tylko w towarzystwie. Nie wypada mi iść do rosarium. Nie jesteśmy prawdziwymi narzeczonymi.

- Owszem, jesteśmy! To bzdura, żebyśmy jedynie udawali wobec innych. A skąd ten „hrabia”? Obiecałem ci przygodę i namiętność, prawda? Dotrzymam obietnicy. Zaczniemy od sam na sam w rosarium. Zaraz cię tam pocałuję.

- Kit! O namiętności nie było mowy. A przynajmniej nie o całowaniu. Nigdy nie przypuszczałam...

- Chciałaś przygody -powiedział jej do ucha, tak że poczuła jego gorący oddech - chciałaś namiętności. Czasami przygoda i namiętność to samo.

- Co za niewłaściwe zachowanie! - Lauren wpadła w panikę. Nie pamiętała już pocałunku w Vauxhall. Wołała o nim nie pamiętać. Był tak... tak cudowny!

- Postaram się, żeby było jak najbardziej niewłaściwe. - Zaśmiał się cicho, wprowadzając ją do ogrodu przez furtkę z ozdobną kratą. Owionął ich zapach róż.

- Kit! - Im bardziej starała się zachowywać godnie, tym lepiej on się bawił. Zmieniła więc temat, żeby Kit wreszcie przestał wygadywać głupstwa. - Czy twój ojciec bardzo się na ciebie gniewał, kiedy wróciłeś?

- Jeszcze jak! Podpisał już z Bewcastle'em, bratem Frei, ślubną intercyzę. Jestem ci wdzięczny dużo bardziej, niż myślisz.

- A więc tamta została porzucona? Wiem, co czuje. Czy bardzo cierpi?  
- Freja? Miała swoją szansę trzy lata temu. Na pewno czuje się urażona, ale to trochę co innego niż ból. Freja świetnie sobie radzi z tą rolą, jak zresztą wszyscy Bedwynowie. Ojciec też nie miał prawa planować dla mnie małżeństwa przed moim powrotem i bez mojej zgody.

- Daleko mieszkają?  
- Dziewięć kilometrów stąd.

Lauren usiadła na ławeczce.

- A więc moje narzeczeństwo zepsuło sąsiedzkie stosunki. Jakie to smutne.

Postawił jedną nogę na ławce i wsparł łokieć na kolanie, jak wtedy, w Vauxhall.

- Nie było rady. Nie zniósłbym narzuconego małżeństwa.

- Ale przecież trzy lata temu ją kochałeś.

- Czasem miłość umiera.

- Kto okaleczył twojego młodszego brata?

Kit zdjął nogę z ławki i podszedł do różanego krzewu, jakby chciał obejrzyć kwiaty z bliska.

- Wojna - powiedział po dłuższym milczeniu. - Uparł się, wbrew radom i prośbom wszystkich, w tym również i moich, żeby ojciec kupił mu patent oficerski w moim regimencie, bo chciał się razem ze mną bić na Półwyspie. Przyrzekłem matce, co oczywiście było niemądre, że będę nad nim czuwał. W niecały rok później przywiozłem go do domu na wpół martwego. Cudem zdołał przeżyć podróż, ale ja się zawzięłem: jeśli ma umrzeć, niech umrze w domu. Też potrafię być uparty.

- Przecież niczym tu nie zawiniłeś. Nie mogłeś go chronić w ogniu walki.

- To się nie stało podczas walki.

Czekała na wyjaśnienie, lecz on milczał.

- Czy ktoś cię o to obwinia? Czy on...

- Wszyscy, łącznie ze mną samym. Ale to minęło, Lauren. Wszystko dobre, co się dobrze kończy. A tymczasem my tracimy wspaniałą okazję do romansowania w świetle księżyca... Nie chcę, by trud babci poszedł na marne.

Stanął za nią, objął ją w pasie i przyciągnął do siebie, tak że czubek jej głowy znalazł się w zagłębieniu pod jego ramieniem. Czuli ciepło jego ciała i musiała przyznać, że wcale nie jest to wrażenie przykre!

Owszem, zapragnęła przygody. Tylko czym ta przygoda właściwie ma być? Kolejnym pocałunkiem? Przecież nigdy nie pragnęła bliskości męskiego ciała...



Zacisnęła mocno powieki, po czym odsunęła się od Kita i spojrzała mu prosto w twarz. Nie chciała uścisku podobnego do tego z Vauxhall. Bała się, że te nowe i niezwykle doznania zawładną nią bez reszty, ale jeszcze bardziej przerażało ją to, że nie poczuje niczego. Że ten drugi pocałunek utwierdzi ją w przekonaniu, że jest oziębła. To zniechęci go do niej i pożałuje, że zawarł z nią umowę. Tak, pozostanie na zawsze niekochana i samotna.

- Nie, nie - przesunął się do niej - nie uciekaj przede mną. Nie zrobię ci nic złego. Nawet cię nie pocałuję. Zmieniłem zdanie.

Rozpiął jej płaszcz i odłożył go na ławkę. Poczula nocny chłód na gołych ramionach, ale jego dłonie ogrzały je, przesuwał się z wolna w dół, od krótkich rękawków ku przegubom.

- Przytul się do mnie. Mocno.

Była zaskoczona, że to ona ma teraz przejąć inicjatywę. Do niczego jej jednak nie zmuszał, więc nie miała wyjścia. Poczula ostry, pulsujący ból w dole brzucha i przysunęła się do Kita, obejmując go. Zamknęła oczy i oparła czoło o jego ramię.

Nie dotykał jej ani nic nie mówił. Była mu za to ogromnie wdzięczna.

- A więc - zaczęła, usiłując nadać głosowi normalne brzmienie - twoja część umowy doczekała się dziś urzeczywistnienia, ale moja nie, hra bio. Nie możemy jednak przebywać dłużej poza domem.

Milczał przez chwilę, a potem wziął płaszcz, okrył ją nim i zapiął go podszyją.

- Na dziś wystarczy - rzekł, podając jej ramię. - Jutro bardziej się postaram. Pojedziemy na konną przejażdżkę. Wcześniej, o wschodzie słońca.

Rozczarował ją. Czy nie mógł powiedzieć czegoś serdeczniejszego? A ona myślała, że...

- Niezbyt dobrze jeżdżę konno i rzadko wstaję o świcie.

- Jutro czeka cię jedno i drugie. Zapewnię ci wspaniałe lato, choćbyśmy mieli kark skrócić! A więc do rana - rzucił. - Przyjdź z własnej woli, bo inaczej wyciągnę cię z sypialni siłą.

- Jak śmiesz!

- Nie chcę więcej słyszeć tego wstrętnego wyrażenia. Właśnie że będę śmiał!

- Nie jesteś dżentelmenem.

- Dopiero teraz to zauważyłaś?

## 9

Kit czekał już koło stajni, kiedy Lauren zjawiała się tam po szóstej. Wprawdzie wysłał przedtem lokaja do jej pokojówki z poleceniem, by zbudziła swoją panią, ale chyba była już na nogach, skoro przysłała tak szybko. Wyglądała elegancko w ciemnozielonym kostiumie jeździeckim i toczku z lawendowym piórkiem. Włosy, mimo wczesnej pory, miała starannie ułożone.

Początkowo chciał sam pójść do sypialni i zbudzić ją. Miło byłoby zobaczyć jej oburzoną minę.

- Witaj. Kazałem osiodłać dla ciebie najłagodniejszą klacz. Zwierzę łagodniejsze od niej musiałyby chyba kuleć na cztery nogi. Będę jechał tuż za tobą, nie masz się czego bać.

- Wcale się nie boję, tylko nie przepadam za konną jazdą, zwłaszcza o tej porze, a także czuję się urażona. Miałaś mi ofiarować piękne lato, a nie zmuszać mnie do robienia czegoś, czego nie lubię.

-Nie, nie! Obiecałem ci niezapomniane lato i słowa dotrzymam. Nie martw się, nie pojedziemy daleko. Wymyśliłem dla ciebie coś jeszcze przyjemniejszego: pójdziemy popływać!

- Co?! - prychnęła z pogardą, zamiast, jak się spodziewał, ze zgrozą. -Wykluczone hrabio!

- Na imię mam Kit.

- Nie będę pływała i już!

- Pewnie myślisz, że od razu pójdiesz jak kamień na dno? Bul, bul i koniec? - spytał współczująco, pomagając jej wsiąść na konia.

- Ależ ja nie umiem pływać! - Poprawiła spódnicę i usiadła w siodle z takim wdziękiem, jakby przez całe życie nic innego nie robiła. - Nigdy nie próbowałam.

Nigdy nie próbowała! Jak wyglądało jej dzieciństwo? A może wcale go nie miała i od razu urodziła się damą? - pomyślał Kit.

- No to dziś rano spróbujesz. Nauczę cię.

- Nie chcę! - Jechała jednak za nim.

Gdyby nie tamten wieczór w Vauxhall, byłaby mu zupełnie obojętna. Co za chłód, co za dystynkcja! Ani krzty poczucia humoru. I ten smutek! Korciło go jednak, by ją prowokować. Wiedział, że pod maską chłodu kryje się kobieta szczerze pragnąca zrzucić ten sztywny gorset, tylko nie wiedząca jak.

A poza tym czy można nauczyć radości życia kogoś, kto jej nigdy nie zaznał?

Jechali powoli wzdłuż rzeki, a potem przez most. W końcu skręcili na ścieżkę wiodącą ku brzegowi jeziora. Drzewa rosły tu gęściej niż od strony dworu. Niekiedy ścieżka zagłębiała się w las i na minutę czy dwie tracili z oczu wodę. Kit zatrzymał się w pewnej chwili i obejrzał za siebie, by sprawdzić, czy Lauren jedzie za nim.

-No i jak?

Spojrzała na niego z wyrzutem.

- Każdy przyzwoity człowiek leży o tej porze w łóżku. Zdaje się, że obiecałeś pokazać mi park, a nie dziki las. Jeśli tak ma wyglądać wspaniałe lato, to zawarłam fatalną umowę!

- No proszę, opanowana panna Lauren Edgeworth wreszcie się zirytowała! - Kit zaśmiał się zadowolony.

Zmierzała ku altanie, zbudowanej głównie po to, by z przeciwległego brzegu oglądać malowniczy widok. Służyła też jednak jako miejsce odpoczynku tym, którzy potrafili przepłynąć jezioro.

Kit zeskoczył z konia i przywiązał go do drzewa, a potem pomógł zsiąść Lauren, po czym odczepił od swojego siodła mały tobołek i wszedł do altany.

Pod ścianami stały drewniane ławki. Wnętrze zdobił jedynie fryz, na którym nadzy, kędzierzawi chłopcy gonili chyże nimfy po gaju pełnym kwiatów i owoców. I on, i bracia nieraz stawali na ławkach, zerkając z zaciekawieniem na nimfy w przejrzystych szatach. Nic dziwnego, że wyrzeźbieni chłopcy tak ochoczo za nimi gonili.

Lauren usiadła pod ścianą z rękami złożonymi na podołku. Kit położył swoje zawiniątko na ziemi i także usiadł. Lauren miała zagniewaną minę, nieco jednak niepewną.

- Czy Newbury Abbey leży nad morzem?

- Owszem. Plaża stanowi część parku.

- I nigdy nie pływałaś?

- Nie cierpię plaży. Piasek wsypuje się do butów, wiatr wysusza cerę, a morze jest... dzikie.

- Dzikie? - Spojrzał na nią zdumiony. - Nie lubisz natury? Nie kochasz morza?

- Nie. - Spojrzała na jezioro, które tego ranka było gładkie jak lustro. - Jest takie przepastne, niepojęte, nieokielznane... i okrutne. Niczego nie zwraca.

Czyżby ktoś z jej bliskich utonął?

- Czy twoja matka i ojczym wybrali się w podróż poślubną morzem?

Spojrzała na niego z takim lakiem, jakby błagała o zmianę tematu.

- Najpierw pojechali do Francji, w przerwie pomiędzy wojnami, potem dalej na południe, a wreszcie na wschód. Kiedy ostatni raz o nich słyszałam, byli w Indiach. Opowiadano mi, że wuj i ciotka zabrali mnie wtedy ze sobą. Podobno machałam chusteczką na pożegnanie, póki statek nie zniknął na horyzoncie. Nic nie pamiętam. Miałam wtedy trzy lata.

- Czy żaden z twoich towarzyszy zabaw nie pływał?

- Owszem, Neville i Gwen. Oczywiście nie wolno im było, ale kiedy w gorące dni wracali do domu z mokrymi głowami, ciotka Clara udawała, że nic nie widzi, a wuj zgryźliwie pytał, czy padał deszcz?

- Ale ty nigdy nie złamałaś tego zakazu?

- Ze mną było inaczej.

- Dlaczego?

- Nie byłam przecież ich dzieckiem, nawet nie krewną, tylko kimś obcym, kukułczym jajem.

- Uważali cię za przybłędę? - spytał oburzony.

- Ależ skąd. Traktowali mnie, jak własne dziecko. Neville uważał mnie za siostrę, a Gwen i ja byłyśmy nierozłączne. Chyba zauważyłaś, jak bardzo ciotka i Gwen są do mnie przywiązane. Tylko że... widzisz, wiele im zawdzięczałam. Jakże mogłam być nieposłuszna, niewdzięczna? Nie zasługiwałabym wtedy na miłość.

Dlatego właśnie wyrosła na damę, a nie na kobietę. Żeby zasłużyć na miłość. Na życzliwość. Na bezpieczeństwo. Tylko że to bezpieczeństwo legło w gruzach. Pod pozorami opanowania kryła się istota rozpaczliwie niepewna siebie.

- Czy znasz rodzinę ojca?

- Nie. Rok czy dwa po wyjeździe mamy wuj spytał ich listownie, czy chcą mnie zabrać, nim ona wróci. Wicehrabia Whitleaf, mój stryj, który odziedziczył tytuł po śmierci mego ojca, nie zgodził się. Nie wiedziałam o tym, póki sama do nich nie napisałam, a miałam już wtedy osiemnaście lat. Odpowiedział mi, że nigdy nie sprzyjał pieczeniarczom ani ubogim krewnym.

Oniemiały Kit spojrzał na nią przez ramię. Lauren wpatrywała się w swoje dłonie. Zupełnie jak w Vauxhall. Do diabła! Szkoda, że o tym nie wiedział dwa tygodnie temu.

- Dziadek może by mnie wziął do siebie, gdybym poprosiła, ale pewnie myślał, że lepiej będzie mi się żyło w towarzystwie rówieśników.

- Miał słuszość...

Kit postanowił zmienić temat.

- Tracimy najlepszą część dnia, kiedy woda jest najspokojniejsza i najczystsza.

- No to idź się kąpać - powiedziała z niechęcią. - Posiedzę tu i popatrzę na ciebie, ale, proszę cię, nie zdejmuj koszuli. To byłoby niestosowne.

- Może mam się kąpać w surducie i w butach, a ty w kostiumie i kapełusiku z piórkiem?

- Ja do wody nie wejdę, wybij to sobie z głowy, hrabio! Mógłbyś mieć choć tyle przyzwoitości, żeby rozbierać się na zewnątrz.

On tymczasem zdjął koszulę, rzucił ją na ławkę i zaczął ściągać buty.

- Czy boisz się zamoczyć palce u nóg, czy nie chcesz, żebym zobaczył cię bez obuwia?

Zarumieniła się.

- Niczego się nie boję!

- To świetnie. - Rzucił but pod ławkę i zaczął ściągać drugi. - W takim razie masz pięć minut na rozebranie się do koszuli.

- Co takiego?

- Cztery minuty i pięćdziesiąt sekund.

Do... do koszuli?! - Spurpurowiała.

- Chyba masz na sobie koszulę? Bo jeśli nie, to ja mogę się zaczerwienić.

Wstała z nieprzeniknioną miną, gdy drugi but wylądował pod ławką. Kit rozpiął kamizelkę.

- Wracam do domu! - oznajmiła. - Widzę, że należało słuchać krewnych w Londynie. Zechciej stąd wyjść, hrabio!

Kamizelka poszybowała w ślad za surdudem. Kit ściągał teraz koszulę.

- Cztery minuty.

- Jak śmiesz!

- Och, znów to wstrętne wyrażenie. - Zdjął koszulę przez głowę. A nuż zemdleje? Była jednak odporniejsza, niż myślał.

-Nie jesteś dżentelmenem, hrabio.

Przechylił głowę, jakby się zastanawiał, czy ma się kąpać w spodniach, czy też, co byłoby rozsądniejsze, w kałesonach.

- Powinnaś wymyślić coś oryginalniejszego. Trzy minuty pięćdziesiąt sekund. - Został jednak w spodniach. W końcu wziął zapasową parę. Uniósł nogę, żeby ściągnąć pończochę.

-- Pozwól mi odejść!

Czy ma ją wrzucić do wody w ubraniu?

- Chciałaś przygody. Chciałaś się przekonać, jak żyją ludzie, którzy nie muszą sobie zaskarbiać miłości opiekunów. Chciałaś radości, szczę-

ścia i swobody. Musisz sama spróbować, inaczej się nie da. Jak mam dotrzymać umowy, skoro mi nie pozwalasz?

- Nie umiem pływać!

- Nauczę cię. Woda nie jest głęboka. Nie sięga nawet do ramion.

-Nie mogę... nie mogę zdjąć moich...

Tak, z tym jest kłopot. Mógł to zresztą przewidzieć.

- Skoczę do wody, popływam sobie trochę i nawet nie spojrzę w twoją stronę. Kiedy będziesz gotowa, owiń się jednym z tych ręczników, są duże, i przyjdź nad brzeg. Pomogę ci zanurzyć się w wodzie. Albo wejdź do niej sama, jeśli wolisz, a ja nie będę patrzył.

- Kit, ja sobie nawet nie wyobrażałam...

- ...ani pocałunków, ani namiętności, ani konnej jazdy. Możesz wrócić do domu, jeśli tylko chcesz. Nie zatrzymuję cię.

Odwrócił się i zamaszystymi krokami poszedł ku brzegowi. Woda była tak zimna, że zaparło mu dech. Zaczął powoli płynąć kraulem w stronę przeciwnego brzegu.

-Kit...

Był pewny, że uciekła do domu! Nim się jednak obejrzał, zawołała ponownie:

- Kit!

Kłęczała na brzegu, skulona i owinięta po szyję kocem, w który zawiązał ręczniki. Podpłynął bliżej.

- Woda jest strasznie zimna. Nie mogę! Nie zmuszaj mnie!

Mimo zimnej wody zrobiło mu się gorąco, kiedy zrozumiał, że zdjęła prawie wszystko. Zatrzymał się nieco dalej i wyciągnął do niej rękę.

- Oto chwila prawdy. Jak bardzo pragniesz przygody? Czy masz dość odwagi? Teraz albo nigdy!

Owinęła się kocem jeszcze ciaśniej, choć wydawało się, że to niemożliwe.

- Złap mnie za rękę albo wracaj do domu!

Przykucnęła i wyciągnęła ku niemu najpierw jedną, potem drugą rękę. Koc zsunął się na trawę. Oblała się rumieńcem. Kit chwycił ją mocno -i skoczyła.

Rozpaczliwie chwyciła oddech, trzymając się go kurczowo. Objął ją w pasie i pociągnął ku sobie, póki woda nie sięgnęła im do szyi. Nagle zdał sobie sprawę, że dotyka jej gołego ciała.

- Ani nie utoniesz, ani się nie zaziębisz. Szybko przywykniesz do wody. Nie jest taka zimna. Wstrzymaj oddech.

Wciągnął ją pod powierzchnię. Miała zaciśnięte powieki, a włosy otoczyły jej twarz czarną chmurą.

Gdy po chwili wypłynęli, otworzyła oczy i krzyknęła:

- Zrobiłam to! Zrobiłam!

Roześmiał się serdecznie.

Dał jej pierwszą lekcję, tłumacząc, jak zanurzać twarz w wodzie i prawidłowo oddychać. Była zdumiewająco pojętną uczennicą: chyba zawsze pilnie się stara podobać wszystkiemu, co chce osiągnąć. Wreszcie nauczył ją pływania na plecach. Kiedy przekonała się, że nie utonie, zastosowała się do jego rad, ale musiał podtrzymywać ją rękami, dopóki nie zobaczył, że samodzielnie utrzymuje się na wodzie. Popłynęła, z rękami wyciągniętymi na boki i z zamkniętymi oczami. Po chwili oddalił się od niej nieco i powiedział:

- Ślicznie dziś wygląda niebo. Te białe, puszyste obłoczki tylko pod kreślają jego błękit.

Otworzyła oczy i spojrzała w górę.

- Rzeczywiście! - zgodziła się z nim i dopiero wtedy zorientowała się, że Kit jej nie trzyma. Natychmiast poszła pod wodę, po chwili jednak wynurzyła się, prychając i wycierając oczy.

- O mało się nie utopiłam! - krzyknęła. A potem opuściła ręce, utkwiała w nim zdumione spojrzenie... i uśmiechnęła się. Szerokim, pogodnym uśmiechem, który rozjaśnił jej twarz.

- Potrafię pływać, Kit!

Podpłynęła ku niemu i jej ramiona, sam nie wiedział jak, oplotły mu szyję, a on objął ją w pasie, porywając ich obydwójce w dół. Nim zniknęli pod wodą, zaczął ją całować.

I nagle czas się zatrzymał. Było tylko ciepło ciała i słodycz ust, i niczym niezmacona radość. Ale tylko przez kilka chwil. Gdy się wynurzyli, znów byli tylko sobą.

- To pani pierwsza przygoda, madame.

- Czegóż mogłam się spodziewać po osławionym Ravensbergu! Och, musi już być strasznie późno!

- O Boże, rzeczywiście. A nikt z naszych krewnych nie wie, że poszłaś radować się porankiem razem z narzeczoną.

- Przyjechałam do Alvesley, chcąc ci pomóc, a nie po to, żebyś wikłał się w nowy skandal.

Zaśmiał się i wyszedł na brzeg. Pobiegł do altany i wrócił owinięty ręcznikiem, z drugim w rękę, drżąc z zimna.

- Chwyć się mojej ręki. - Wyciągnął ją. Mogłaby niczego na sobie nie nosić! Przypomniały mu się nimfy z fryzu, które tak fascynowały go w dzieciństwie. W ubraniu była piękną damą. W mokrej, przylegającej

do ciała koszuli - kusicielką i syreną. Podał jej suchy ręcznik i pobiegł się ubrać.

Dziesięć minut później wracali do domu. Chociaż włosy miała mokre i potargane, znów stała się zimna i wyniosła. Zwinięty ręcznik, który leżał na łęku jej siodła, skrywał mokrą koszulę, co oczywiście oznaczało, że pod kostiumem amazonki Lauren jest naga.

To wzbudziło w Kicie niezbyt przystojne myśli. I pomyśleć, że ta kobieta wcześniej wyznała mu, że pragnie wieść żywot niezależnej starej panny!

- Czy lady Muir miała jakiś wypadek, czy też zawsze kulała? - zagadnął Kit, by przestać myśleć o wdziękach Lauren.

- Niedługo po swoim ślubie spadła z konia i złamała nogę, która źle się zrosła. Straciła wtedy dziecko. Poroniła.

- No i owdowiała. Chyba nie jest dużo starsza od ciebie?

- Tylko o rok. Lord Muir zabił się, spadając ze schodów we własnym domu. Gwen była świadkiem tego okropnego wypadku. Jak możesz się domyślić, upłynęło dużo czasu. Bardzo kochała męża.

Kit zamilkł. Żal mu było tej młodej kobiety, którą dotknęło tyle nieszczęść? A jednak poza utykaniem nic nie świadczyło o jej cierpieniu. Często się śmiała, była urocza i bardzo ładna.

Jakże trudno osądzać kogoś na podstawie wyglądu, pomyślał. Ludzie kryją się za tysiącem masek.

Lauren znów była milcząca i nieprzystępna, choć jeszcze pół godziny temu śmiała się radośnie i go całowała.

Uśmiechnął się, ale po chwili coś boleśnie ścisnęło go w gardle.

## 10

Wbrew swoim obawom Lauren nie spóźniła się na śniadanie, a jej służącej wystarczyło czasu, by doprowadzić do porządku mokre włosy pani i zmienić jej strój. Zeszła na dół wraz z Gwen i ciotką Clarą, które przedtem w jej pokoju rozmawiały o miłym przyjęciu zgotowanym im w Alvesley.

Przy stole zastały całą rodzinę prócz babki, która-jak wyjaśniła hrabina - spędza rano w swoich apartamentach, a potem wychodzi na codzienny spacer. Hrabia posadził Lauren po swojej prawej stronie, a ciotkę Clarę po lewej.



- Wybrała się pani dziś rano na konną przejażdżkę z narzeczonym, prawda? Widziałem, jak szła pani ku stajniom.

-- Poranne powietrze było takie rześkie! Pojechaliśmy przez las do altany nad jeziorem. Widok stamtąd jest wspaniały.

- Wstałaś rano?! - Ciotka Clara oniemiała. - Ty, Lauren? I jeździłaś konno?!

I pływałam, dorzuciła w duchu Lauren. Jakże byłaby zażenowana, gdyby to się wydało! Straciła głowę, czego damy nigdy nie robią, a Kit ją całował! A może ona jego? Nie śmiała nawet o tym myśleć.

- Lauren nigdy nie lubi wstawać rano. - Gwen była wyraźnie rozbita. - Nie przepada też za konną jazdą. Chyba ma pan na nią zbawienny wpływ, lordzie Ravensberg!

- Sądzę - powiedział Kit z wesołym błyskiem w oczach - że to tylko skutek moich pogroźek. Powiedziałem, że wyciągnę ją za włosy z łóżka, jeśli nie przyjdzie z własnej woli.

Lauren poczuła, że robi się czerwona jak burak.

Kit, jak mogłeś! - oburzyła się hrabina.

Ciotka Clara parsknęła śmiechem.

- A to dopiero! - zawtórowała jej Gwen.

- Przejazdka posłużyła pani, miss Edgeworth - ciągnął hrabia. - Co za piękna, rumiana cera! Sydnemie, czy po śniadaniu pomożesz mi zrobić przegląd nowych dachów na domach farmerów?

- Oczywiście, ojcze.

Lauren zauważyła, że hrabia nie poprosił Kita, żeby pojechał razem z nimi. On sam również z tym nie wystąpił. Oczywiście Sydnem jest rządcą, ale mimo wszystko...

Hrabina zamierzała udać się do sąsiadów, by zaprosić ich na urodzinowe przyjęcie.

- Kit będzie panie zabawiał.

- Czy nie przydałabym się na coś, madame? - spytała Lauren.

- Jakże mi miło - hrabina spojrzała na nią życzliwie. - Chętnie przedstawię im narzeczoną syna. Czy zechcą panie nam towarzyszyć?

W końcu ustalono, że pójdą z wizytą we cztery.

- Czy zaprosisz również sąsiadów z Lindsey Hall, mammo? - zapytał Sydnem, wprawiając wszystkich w zakłopotanie.

- To dość daleko. Chyba wyślę tam służącego z listem.

- Mammo, jeśli zaprosisz wszystkich innych osobiście, może to wyglądać na afront - wtrącił Kit.

- Nie wiem, czy oni w ogóle będą chcieli przyjść. Choć, rzecz jasna, zaproszenie tak czy inaczej się im należy. Myślę, że powinniśmy...

- Mogę do nich pojechać. Przynajmniej będę dziś miał jakieś zajęcie.  
Zapadła kłopotliwa cisza.

- Może pojedę z tobą? - spytała Lauren. - Chyba na mnie poczekasz?  
Jeśli zostanę przedstawiona wszystkim sąsiadom prócz nich, będzie to wyglądało trochę dziwnie.

Hrabia chrząknął nerwowo, lecz nic nie powiedział, choć wszyscy na to czekali.

- Wiem, że stosunki między Alvesley i Lindsey Hall są obecnie mocno napięte. Może jednak Kit i ja spróbujemy wszystko załagodzić, jadąc tam po południu? Reszta będzie zależała tylko od nich.

- Och, moja droga - westchnęła hrabina - lepiej nie wybieraj się do Bedwynów. Księżę i jego rodzina mogą być bardzo... Co tu dużo mówić, nie lubią, kiedy ktoś im staje na drodze. Nie powinniśmy cię w to wikłać. Sami musimy sobie poradzić.

- Przecież wkrótce wejdę do rodziny.

- Ma pani zupełną rację, miss Edgeworth. Chwalę pani odwagę. - Hrabia spojrział na nią z uznaniem. - Mój syn z pewnością poczeka.

Kiedy zerknęła na Kita, patrzył na nią bez słowa i bez uśmiechu.

Przedpołudnie okazało się pracowite, lecz nie robiła niczego, co wykraczałoby poza dobrze jej znane obowiązki. Zaproszono sześć rodzin - trzy miejscowe i trzy okoliczne. Starła się wypaść jak najlepiej i ze względu na umowę z Kitem, i dlatego że było to jej drugą naturą. Budziła, rzecz jasna, ogromne zainteresowanie. Gdy wracały z hrabiną do powoziku (pani Heath pokazywała tymczasem ciotce Clarze i Gwen swój ogród), doczekała się nagrody.

- Doprawdy, okazała się pani przemiłą niespodzianką. Odkąd Kit wrócił do kraju, dochodziły nas o nim fatalne wieści. Kiedy przyjechał tu i oświadczył, że jest zaręczony, oczekiwaliśmy najgorszego. Jesteśmy niezwykle radzi, iż wybór mojego syna padł na kogoś tak czarującego.

- Dziękuję, madame. - Lauren zaczerwieniła się z zadowolenia. - Czy bardzo państwa przygnębiło jego zerwanie z lady Freją?

- Od dawna pragnęliśmy połączyć i nasze rodziny, i sąsiadujące ze sobą włości. Nasz najstarszy syn zmarł, nim zdążył poślubić Freję. Mąż myślał, że Kitowi będzie odpowiadał ten związek. Ja zresztą też. Kit za skoczył nas swoją decyzją, ale jestem pewna, moja droga, że będziesz dla niego doskonałą żoną. Może też - dodała z westchnieniem - zdołasz go przekonać, żeby wreszcie tu osiadł.

Nie miały już innej sposobności do rozmowy. Gdy wracały do domu, ciotka Clara entuzjastycznie wychwalała uroki ogrodu pani Heath.

Lauren nękały wyrzuty sumienia. Jak będą czuli się rodzice Kita, gdy ona z końcem lata zerwie zaręczyny? Okazali się sympatycznymi ludźmi, którzy chcą dla niego jak najlepiej, a nie despotami bez serca, o czym zdawały się świadczyć słowa Kita w Vauxhall. Jakże mogła się zgodzić na podobne oszustwo? Nie! Przecież to ona sama podsunęła mu ten pomysł!

Chętnie zwierzyłaby się Gwen, lecz gdy podchwyciła jej rozradowane spojrzenie, zrezygnowała. Gwen była tak przybita tym, co ją spotkało w zeszłym roku, że nie chciała dokładać jej zmartwień. Umowa to umowa. Trudno, nikomu nic nie powie, póki nie będzie po wszystkim.



Niecałe dwie godziny później Lauren siedziała w kariolce Kita, osłaniając twarz parasolką. Czuła się nieswojo z dwóch powodów. Nadal krępowało ją wspomnienie porannej eskapady, a wizyty u sąsiadów obawiała się znacznie bardziej, niż chciała sama przed sobą przyznać.

Kit nie miał ochoty na rozmowę i jechał o wiele za szybko, jak na jej gust. Mógłby coś powiedzieć, choćby o pogodzie, albo poruszyć jakiś inny bezpieczny temat! Czy naprawdę kąpała się z nim rano w samej koszuli, czy jej się to śniło? Skądże, przecież nigdy nie miewa tak dziwacznych snów! Zakręciła nerwowo parasolką.

- Teraz już wiem - odezwał się Kit, nie odwracając głowy - że to świadczy o twoim zdenerwowaniu, nawet gdy wyglądasz na opanowaną.

- O czym mówisz?

-- Kiedy kręcisz parasolką tak energicznie, że aż czuję powiew na twarzy. To oznaka wzburzenia. Parasolka cię zdradza.

- Co za głupstwa!

- Denerwujesz się?

- Ależ nie.

- A powinnaś.

Zmierzała ku nim fura wypełniona po brzegi sianem. Kit zjechał na bok, niemal zahaczając kołami o żywopłot, i pozdrowił starego wieśniaka, który zdjął przed nim czapkę, a jego pomarszczoną twarz rozjaśnił uśmiech. Lauren dopiero po chwili, kiedy znów wyjechali na środek drogi, rozluźniła kurczowo zaciśnięte na rączce parasolki palce.

- Bedwynów jest sześcioro - ciągnął Kit, nie dbając o to, że przed chwilą o mało nie spowodował wypadku - ale większości i tak nie zobaczysz, a żadne spośród nich nie będzie nam dobrze życzyło. Najstarszy

jest sam książę. Odziedziczył ojcowski tytuł jako szesnastolatek. Po nim są Aidan, Rannulf, Freja, Alleyne i Morgan. Matka najwyraźniej rozczytywała się w dziejach i literaturze angielskiego średniowiecza, stąd ich niezwykle imiona. Bewcastle ma na imię Wulfryk, choć nikt go tak nie nazywa, nawet w najbliższej rodzinie. W dzieciństwie przyjaźniłem się i bawiłem ze wszystkimi prócz niego, bo zanadto zadzierał nosa, i prócz Morgan, bo była wtedy jeszcze za mała. Aidan walczy teraz na Półwyspie, pozostali są w domu. Bez względu na płeć każde z nich to diabeł wcielony. Niepotrzebnie zgodziłem się, byś mi towarzyszyła. To jak rzucenie cię wilkom na pożarcie.

Wszystko to brzmiało groźnie. Wpojono jej jednak zasadę, że dobre maniere i uprzejmość należy zachowywać nawet w najgorszych okolicznościach i nigdy nie zdradzać swoich uczuć.

- Wcale się ich nie boję. Przyjechałam do Alvesley, żebyś mógł tu pozostać. Przecież to część naszej umowy. Muszę jakoś pogodzić wasze rodziny.

Po kilku kilometrach jazdy wąską, wiejską drogą, wjechali w wysadzaną wiązami szeroką aleję wiodącą do imponującego kamiennego dworzyszca. Lauren domyśliła się, że to Lindsey Hall. Poczuli, że żółądek podchodzi jej do gardła, co po bohatersku zignorowała.

- Myślę - odezwał się Kit - że wypełniasz swoją część umowy z wyjątkowym poświęceniem. Obiecuję ci, że ja z większą pilnością przyłożę się teraz do mojej. Po tej wizycie przeżyjesz wspaniałą przygodę. Ze szczyptą namiętności na dodatek.

-Nie chcę już dzisiaj pływać. Ani... ani jeszcze raz się z tobą całować.

Roześmiał się.

- Nie, to będzie chodzenie po drzewach.

Przeraziła się nie na żarty, ale zabrakło jej czasu, żeby dążyć temat. Aleja rozdzielała się na dwie odnogi okrążające wielki, wspaniały ogród z marmurową fontanną pośrodku. Woda tryskała z niej na dziesięć metrów w górę, mieniając się tęczo w słońcu. Kit zajechał przed frontowe drzwi, pomógł Lauren wysiąść i powierzył kariołkę stajennemu, który właśnie do nich podbiegł.

- Całe to domostwo jest bezładnym zlepkiem różnych stylów. - Z tymi słowami Kit zastukał kołatką. - Wiele pokoleń książąt, a wcześniej hra biów, coś tu dorzucało i ulepszało, niczego nie burząc. Wielki hol, jak się przekonasz, jest czysto średniowieczny.

Okazało się to prawdą. Strop podtrzymywały dębowe belki, na białych ścianach wisiała broń i splewiałe proporce. Całą ścianę naprzeciw wejścia zajmował ogromny kominek, a pośrodku stał masywny dębowy stół.

- Zobaczę, czy jego wysokość jest w domu, hrabio - powiedział stary kamerdyner, który ich wpuścił.

Jeżeli książę tam jest, z pewnością każe im na siebie długo czekać. Rzecz jasna, może zignorować ich wizytę. Lauren nie czuła już jednak strachu. Przyjechali tu, bo tak wypadło, i basta. Kit milczał. Stał koło drzwi na lekko rozstawionych nogach, z rękami założonymi za plecami, i miał raczej ponurą minę.

Na jednym krańcu holu znajdowała się galeria dla minstreli z rzeźbionym wawił wzory przepierzeniem, sięgającym od balustrady do posadzki. Lauren podeszła bliżej, żeby dokładniej przyjrzeć się szczegółom. Wtedy tuż nad nią ktoś odezwał się głośno:

- Ho, ho - głęboki męski głos mówił tonem uprzejmym, ale niepozbanym niemiłej domieszki - otóż i podpułkownik lord Ravensberg we własnej osobie!

Kit zadarł głowę do góry, podczas gdy Lauren stała tam, gdzie przedtem, pod wystającą galerią.

- Ralf? - spytał szorstko. Głos odezwał się znowu:

- Co, zaproszenie? Niezbyt to mądre z twojej strony, chłopie. Zechciej się zaraz stąd zabrać razem ze swoją narzeczoną o twarzy wiernego Piętaszka. Pasujecie do siebie idealnie. Prawdziwe przymierze porzuconych!

Lauren te słowa sprawiły ogromną przykrość. Nie mogła się jednak zdecydować, czy powinna to okazać, czy nie.

- Wybacz - Kit przybrał ton równie uprzejmy, jak jego niewidzialny rozmówca - ale nic mi nie wiadomo o tym, żebyś ty był panem Lindsey Hall i mógł mi rozkazywać. Przyszedłem do Wulfryka, żeby przedstawić mu moją narzeczoną, bo, jak się wydaje, będziemy w przyszłości sąsiadami.

Rannulf zaśmiał się cicho.

- Czy to przyszła panna młoda kuli się tam w dole? Spędziłem w Lindsey Hall większość życia i tyle razy przychodziło mi w nim przeżywać podobne zakłopotanie, że można by się spodziewać, iż teraz już nauczyłem się chować pod galerią, nim otworzę usta. Najserdeczniej przeproszam, madame. Mam do wyrównania z Kitem pewne rachunki. Do pani nic nie mam.

Lauren wyszła na środek holu i spojrzała w górę. Ralf przechylał się nonszalancko przez balustradę. Był potężnie zbudowanym mężczyzną o gęstych, rozwichrzonych włosach i przystojnej, wyrazistej twarzy. Przypominał jej wikingów, o których czytała w książkach historycznych.

Przyjmuję przeprosiny, milordzie. Gdy się mimo woli usłyszy czyjeś złośliwe uwagi o sobie, to zawsze jest to przykrym zaskoczeniem, prawda?

Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, iż ten ktoś wcale nas nie zna, a także nigdy nas nie widział. Lekcja dyskrecji i uprzejmości każdemu się przyda. Ralf uśmiechnął się z uznaniem.

- Przedstaw mnie, Kit. Widzę, że dostałem solidną nauczkę od damy, która powinna wziąć pod uwagę, że bardzo niegrzecznie jest upominać dżentelmena, którego jej wcześniej nie przedstawiono.

- To lord Rannulf Bedwyn, Lauren, który docenia dobre maniere dopiero wtedy, kiedy dostanie po nosie. To panna Edgeworth, Rannulfie, winien jej jesteś przeprosiny.

Młody olbrzym wciąż spoglądał na nią z uśmiechem.

- Do licha, co za piękność. Nieśluszenie przezwąłem panią Piętaszkim, madame. Nie powiedziałbym tego, gdybym panią wcześniej ujrzał. Najmocniej przepaszam. No cóż, może pan Lindsey Hall zechce ci udzielić ci audjencji, Kit, a może każe ci powiedzieć, że nie ma go w domu. Gdzie on się podziewa, Fleming?

Kamerdyner zignorował go.

- Proszę za mną, hrabio - rzekł do Kita, skłonił się z szacunkiem i po prowadził przez hol w kierunku odwrotnym do galerii.

Lauren słyszała jeszcze cichy chichot Rannulfa, gdy ujmowała Kita pod ramię. Co za zuchwały typ, pomyślała. Kit nie darmo określił Bedwynów mianem diabłów wcielonych.

Nikt by jednak tego nie powiedział na widok sceny, którą ujrzeli w salonie. Był to obszerny pokój, a wszyscy jego mieszkańcy zebrali się razem w najdalszym jego końcu. Wszyscy też milczeli. Kit i Lauren musieli do nich podejść, pokonując całą długość salonu. Domyśliła się, że zrobiono to celowo. Rozmiar i przepych pokoju miały przytłoczyć gości i wymusić na nich pokorę. Żywy obraz, jaki tworzyli lokatorzy salonu, miał napawać lękiem. Lauren nie była jednak osobą lękliwą. Rozglądała się, zamiast spuścić oczy i utkwic wzrok w perskim dywanie, czego, jak przypuszczała, po niej się spodziewano.

Książę Bewcastle - z pewnością był nim wyniosły mężczyzna stojący przed kominkiem - miał ciemną cerę i cienkie wargi. Natura nie poskąpiła mu wzrostu. W jego przymkniętych oczach nie było najmniejszej choćby iskierki uśmiechu, żadnej oznaki życzliwego powitania. Szczupła dziewczyna o takiej samej ciemnej cerze siedziała sztywno i poważnie po jednej jego stronie, obok starej damy w czerni. Po drugiej stronie księcia, z upięscioną dłonią wspartą na poręczy sofy, stał smagły młodzieniec bardzo podobny do księcia, tyle że niezwykle przystojny. Na jego twarzy malowało się zimne szyderstwo. Podobny wyraz miała twarz damy na

sofie. Lauren od razu domyśliła się, że ma przed sobą lady Freję Bedwyn. Mimo że Kit ostrzegał ją przed Bedwynami, wyobrażała ją sobie jako bladą, ładną, nieśmiałą istotkę, niezdolną sprzeciwić się woli brata.

Lady Freja miała na sobie kostium jeździecki - w salonie! - łącznie z butami do konnej jazdy. Nie była ani trochę filigranowa, jej kształtom brakowało też kobiecej miękkości. Jasne włosy spływały w luźnych puklach aż do połowy pleców. Siedziała z jedną nogą założoną na drugą w zaskakująco niekobiecej pozie, kołysała stopą i zmrużonymi oczami wpatrywała się w Lauren, taksując ją od stóp do głów.

Przejdźcie przez pokój zajęło im ledwie kilka sekund, lecz Lauren wydało się, że było to przynajmniej pięć minut. Kiedy podeszli bliżej, książkę zaczął skinąć im głową.

- Ravensberg? - spytał głosem cichym i lodowatym.

- Bewcastle? - odparł Kit swoim zwykłym, pogodnym tonem. Mogło go nawet, jak uświadomiła sobie Lauren, bawić to zgotowane im przez sąsiadów i niegdysiejszych przyjaciół przyjęcie, które niewątpliwie miało wprawić go w zakłopotanie. - Mam zaszczyt przedstawić ci moją narzeczoną, pannę Lauren Edgeworth z Newbury Abbey. Lauren, jego wysokość książkę Bewcastle.

Lauren poczuła na sobie spojrzenie bystrych, błyszczących, jasnoszarych oczu skrytych pod ciężkimi powiekami. Przywiodło jej na myśl wilka. Czyż Kit nie mówił, że dano mu na imię Wulfryk?

- Miss Edgeworth - odezwał się tym samym, uprzejmym i lodowatym tonem, gdy przed nim dygnęła - pozwoli sobie pani przedstawić lady Freję Bedwyn, lady Morgan i jej guwernantkę, pannę Cowper, oraz lorda Alleyne'a.

Lauren dygnęła kolejno przed każdym z Bedwynów, a lord Alleyne odklonił się jej, świdrując ją wzrokiem dokładnie w taki sam sposób, jak przedtem jego siostra, tylko że jego spojrzenie zdawało się zdzierać z niej ubranie warstwa po warstwie.

- Przyjechaliśmy z polecenia mojej matki, która zaprasza wszystkich na urodziny mojej babki - wyrecytował Kit - choć bylibyśmy równie radzi, mogąc was gościć wcześniej. Niedługo zaczną zjeżdżać się krewni. Bawi już u nas hrabina Kilbourne i jej córka, lady Muir.

- To wielka uprzejmość ze strony lady Redfield - odparł książkę. - Ze chce pani usiąść, miss Edgeworth. Panno Cowper, proszę dopilnować, by przyniesiono tacę z herbatą.

Guwernantka wstała, dygnęła ze spuszczonej oczami i szybko wyszła z pokoju.

Lauren usiadła na wskazanym jej krześle.

- Kilbourne? Kilbourne? - Lady Freja zmarszczyła brwi i podparła podbródek palcem o szpiczastych paznokciach. - Coś chyba słyszałam... Ach tak. Czy obecna hrabina nie pojawiła się w Newbury w nader nie zwykłych okolicznościach, ratując hrabiego przed popełnieniem bigamii?

- I jak mi się zdaje, Frejo, przybyła w samą porę- wycedził lord Alleyne. - Ślub się właśnie rozpoczął, panna młoda już zaczynała się czerwienić...

- Ach, teraz sobie przypomniałam - przerwała mu lady Freja i nagle urwała. - Ta porzucona panna młoda... czyżby to była pani, miss Edgeworth? - Oczy zabłyśły jej złośliwie.

- Poinformowano panią najzupełniej prawidłowo - odparła Lauren.

- Ach, jakim niewybaczalnym grubiaństwem z mojej strony jest przypominanie pani tego upokorzenia. - Lady Freja wciąż nonszalancko kołysała nogą. - Zechce mi pani łaskawie wybaczyć.

Właśnie takich szyderstw najbardziej bała się Lauren, jadąc do Londynu, lecz to tutaj doznała ich po raz pierwszy.

- Nie trzeba niczego wybaczać. Każdemu z nas zdarza się przecież powiedzieć coś zupełnie bezmyślnie. - Zwróciła się z miłym uśmiechem do księcia: - Podziwiałam dębowe rzeźby w holu, wasza miłość. Czy te zaskakująco dobrze zachowane zabytki są oryginalne?

Przez całe piętnaście minut, niemal do chwili, gdy wreszcie mogli z godnością odjechać, Lauren zrećnie podtrzymywała konwersację, poruszając możliwie neutralne tematy, które mógł podjąć każdy z obecnych. Nie pozwoliła się Bedwynom zdeprimować i chciała choć trochę rozładować lodowatą atmosferę.

- Czy jeździ pani konno? - spytała nagle Freja, gdy akurat roztrząsano zalety spędzania przynajmniej części roku w mieście.

- Oczywiście.

- A czy także ze sforą?

- Nie, tego nie robiłam nigdy.

- Czy uważa się pani za doświadczoną amazonkę?

- To zależy, co pani rozumie przez doświadczenie. Oczywiście mogłabym...

- Czy pędzi pani na przelaj przez pola? Czy raczej przesadza pani żywopłot niż wjeżdża bramą? Czy zaryzykowałaby pani złamanie karku dla samej satysfakcji ściskania udami końskiego grzbietu?

Nawet kobieta wychowywana na damę może okazać się prostaczką. Wulgarność tych słów miała zaszokować Lauren, co się powiodło. Jak lady Freja mogła wyrazić się tak w obecności mężczyzn? I czy naprawdę



jeździ po męsku, okrakiem na koniu? Lecz Lauren nawet drgnięciem powieki nie zdradziła, co czuje.

- Nie - odparła z uśmiechem. - Obawiam się, że pod tym względem nie można mnie uznać za doświadczoną.

- Pływa pani?

-Nie. (To nie była okazja do chlubienia się nowo nabytą umiejętnością!)

- Gra pani w krykieta?

- Nie. (Przecież to gra dla mężczyzn!)

- Poluje pani? -Nie.

(Dobry Boże!)

- Łowi pani ryby?

- Nigdy nie próbowałam.

- Gra pani w bilard?

-Nie.

- W takim razie co pani właściwie umie robić, miss Edgeworth? - Lady Freja powiedziała to z pogardą. Chciała tak zgnębić Lauren, jak tylko mogła. I udało się jej.

Nikt, nawet Kit, który patrzył na nią z zaciekawieniem, nie pospieszył jej z pomocą. Wszyscy inni śledzili, jak pozwala robić z siebie pośmiewisko, z wyjątkiem może panny Cowper, której zalękniony wygląd zdawał się świadczyć, iż dobrze wie, co to znaczy stać się obiektem wrogości lady Frei.

- Posiadam liczne umiejętności stosowne dla damy z dobrego towarzystwa - Lauren spojrzała Frei prosto w oczy - choć nie mogę się pochwalić, że w którejś z nich specjalnie celuję. Potrafię wykonywać ręczne robotki, prowadzić domowe rachunki, mówię po francusku i włosku równie dobrze, jak po angielsku, rysuję, gram na pianoforte, śpiewam, pisuję listy, które moi krewni i znajomi uznają za ciekawe i inteligentne, oraz czytuję książki, by kształcić umysł. Przyswoiłam też sobie trudną sztukę uprzejmego zachowania w każdych okolicznościach. Za swój obowiązek uważam zwłaszcza to, by goście czuli się w moim domu równie dobrze, jak we własnym, i poruszam w rozmowie tylko takie tematy, które nie wprawiają ich w zakłopotanie ani nie obnażają ich ignorancji.

Lord Alleyne, jak ujrzała na odchodnym, siedział z zaciśniętymi ustami i mierzył ją rozbawionym spojrzeniem.

- Mamy nadzieję, że spotkamy się wszyscy w Alvesley - rzucił na pożegnanie Kit.

- Będzie to dla nas wielką przyjemnością, wasza miłość - zwróciła się do księcia Lauren. - Dziękujemy za miłą gościnę.

Bewcastle pochylał głowę w ukłonie, nie spuszczać z niej wzroku. - Cała przyjemność po mojej stronie, miss Edgeworth. Kit podał jej ramię i znów przeszli przez cały salon, odprowadzani wrogim milczeniem.

- Cóż to za nudna trusia! - wybuchnęła Freja, nim za gośćmi zamknęły się drzwi. - Kit jest po prostu niepoważny!

- Coś mi się jednak zdaje, że ta dama wygrała pierwsze starcie - zachichotał Alleyne - i to całkiem chlubnie! Odebrało ci mowę.

- Bzdura! - parsknęła Freja. - Znudzi mu się najdalej za miesiąc. Szycie, rysowanie, domowe rachunki, francuski, włoski, śpiew - och, aż się ziewać chce! Siedzi sztywno, jakby kij połknęła, sączy łyżkami herbatę, jakby uczciwe, porządne pragnienie było jej całkiem obce, i paple o średniowiecznych rzeźbach. Na miłość boską, co ta żalosna kreatura może mu dać?!

- Postąpiłabyś mądrzej, Frejo - księżę mówił cichym, pozornie uprzejmym głosem, który mógł słuchacza przejąć dreszczem - nie robiąc czegoś, co musiało wyzwolić chęć odwetu i naraziło cię na nieuchronną porażkę...

-Przecież ja nie...

- ...a także było niegodne Bedwynów - dokończył księżę, wstając sprzed kominka - bo nie należy tak otwarcie dawać upust uczuciom.

Freja już otwierała usta, zrozumiała jednak, że nie należy sprzeciwiać się bratu. Poczekala więc, aż wyjdzie, a potem poszukała sobie łatwiejszego celu.

- Skończ wreszcie z tym głupim uśmieszkiem - warknęła do młodszego brata - albo zrobię coś, co ci go zetrze z gęby!

Alleyne natychmiast przybrał nieprzeniknioną minę, co ją tylko jeszcze bardziej rozżłościło.

- A ty - wycelowała palcem w siostrę - powinnaś była zostać w pokoju dziecinnym. Nie rozumiem, jak Wulf mógł ci pozwolić razem z nami przyjmować gości, których wcale nie powinien był przyjąć!

Panna Cowper poderwała się z krzesła wystraszona.

- Słowo daję, Frejo - odparła Morgan spokojnie, nie ruszając się z miejsca - on chyba chciał, żeby miss Edgeworth zaczęła drzeć jak listek na widok tyłu srogich, milczących Bedwynów. Może myślał, że da mu to satysfakcję? Z pewnością nieźle natrze uszu Ralfowi za wyłamanie się z szeregu. Lecz ja uważam, podobnie jak Alleyne i Wulf, że okazała się

godnym przeciwnikiem. Wcale się nas nie przelękła. A Kit miał z nas niezłą zabawę. Widziałam to po jego oczach.

- Kit?! Lord Ravensberg!

- Powiedział mi raz - odparowała Morgan - kiedy miałam pięć lat, a on cały dzień nosił mnie na barana, bo nie nadażyłabym za wami, że mogę mówić mu po imieniu. Schowaj swoje pretensje do kieszeni!

Wstała i triumfalnie wyszła. Panna Cowper podreptała w ślad za nią. Alleyne znowu zachichotał.

- A to pyskata złośnica! Zagrała nam wszystkim na nosie, Frejo!

Lady Freja jest boleśnie dotknięta - odezwała się Lauren.

- Nie sądzę - Kit ujął ją pod ramię. - To jej duma została urażona. Tylko tyle.

Szli wysypaną żwirem ścieżką między kwietnikami. Rąbek wzorzystej muślinowej sukni Lauren zahaczał o wystające gałązki. Zmierzali ku parkowi, z którego jakieś pięć minut wcześniej Kit wrócił wraz z ciotką Clarą i Gwen. Babka towarzyszyła im aż do rosarium, gdzie została, by nacieszyć się zapachem kwiatów.

- Jesteś pewien, że to wszystko?

Niewiele mówili w drodze powrotnej z Lindsey Hall, jakby zamierzali zachować wrażenia na później, kiedy już należycie je przetrawić. Teraz jednak znów znaleźli się we dwoje dzięki babce, która uparła się, żeby wysłać ich na spacer, podczas gdy ciotka Clara i Gwen miały odprowadzić ją do domu.

Mieliśmy ze sobą krótki romans trzy lata temu, gdy wyrosliśmy już z dziecięcych zabaw. Ni stąd, ni zowąd Freja zaręczyła się potem z Hieronimem, a ja zrobiłem z siebie durnia, wdając się w bójkę z Ralfem. Później wróciłem do wojska, na Półwysep. Z pewnością za mną nie tęskniła. To nie w jej stylu.

- W twoim też nie? - Minęli kwietniki i przez wąski pas trawy skierowali się ku małemu mostkowi.

- Myślisz, że przez cały ten czas kochałem się w niej potajemnie? Skądże. Było, minęło. Nie mam zamiaru tego roztrząsać. Byłoby to w najgorszym guście.

- Dlaczego? Przecież nasze narzeczeństwo długo nie potrwa. Nie musisz niczego przede mną ukrywać. Kochałeś ją? A może wciąż kochasz?

Podkute buty Kita zadudniły na mostku. Czy rzeczywiście kochał Freję? Wtedy tak sądził. Teraz widział wyraźnie, że tylko zachłannie pragnął jej ciała. Nie dopuściła zresztą do spełnienia tych pragnień, zawsze wycofując się w ostatniej chwili. Wówczas nie sądził, że się z nim tylko drażni, ale dziś przypuszczał, że nigdy nie traktowała jego zalotów poważnie.

- Nie można dokładnie określić dawnych uczuć. Wpływają na nie późniejsze doświadczenia. Rozpaczliwie chciałem ją poślubić i zabrać ze sobą na Półwysep. Tylko że tamtego lata zrobiłem wiele nieprzemyślanych rzeczy. Teraz wydaje mi się, że to wszystko było tak dawno temu. Jakże mógłbym ją jeszcze kochać? Zachowała się wobec ciebie grubiańsko.

- Nie czuję się obrażona. Rozumiem ją, przeżywałam coś podobnego. Tylko że ja nigdy nie potrafiłabym obejść się tak bezwzględnie z Lily.

- Czy czułaś się urażona, że nie przyszedłem ci z pomocą? Rzuciłem cię wilkom na pożarcie! Kiedy nie stawi się im czoła za pierwszym razem, zjedzą człowieka z kosteczkami za drugim. Nawiasem mówiąc, doskonale się spisałaś. Może nie zauważyłaś, ale zyskałaś sobie uznanie Ralfa. A także Morgan i Alleyne'a.

- Ona jeździ konno, pływa, poluje i robi wszystko to, o co mnie pytała, prawda? Potrafi cieszyć się życiem. Doskonale do ciebie pasuje, Kit. Myślę, że powinieneś zastanowić się, czego naprawdę pragniesz. Może niemądrze byłoby odrzucać myśl o małżeństwie z nią tylko dlatego, że pokłóciliście się trzy lata temu.

- Chyba potrafię mądrzej wykorzystać ten czas. To raczej o twoje względy powinienem zabiegać, żeby zamienić fikcyjne narzeczeństwo w prawdziwe.

- Nie. - Pokręciła głową. - Nie pasowalibyśmy do siebie ani trochę. Czy tego nie widzisz? Nie, Kit, chcę być wolna, kiedy już będzie po wszystkim. Nareszcie wolna.

A więc nawet gdyby starał się zdobyć jej serce, nawet gdyby poważnie myślał o poślubieniu jej, nawet gdyby się w niej zakochał, ona i tak wybrałaby staropanieństwo! Nazywała je wolnością. Widocznie kobieca wolność jest warta więcej od niego.

- Chyba źle zrozumiałaś ojcowskie intencje - podjęła Lauren. - Myślałeś, że chciał cię ożenić z Freją tylko ze względów rodzinnych, okazując swoją władzę, a twoje szczęście nic go nie obchodziło. Może on chciał się z tobą pojednać? Może sądził, że ten związek będzie ci odpowiadał?

- Skąd ci to przyszło do głowy? - spytał gniewnie.

- Powiedziała mi to dziś rano twoja matka. Czasem widzi się coś z niewłaściwej perspektywy. Pokłóciłeś się z ojcem i być może nie chcesz wziąć pod uwagę tego, że on zapewne cię kocha i chce, żebyś był szczęśliwy.

Pojednanie? Pod warunkiem, że syn, blisko trzydziestoletni, podda się ojcowskiej woli, nie zważając na własne uczucia i skłonności? Rzeczywiście, to dwie całkiem odmienne perspektywy!

Główna aleja wznosiła się stopniowo w górę ku najwyższemu północnemu punktowi domu. Biegła jednak tamtędy i inna ścieżka, węższa, bardziej kamienista, która skręcała ostro w prawo. Prowadziła na szczyt porośniętego drzewami pagórka z ruinami wieży, które, choć wyglądały na stare, w istocie były jeszcze jednym całkiem nowym zabytkiem. Kit prowadził Lauren na tę stromą ścieżynkę i wziął ją pod ramię.

- Kit, czy twój brat zmarł rok po twoim powrocie na Półwysep?

- Prawie. Jesienią nadeszły ulewy i rzeka wylała, odcinając kilka domostw wraz z mieszkańcami. Byliby się potopili. Choć wcale nie byli naszymi ludźmi, Hieronim pospieszył im z pomocą. Brakowało łodzi, więc ratował ich wpraw. Nikt nie zginął. A Hieronim dwa tygodnie później zmarł na zapalenie płuc.

- A więc był bohaterem!

- Jak najbardziej. Przeklęty bohaterem. Nawet palcem nie kiwnął, kiedy złamałem mu nos! Przeklęty bohaterem, który nawet nie poczeekał ze swoją śmiercią na mój powrót. Świetlanym bohaterem, który zostawił mnie, nim zdołałem się z nim pogodzić!

- Gdzie jest pochowany?

- Pewnie na rodzinnym cmentarzu - odparł szorstko. A w duchu dodał, że nawet dokładnie nie wie, w którym miejscu. Nie miał zresztą zamiaru pielgrzymować na jego grób. Nie, nigdy tego nie zrobi. Po cóż ten dureń tak głupio ryzykował życiem i je stracił? Ani razu nie napisał do niego na Półwysep. Kit zresztą też tego nie zrobił. Pierwszą rzeczą, jaką otrzymał z Alvesley po swoim wygnaniu, była koperta z żałobną obwódką zaadresowana ojcowską ręką. Wyszedł wtedy z obozu, daleko w szczere pole, i tam, pod gołym niebem, szlochał, wygrażając pięścią okrutnemu, niewidzialnemu Bogu. I choć dwie godziny wcześniej wrócił z wyczerpującego rekonesansu, z własnej woli poszedł na drugi. Bez snu i bez jedzenia. Na zwiadach nie zważał ani trochę na tę nędzną rzecz zwaną życiem. Chciał zapomnieć, tylko że zapomnieć się nie dało.

- Och! - Lauren, zatrzymała się bez tchu, z jedną nogą wspartą na wielkim, płaskim głazie. - Ależ stroma ta ścieżka! - Odwróciła się i spojrziała w dół, na drogę, którą przyszli.

- Odpocznij chwilę.

Wolały teraz być z nią w Londynie. Wolały znaleźć się znowu w swoim kawalerskim pokoju, chodzić do klubów, spędzać dni i noce z przyjaciółmi. I przekomarzać się z Lauren. Powrót do domu był błędem, podobnie jak przeświadczenie, że wszystko się uda, jeśli przywiezie ze sobą żonę czy chociaż narzeczoną. Że zdoła w jakiś sposób zapomnieć o wszystkim, co kazało mu trzy lata temu zerwać z rodziną. Hieronim nie żyje i nie wstanie z grobu. A Syd...

- Dlaczego twój brat i Freja nie pobrali się po całym roku narzeczeństwa?

Z początku był przekonany, że się pobrali, że Freja jest wdową po Hieronimie. Dopiero po powrocie do kraju i wystąpieniu z wojska poznał prawdę. Zaintrygowało go to i przykro zaskoczyło.

- Nie mam pojęcia. Wygnany syn rzadko otrzymuje wieści od rodziny.

Znów podjęli wspinaczkę. Lauren oddychała szybko, na jej policzkach wykwitły rumieńce, przez cienkie podeszwy pantofelków czuła kamienisty grunt. Nie poskarżyła się jednak ani słowem. Ucieleśniona dystynkcja, pomyślał, i nagle poczuł przypływ sympatii. Zaśmiał się, przypominając sobie, jak odcinała się Ralfowi i Frei. A on się bał, że schrupią ją z kosteczkami!

- Co cię tak śmieszy?

- Nic, po prostu jest mi wesoło. Mamy piękny, ciepły dzień lipcowy. Jesteśmy na miłej, spokojnej wsi. Na łonie natury. - Opuściło go całe przygnębienie. Wziął ją za rękę. - Chcę ci coś pokazać.

- Tę wieżę? - Spojrzała w górę. - Pewnie kręte schody prowadzą na sam jej szczyt. A ty będziesz chciał, żebym się na nie wspięła? Prawdę mówiąc, nie mam na to wielkiej ochoty. Schodzi się względnie łatwo, ale wejście na górę to okropność.

- Nie chodzi mi o wieżę. Najlepszy widok rozciąga się z innego miejsca.

Zatrzymała się i spojrzała tam, gdzie wskazywał. Wciąż jeszcze nie mogła złapać tchu.

- Och, nie! - powiedziała stanowczo. -Nie, Kit. Nigdy nie wspięłam się na drzewa. Kiedy robili to Gwen i Neville, trzęsłam się ze strachu. A poza tym to takie dziecinne! Zaszliśmy przecież dość wysoko, nawet stąd mogę dostrzec dach dworu. Za nic... absolutnie, nie wejdem na drzewo!

Wdrapanie się na tę właściwą gałąź zajęło jej całe dziesięć minut. Konar nie znajdował się wprawdzie tak wysoko, jak gałęzie starego dębu, na

który wspinał się jako chłopiec, ale był wyżej od wieży, stary i potężny. Wspinaczka na niego nie powinna sprawiać specjalnych trudności, jednak zdaniem Lauren każdy ruch niósł ryzyko. Kit wspinał się co prawda tuż za nią, podtrzymując ją w pasie, lecz ona nie chciała pomocy.

- Poradzę sobie sama, dziękuję. - Ucieła, gdy chwycił ją mocniej, chcąc nieco podsadzić. - Nie o tym myślałam w Vauxhall. Ani trochę mnie to nie bawi.

Ale na długo zostanie ci w pamięci. Pływałaś w samej koszuli i wspinałaś się na drzewo! Jeszcze się staniesz, nie daj Boże, prawdziwą łobuzicą!

Konar był tak gruby, jak pień niejednego z mniejszych drzew.

- Nie spadniesz, nawet gdybyś próbowała - zapewnił, niezupełnie zgodnie z prawdą, gdy usiadł na nim, opierając się o pień. Wciągnął ją, a ona usiadła między jego rozchylonymi nogami, plecami dotykając jego piersi, podtrzymywana przez niego opiekuńczo.

- Nie będę próbowała. Jak my zdołamy stąd zejść?

Słyszał jej serce bijące mocno tuż koło jego dłoni. Z trudem chwytła oddech, zgrzana i przestraszona. Zauważył, że unika spoglądania w dół. Przytuliła głowę do jego ramienia. Kapelusz leżał porzucony pod drzewem.

- Mogłabyś mi zaufać.

- Mam zaufać mężczyźnie słynącemu z lekkomyślnych i szaleńczych wyczynów? - spytała, przymykając oczy. - Oficerowi wymienianemu w wielu wojskowych raportach jako wyjątkowo zuchwały szpieg?

- Z każdego wypadu wracałem w całości. Serce biło jej teraz wolniej. Uspokoiła się. Na wpół leżała, z lekko ugiętymi nogami, opierając stopy na konarze. Pod cienkim muślinem sukni rysowały się wyraźnie długie, smukłe nogi. Stopy miała szczupłe, kostki ładnie zarysowane. Wydała mu się teraz o wiele młodsza niż wtedy, gdy ujrzał ją po raz pierwszy. Mniej klasycznie piękna, lecz bardziej kobieca.

- Gdybyś dała się przekonać i otworzyła oczy, zobaczyłabyś, że warto się było męczyć dla tego widoku.

Ani trochę nie warto. - Uniosła jednak powieki. Panorama okazała się przepiękna. Ponad wierzchołkami drzew można było dostrzec strumyk i kwietniki, widoczne stąd w całej swojej geometrycznej precyzji, i wschodnią fasadę dworu. Siedzieli jednak na tyle wysoko, że sięgali wzrokiem dużo dalej, ku trawnikowi ze starymi drzewami, ku rzece, jezioru, lasowi, wieży kościoła i wiejskim zabudowaniom.

- Ani trochę nie warto się było wspinać - powtórzyła - ale widok, przyznaję jest niebrzydki.

Pochwała nie była zbyt gorąca, lecz chwilę później Lauren zaprzeczyła własnym słowom. Poczł, że zaczyna delikatnie drzeć, a potem zaśmiała się. Lauren Edgeworth się śmiała!

- Siedzę na drzewie! Gwen i ciotka Clara nie uwierzą w to, o ile w ogóle im powiem! Nikt, kto mnie zna, nie uwierzy! Lauren na drzewie i bez kapelusza!

Przez chwilę jej śmiech był cichy, lecz nie mogła go powstrzymać. W końcu roześmiała się na cały głos. A Kit zawtórował temu wybuchowi wesołości, mocno ją trzymając.

-I wszystko ci się podobało?

- Tego bym nie powiedziała - wyznała ze śmiechem. Wreszcie uspokoił się obydwój, a kiedy znów się odezwała, w jej głosie nie było już rozbawienia. - Zapamiętam dzisiejszy dzień. Każdą jego chwilę. Na całe życie. Dziękuję ci, Kit.

Wsparł policzek o czubek jej głowy. Włosy miała rozgrzane od słońca. Radości, jakie jej dziś zapewnił, były takie proste. Czy naprawdę będzie o nich pamiętała przez resztę życia? Dziwne, on chyba zapamięta je na zawsze.

Wyprostował nogi, wsparł stopy o konar i zamyślił się. Kiedy po raz ostatni wspinał się na drzewo i miał czas na zadumę? Z pewnością nie w ostatnich latach, kiedy unikał stawiania twarzą w twarz z własnymi myślami. Nie kładł się do łóżka, póki nie był na tyle wyczerpany, by natychmiast zasnąć. Tylko że pozostawały jeszcze sny...

Zawsze wolał nieduże kobiety, bo sam nie należał do mężczyzn zbyt wysokich. Pociągały go niewiasty zmysłowe i z temperamentem. Miał na swoim koncie parę romansów, przeważnie burzliwych i satysfakcjonujących, lecz krótkotrwałych. Kiedy zakochał się we Frei, wyglądało to dość podobnie, czego nie chciał jednak sam przed sobą przyznać. Różnica w tym, że z Freją ostatecznie do niczego nie doszło, jego namiętność nie mogła się więc wypalić. Skończyła się jednak. Wcześniej myślał, że będzie trwała zawsze, że Freja jest kobietą jego życia. Czyż jednak nie myślał podobnie o licznych poprzednich kochankach?

Lauren Edgeworth miała usposobienie z natury chłodne, nie ozięble co prawda, lecz nierokujące żarliwej, fizycznej namiętności. Powinna go była odstręczać mimo niewątpliwej urody.

A jednak jej pragnął. Przechylił lekko głowę, wtulił twarz w jej włosy i wdychał ich zapach. Pragnął jej, choć było to pragnienie czysto fizyczne, lecz niepozbawione czułości.



Odgarnął jej włosy z twarzy i całował skroń, policzek, podbródek, nawet koniuszek ucha, przygryzając go delikatnie.

Siedziała bez ruchu, znowu miała zamknięte oczy. Odchyliła głowę. Pocałował ją w szyję i w ciepłe zagłębienie między szyją a ramieniem. Piersi miała nieduże, jakby stworzone dla jego dłoni.

- Kit - szepnęła - nie trzeba...

- Nie trzeba czego? - Objął ją mocniej. - Co ty możesz wiedzieć o tym, czego trzeba, a czego nie trzeba?

- Kit... nie jestem odpowiednią kobietą dla ciebie. Byłeś dziś dla mnie cudowny. Okropny, ale i cudowny. Z przyjemnością będę wspominała pływanie i wspinanie się na drzewo. Ale nie chcę namiętności. To byłoby niewłaściwe. Jesteśmy obcy sobie i takimi pozostaniemy. Gdyby obie rodziny wiedziały, że nasze narzeczeństwo jest udawane, nigdy nie pozwoliłyby nam przebywać razem. Łatwo zrozumieć, dlaczego. Ja nigdy... Kit, nigdy nie robiłam czegoś takiego.

- Nie chcesz być kobietą? - wyszeptał jej wprost do ucha. - Tylko damą?

Przez chwilę zwlekała z odpowiedzią.

- Tak - powiedziała wreszcie. - Wybrałam. Chcę być damą.

- Nie możesz być i jednym, i drugim?

- Tylko gdybym wyszła za męża. Za kogoś, kogo bym kochała i kto by mnie też kochał.

- Myślisz, że Kilbourne cię kochał? Słyszał, jak głośno przetyka. Tak. Zawsze się kochaliśmy. Nie w ten sposób, w jaki teraz kocha Lily, a Lily jego, ale... Kit, nie chcę o tym rozmawiać. Nie potrafię cię pokochać. Ani ty mnie. A wszystko, co robilibyśmy bez miłości, byłoby złe. Może nawet trochę brudne. Proszę cię, zabierz mnie do domu. Tylko jak my zejdziemy z tego drzewa?

- Skoro już o tym mowa... No, właśnie, jak?

Spojrzała na niego okrągłymi z przerażenia oczami. Uśmiechnął się do niej i zażartował:

- Ja też się boję...

Och, Kit! - Znowu się roześmiała, odpychając jego ramię. - Nie obawiaj się, poradzę sobie. Zacznę wołać o pomoc. - Wciąż się śmiała, nie, chichotała! Jak mała dziewczynka. Jak dziecko, którym chyba nigdy nie była. Nabrała tchu, niczym sopranistka w operze, która zamierza wziąć wysokie C, ale położył jej dłoń na ustach.

Jeśli muszę wybierać między połamaniem nóg a widokiem armii ogrodników spieszących nam na ratunek, to już raczej poświęcę nogi. No, jazda z górki! Złap się mnie i mi zaufaj!

Nie miałyśmy zbyt wiele czasu dla siebie. Trudno mi się oswoić z myślą, że cię tracę. - Gwendoline objęła ją serdecznie. - Ale jak to dobrze, że to z powodu twojego szczęścia. Ogromnie lubię lorda Ravensberga.

- Naprawdę?

Przechadzały się obie po parku, korzystając z chwili porannego spokoju przed spodziewanym najazdem gości. Kit pojechał z ojcem doglądać sianokosów na jakichś odległych łąkach. Lauren była z tego zadowolona. Poprzedniego wieczoru hrabia przewracał jej strony nut przy pianoforte. Gdy skończyła grać, posłała uśmiech Kitowi, który właśnie rozmawiał z Gwen i babką, niemal zmuszając go, żeby do niej podszedł. Dobrze wiedziała, że nie będzie miał na to ochoty i że również jego ojciec poczuje się jak złapany w potrzask. Unikali się, jak tylko mogli, ale zauważyła, że nie było już między nimi otwartej niechęci.

Gdy zamknęła nuty, wróciła na kanapę i, uśmiechając się do obydwu, zaczęła z nimi mówić o pałacowej farmie, podczas gdy oni, zaambarasowani, stali obok siebie. Na szczęście nie posunęła się do tego, by poddać hrabiemu pomysł pokazania Kitowi ulepszeń w domach rolników. Hrabia bowiem sam wystąpił z tą propozycją, a Kit ją przyjął. Och, Lauren umiała sterować konwersacją i naginać ją do swojej woli. Wiedziała, że robi to po mistrzowsku. Obydwaj nie zauważyli, że nimi manipuluje. A przecież głównym powodem jej przyjazdu do Avesley była chęć pogodzenia Kita z rodziną.

- On świetnie do ciebie pasuje. Wasze spotkanie trzeba uznać za szczęśliwe zrzządzenie losu -mówiła Gwendoline. Lauren zwolniła kroku, żeby nie męczyć utykającej kuzynki.

- Jego manieri i pogodne usposobienie doskonale uzupełniają twój zdrowy rozsądek. Jesteście wspaniałą parą. Jakże się z tego cieszę!

- Dziękuję. - Lauren nie była pewna, czy ścieżka, którą szli z Kitem poprzedniego dnia, będzie odpowiednia dla Gwen, ale mimo to skrzyła właśnie na nią i obydwie zaczęły się powoli piąć w górę.

Gwen się roześmiała.

- Och, jaką ty masz poważną minę, a przecież w duchu na pewno szalejesz ze szczęścia. Widzę to doskonale! Dostrzegłam wczoraj przy śniadaniu twoje mokre włosy. Z początku myślałam, że wstałaś o świcie, żeby je umyć, póki hrabia nie zaczął mówić o konnej przejażdżce. Potrafię dodać dwa do dwóch. No patrzcie tylko, Lauren, ty pływałaś!

- Wcale tego nie chciałam. - Lauren przysiadła na wielkim, płaskim kamieniu, żeby mogły odsapnąć. - Ale on się zawiązał. Pomyśl tylko, poranne wstawanie i pływanie w jeziorze! Czy to do mnie podobne?

- Och, Lauren, ja go uwielbiam. Lepiej wyjdź za niego jak najszybciej, bo ci go ukradnę!

- Gwen, ja umiem pływać! Na wznak, a nawet na brzuchu, z twarzą w wodzie. Ale idę jak kamień na dno, kiedy próbuję poruszać nogami, a on się ze mnie śmieje! - Nie była to do końca prawda. Kit śmiał się do niej, a nie z niej. Przez ostatnie dwa dni Lauren śmiała się więcej niż w ciągu całego życia. Nie był to uprzejmy, grzecznościowy uśmiezek, lecz szczery śmiech z całego serca. Zginała się w pół i lży ciekły jej po policzkach.

- O Boże. - Gwen stanęła i spojrzała w górę. - Spójrz, co za wieża! Czy to prawdziwe ruiny?

- Nie, ona ma je tylko udawać. Ale wygląda bardzo malowniczo.

Musiała tu wrócić. Musiała uwolnić się od myśli, która nią owładnęła.

We wczorajszym popołudniu nie było niczego magicznego. Po prostu siedzieli na gałęzi i patrzyli w dal. Co prawda pozwoliła mu się pieścić w sposób zdecydowanie niestosowny... Nie mogła uwierzyć, że nie kazała mu przestać. Nie, ta godzina we dwoje wcale nie była najpiękniejszą w jej życiu. Śmieszne, że w ogóle mogła tak sądzić. Ależ miałyby się z pyszna, gdyby ktoś się o tym dowiedział!

Nieszczęsna, wzgardzona, dwudziestosześcioletnia dziewczica! Dzisiaj, po blisko szesnastu miesiącach, mogłaby już być matką, gdyby tamto małżeństwo doszło do skutku. Obowiązki małżeńskie stałyby się już może dla niej codzienną rutyną. Powinna być odporniejsza na te niemądre, niejasne pragnienia, które nie dały jej spać przez pół poprzedniej nocy. Widziała też, że Kit wyszedł w mroku z domu i powędrował w stronę mostku. Patrzyła za nim, póki nie zniknął jej z oczu.

- Przyszliśmy tu wczoraj - zwróciła się do Gwen - i wspięliśmy się na tyle wysoko, że widać było wierzchołki innych drzew.

- Widok stamtąd musi być imponujący. - Gwendoline zadarła głowę, spoglądając na wieżę. - Ale wolę to sobie tylko wyobrazić. Chyba usiądę na chwilę na trawie.

- Ależ Gwen, ja miałam na myśli drzewo! Wspięliśmy się na nie. - Konar, na którym siedzieli, widziany z dołu nie wydawał się aż tak wysoko, znajdował się jednak wyżej niż wieża! Z wrażenia ugięły się pod nią kolana.

- A więc naprawdę jesteś zakochana! Ani Neville, ani ja nie mogliśmy cię w dzieciństwie namówić na podobne zuchwalstwo. Och, Lauren, co

to za ulga, że mogę wreszcie wspomnieć o Neville'u, nie widząc żalu w twoich oczach! No i o Lily. Ona jest taka kochana! Widziałam ich w dzień po tym, jak oznajmili mamie i mnie, że Lily będzie miała dziecko! Byli na plaży, Lily tarzała się w piasku z rozłożonymi rękami, bez czepeczka, bez pantofli i pończoch, a Neville stał przy wielkiej skale z rękami skrzyżowanymi na piersi i zaśmiewał się. Nie podeszłam do nich, nie chciałam im się narzucać.

Lauren zaczerpnęła gwałtownie tchu i wsparła się dłonią o wielki pień starego dębu. To już nie bolało. Nie czuła bólu.

- Lily będzie dobrą matką- odparła. Zamknęła oczy. Była dużo niższa od Neville'a. Zawsze sądziła, że podobają się jej rośli mężczyźni. A przecież przy Kicie czuła się o wiele lepiej. Miał piękne dłonie, nie za szerokie, mocne, czułe... och, nie powinien był... a ona nie powinna była mu na to pozwolić. Objął nimi jej piersi tak jakoś... właściwie. A potem jedną z nich... Lecz zamiast przerażenia odczuła przyjemność. A nawet trochę więcej niż przyjemność. -Zdała sobie nagle sprawę, że zaufałyby mu całkowicie. No i jeszcze... ten śmiech.

Lauren nie zauważyła poprzedniego dnia, że i wzgórze, i drzewo znajdowały się już poza stokiem, na który wchodzili. Był bardzo stromy i rosło na nim tylko kilka krzaków. Poniżej, aż po horyzont, ciągnęły się pola i łąki poprzedzielane żywopłotami. Wszystko razem wyglądało jak wielki, zszyty ze skrawków kilim przerywany tu i ówdzie domkami i farmami.

- Jak tu pięknie, Lauren - odezwała się znowu Gwen - w twoim przyszytym domu. I, na szczęście, niedaleko od Dorset. Będziemy się mogli widywać od czasu do czasu.

- Chyba że wyjdiesz za kogoś, kto wywiezie cię gdzieś do ciepłych krajów albo na zachodnie wybrzeże Irlandii.

- Myślę, że nie. Zresztą nie wiem.

- Nie możesz zapomnieć męża? Nikt ci go nie zastąpi?

- Nie wyjdę za mąż po raz drugi. Neville znalazł swoje szczęście, ty też, a mama musi mieć jakieś towarzystwo. Mnie to wystarczy.

Lauren wystawiła twarz na wiatr. Tak, Alvesley jest urocze - sielankowe, ciche i rozległe, ale to nie jej przyszły dom. Stanie się nim Bath albo inna podobna miejscowość. Lauren pragnęła osiąść wśród statecznej, powściągliwej społeczności tego kąpieliska, mniej już modnego niż dawniej. Mieszkali w nim głównie ludzie starsi. Bath jej odpowiadało. Będzie tam bezpieczna.

- Wygląda to niebezpiecznie! - Gwen wskazała coś poniżej.

Z dala zbliżało się troje jeźdźców, maleńkich z tej odległości jak zabawki. Galopowali na przelaj przez pola. Gdyby potknęli się na kamieniu

lub króliczej norze, których było tam pełno, przyplącaliby to życiem. Zbliżyli się do żywopłotu i przesadzili go jednym skokiem. Gwen wstrzymała oddech, lecz oni wylądowali już po drugiej stronie ogrodzenia i popędzili dalej.

- Jest wśród nich kobieta! - krzyknęła Gwen.

- To lady Freja Bedwyn i, jeśli się nie mylę, lord Rannulf z lordem Alleyne. Jadą w naszą stronę. Pewnie z wizytą do Alvesley.

- Czy to z nią hrabia chciał ożenić lorda Ravensberga? - Gwen przyśloniła oczy dłonią, wpatrując się w jeźdźców. - Dobry Boże, Lauren, ona jest z gołą głową i nieuczesana! Czy tak się pokaże hrabinie?

- Chyba tak. - Freja jechała co prawda po damsku, ale dosiadała konia pewnie jak mężczyzna. Lauren wbrew sobie poczuła podziw.

- Czy to piękność?

- Bynajmniej. - W pierwszej chwili Freja Bedwyn wydała się jej wczoraj wyjątkowo brzydka. - Ma wyzywającą, smagłą twarz, duży nos i czarne brwi, w całkiem innym kolorze niż włosy. A jednak... jest przystojna. - Nie, to jakaś nieokreślona charyzma, której ona, Lauren, nigdy nie nabędzie, choćby miała żyć milion lat.

- A pozostali, jak się domyślam, są jej braćmi. Czy naprawdę jadą do Alvesley? W takim razie wasze wczorajsze starania odniosły skutek.

- Sąsiedzi powinni żyć ze sobą w zgodzie.

Mogła sobie doskonale wyobrazić sobie Kita i Freję, jak skaczą ze śmiechem przez żywopłoty. Wspaniale do siebie pasują! Z pewnością nadal się kochają. Niewątpliwie Freja czuła się wczoraj bardzo zawiedziona, stąd jej zachowanie. Wkrótce się pocieszy, pomyślała, patrząc, jak jeźdźcy znikają za pagórkiem koło mostku. Gdy tylko skończy się lato, ich miłość ożyje na nowo, nawet bez pośrednictwa hrabiego i księcia. Na święta pewnie się pobiorą. Kit będzie szczęśliwy. Pojedna się z ojcem i bratem. Odzyska ukochaną.

Na święta ona będzie już w Bath.

Hrabia postanowił zabrać syna nie na łąki, jak wcześniej zamierzał, lecz na objazd posiadłości. Przez cały ranek rozprawiał, na pozór obojętnie, o zbiorach, bydło, płacach i tym podobnych sprawach, Niekiedy przystawali, żeby porozmawiać z farmerami. Kit widział, że ojciec czuje się nieswojo i nie umie przejść do tematów osobistych. Rozumiał go zresztą. Z nim było podobnie.

Przez dziesięć lat służył jako oficer w kawalerii i, rzecz jasna, musiał słuchać rozkazów. Mimo że w ostatnim roku mianowano go podpułkownikiem, nadal podlegał wyższym szarżom. Najczęściej jednak to właśnie on wydawał rozkazy i brał za nie odpowiedzialność, zwłaszcza na zwiadach, kiedy trzeba było błyskawicznie podejmować decyzje. Zdobył sobie uznanie, był odważny, bezwzględny, lecz również rzeczowy i godny zaufania. Mimo iż powierzano mu zadania, zdawałoby się, niewykonalne, zawsze potrafił im sprostać. Czuł, że umie sobie radzić w życiu. Tylko nie z rodziną, bo na tym polu poniósł całkowitą klęskę, poczawszy od Syda, który z uporem wtrącał się w jego sprawy. Najgorszy był ten ostatni rok w Londynie, kiedy poczynił sobie jak głupi smarkacz, a nie sławny podpułkownik Ravensberg. Zupełnie jakby chciał udowodnić dobremu towarzystwu swoją bezwartościowość, jakby czekał na wezwanie do Alvesley, gdzie ojciec i inni utwierdziliby się w swojej opinii. Wcześniej nigdy o tym nie myślał. Czy naprawdę jest aż tak niedojrzały?

- Czy Syd zawsze z tobą jeździ? - spytał nieoczekiwanie, kiedy wracali do domu.

-Zazwyczaj tak.

- Dziwi mnie, że on w ogóle może utrzymać się w siodle.

- Zawsze był uparty. Zaczął chodzić znacznie wcześniej, nim doktor mu pozwolił. Wiele razy spadał z konia. Twoją matkę kosztowało to wiele łez. A potem zaczął przesiadywać całymi dniami z Parkinem, ucząc się, jak zarządzać majątkiem. Kiedy pod koniec roku Parkin odszedł, Sydnam poprosił mnie, by mógł go zastąpić.

- Syd nie jest stworzony na rządcę.

- Sam tego chciał. Nie przyjmuje ode mnie oczywiście pieniędzy, ale wiem, że mówił z Bewcastle'em. Stara się o zatrudnienie w jednym z ich majątków. Zdaje się, że jesienią znajdzie okazję. Byłaby to płatna posada, choć Syd ma własne środki i nie musi zarabiać. Postanowił jednak być niezależny. Nie chce też stać ci na drodze.

Alvesley potrzebuje rządcy. Czemuż nie mógłby być nim Syd? Jeśli już koniecznie chce pracować? Przynajmniej byłby wśród swoich. Tylko że teraz wśród nich znajdował się Kit. To dlatego Syd pragnął odejść.

- Czemu nie pojechał dzisiaj z tobą?

- Rejestry wymagały uzupełnień - odpowiedział ojciec wymijająco.

Przejeżdżali właśnie koło domków z nowymi dachami. Hrabia pokazał mu, które zaczęły wiosną przeciekać. Zamienił też kilka żartobliwych słów z kobietą, która wyszła na podwórko. Nieopodal na trawie baraszkowało troje małych dzieci.

- Matka i ja chcemy dać na zapowiedzi w sobotę - rzekł nagle ojciec, gdy stamtąd odjechali. - Nasi krewni i panna Edgeworth mogliby tu stać jeszcze z miesiąc. Myślę, że ona nie będzie chciała brać ślubu w Newbury Abbey. Nie trzeba dłużej zwlekać. Podoba nam się twoja narzeczona. Prawdziwa dama! Cały kłopot z Freją, ale cóż, nie warto płakać nad rozlanym mlekiem. Co ty na to?

Kit słuchał go z mieszanymi uczuciami, zwłaszcza że ojciec raczej pytał, niż żądał. Czyżby to była gałązka oliwna, o której wczoraj wspominała Lauren?

-Nie chciałbym jej popędzać. Najpierw musi sobie przecież sprawić ślubny strój i zaprosić krewnych na wesele. Na przykład księżnę Portfrey, swoją ciotkę. Choć ona w przyszłym miesiącu będzie, jak się zdaje, rodziła. Zamierzamy pobrać się w zimie, może nawet na wiosnę.

- Ja tylko nie chcę, żeby matka i babka znów doznały rozczarowania.

Znów? Czy miał na myśli Hieronima i Freję? Na pewno! Choć od jego powrotu nikt nawet nie wspomniął o Hieronimie, więc i teraz ani on, ani ojciec nie wymieniają jego imienia. Jechali w milczeniu. Z nieszczerą życzliwością przywitani się z odźwiernym, który otworzył przed nimi bramę i, spojrzawszy na ciemne chmury, zaczął snuć przypuszczenia, czy aby ich lordowskie moście zdążą przed deszczem dotrzeć do stajni.

- Wolałbym nie wywierać nacisku na Lauren zbyt wczesnymi zapowiedziami - powtórzył Kit, kiedy wjechali między gęste drzewa. - Ze szłego roku doznała dotkliwego upokorzenia i rozczarowania. Chciałbym, żeby tym razem wszystko było bez zarzutu.

- Hm, hm. Przynosi ci to zaszczyt.

Do licha, on też jest tego zdania! Dziwne, ale za wszelką cenę chciał uczciwie potraktować Lauren i zrobić dla niej coś dobrego, jakby się spodziewał, że przyniesie mu to spokój i wybaczenie. Pomyślał jednak z gorczyzą, że najwyżej zapewni jej wolność. Tylko tyle,

Na ziemię spadły pierwsze ciężkie krople deszczu. Wkrótce miało lać jak z cebra.

- Lepiej się pospieszmy - ojciec zerknął na niebo i dodał: - To był bardzo przyjemny ranek, synu. A ona jest prawdziwą damą.

Kit zdawał sobie sprawę, że ów przyjemny ranek zawdzięczali zręcznym manewrom Lauren. Uśmiechnął się smutno, spiął konia i ruszył przez most w ślad za ojcem.

Goście zaczęli się zjeżdżać wraz z deszczem, wkrótce po lunchu. Lauren spędziła większą część popołudnia w holu, gdzie wraz z innymi witała ich i sama była wszystkim przedstawiana, usiłując zapamiętać nazwiska i rodzinne koneksje.

Nie było to łatwe, a nawet wręcz niemożliwe, lecz nie darmo przygotowywała się do roli hrabiny Kilbourne. Zdołała zapamiętać imię lady Irene Butler, niezamężnej ciotki hrabiego, bo była siwa, krucha i zgarbiona ze starości. Wicehrabia Hampton, brat owdowiałej hrabiny, czyli babki Kita, miał błyszczącą łysinę i śmiał się tubalnie, a pan Claude Willard, jego syn, podobny był do niego jak dwie krople wody. Żoną Claude'a okazała się Daphne Willard. Przywieźli ze sobą troje małych dzieci, dwóch synków i córeczkę, niesłychanie grzecznych, pewnie w nadziei, że dzięki temu pozostaną w gronie dorosłych. Prócz nich przybyła też cichutka i uśmiechnięta lady Marjorie Clifford, siostra hrabiego, i jej rumiany, wiecznie zaspapany małżonek, sir Melvin. Okularnik Barry był ich synem, a hoża Neli-synową. Ta ostatnia para miała troje maleńkich dzieci, ulokowanych w pokoju dziecinnym, po krótkim przywitaniu ze starą hrabiną, ich prababcią.

Po niedługiej przerwie przybyli dalsi goście i Lauren znów musiała wyteżać pamięć. Najpierw przyjechał pan Humphrey Pierce-James z żoną Edith, córką Catherine i zięciem, Lawrencem Vreemont. Oni również mieli dwoje małych dzieci. Jak się zdołała zorientować, był to siostrzeniec babki, syn jej zmarłej siostry. Ostatnimi przybyszami okazali się pan Clarence Butler, młodszy brat hrabiego, z żoną Honorią, ciotką Beatrice i zięciem, baronem Bornem; ten z kolei holował całe stadko nieżonatych i niezamężnych latorośli, od Fredericka, rówieśnika Kita, do ośmiolatka Benjamina. Doris, jedna z córek, miała narzeczonego, który oczywiście jej towarzyszył.

Lauren nie zdołała wszystkich zapamiętać, ale obiecała sobie, że za dzień czy dwa sobie z tym poradzi. Uśmiechnęła się z ulgą, kiedy było już po prezentacji i mogła pójść odświeżyć się przed herbatą. Goście okazali się niezwykle przyjacielscy. Jeśli nawet ktoś z nich wiedział o poprzednich zaręczynach z lady Freją, nie wspominał o tym słowem.

Nie zdołała spytać Kita, jak minął ranek, ale spędził go z ojcem, co było pomyślnym znakiem. Nie zastali już Frei i jej braci, lecz mimo to cała trójka przynajmniej przez kwadrans gawędziła z hrabiną, babką i ciotką Clarą, zapowiadając, że przyjadą na urodziny. O wizycie Lauren nie wspomiano.

Miała właśnie pójść do salonu, gdy kamerdyner dyskretnie zajrzał do holu z wiadomością, że nadjeżdża jeszcze jeden powóz.



- Och, chyba już ostatni - zwróciła się do męża hrabina, lecz posłała uśmiech Lauren. - Usiądź, mamó, byłaś na nogach przez cały wieczór.

Niee... chcę siedzieć... - odezwała się stara dama. - Panno... Edgeworth... niech mi... pani... poda ramię.

Zrobił to jednak Syd, nie Lauren. Powóz zahamował na podjeździe, a kamerdyner zbiegł po schodach z wielkim, czarnym parasolem. Dwóch lokajów otworzyło drzwi na oścież. Wionęło przez nie zimnem i wilgocią. Lauren przeszedł dreszcz, lecz zdobyła się na życzliwy uśmiech. Zraz przedstawiają kolejnemu krewniakowi Kita.

Kamerdyner złożył parasol i stanął z boku, a gość wszedł do holu, rozglądając się wyczekująco.

Lauren z radości i zaskoczenia zapomniała o dobrym wychowaniu i podbiegła do niego z wyciągniętymi ramionami.

-Dziaduniu!

- Lauren, kochanie ty moje!

Rzuciła mu się w objęcia, wdychając woń tabaki i skóry, które zawsze jej się z nim kojarzyły. Na próżno starała się powstrzymać łzy. Przyjechał! Przyjechał!

Nie wiedziałam... nie spodziewałam się... Czyj to był pomysł? Kto na niego wpadł?

- Ja - odezwał się Kit z uśmiechem. - Kiedy tylko rodzice spytali mnie, kogo z twoich krewnych należy zaprosić.

- Och, dziękuję! - uśmiechała się to do jednego, to do drugiego. -Dziękuję!

- Przedstaw mnie, Lauren. - Kit przypomniał jej o obowiązkach.

Przedstawiła dziadka wszystkim, obejmując ramieniem barona Galtona - jedyne krewnego, jakiego miała na świecie - przepelniona radością. Przyjechał na jej zaręczyny aż z Yorkshire. Tylko dla niej! Oczywiście z miłości! Kit zrobił jej wspaniałą niespodziankę!

Dopiero gdy wraz z nim odprowadziła dziadka do pokoju, przyszło jej na myśl coś bardzo niepokojącego, o czym zupełnie zapomniała.

Przecież to nie są prawdziwe zaręczyny.

Przez resztę dnia i przez cały następny dzień Lauren czuła, że byłaby absolutnie szczęśliwa, gdyby nie świadomość, że jest uwikłana w kłam-

stwo. Odpychała od siebie tę myśl, jak tylko mogła. Podjęła się jednak pewnych zobowiązań i było już za późno, żeby się wycofać. Będzie sobie do woli rozpamiętywała swoją winę, kiedy wszystko się skończy.

Rodzina Kita była zżyta i sympatyczna, gotowa przyjąć Lauren do swego grona i życzliwie traktować jej krewnych. Ciotka Clara spoufaliła się już z lady Clifford i panią Butler, ciotkami Kita, a także z panią Vreemont. Wicehrabia Hampton, który niegdyś znał barona Galtona, chętnie tę znajomość odnowił. Gwen od razu stała się ulubienicą licznych potomstwa barona Borna, szczególnie Fredericka i Rogera, którzy szybko zaczęli na wyścigi zabiegać o jej względy.

Lauren była faworytką wszystkich, po prostu dlatego, że, jak sądziła, takim faworytem był kiedyś Kit. Kłótnia sprzed trzech lat nie popsowała dobrych stosunków z licznymi ciotkami, wujami i kuzynami. Lauren znajdowała się prawie zawsze w centrum uwagi, co okazało się całkiem miłe. Lady Irene Butler życzliwie poklepywała ją po ramieniu i mówiła, że ślicznie wygląda. Ciotki i starsze kuzynki lubiły rozmawiać z nią o Londynie i o najnowszej modzie, wujowie łagodnie się z nią przekomarzali, a młodsze kuzynki wciąż pytały, u której krawcowej szyje sobie suknie, kto jej wybiera te przepiękne tkaniny i eleganckie fasony oraz tak harmonijnie zestawia kolory. I jak udaje się służebnej tak świetnie układać jej fryzurę. Chciały też wiedzieć, jak będzie wyglądała jej suknia ślubna. Młodszy kuzyni prawili jej komplementy, choć bywały one czasami ekstrawaganckie i niemądre. Mówili, że Kit jest szczęściarzem, a on skwapliwie przytakiwał, puszczając do niej oko. Młode matki pokazywały jej w pokoju dzieciennym swoje pociechy, sądząc, że lubi dzieci. Lauren raczej się ich bała, nie miała z nimi zbyt wiele do czynienia. Nauczyła się jednak wszystkich ich imion i było jej miło, kiedy pytały ją o coś, pokazywały swoje skarby lub chciały się z nią bawić.

Najwięcej względów starała się jednak okazywać najbliższej rodzinie Kita, bo przecież chodziło jej o to, żeby się z nią pogodził. Hrabia Redfield, jak jej się wydawało, był do niej nastawiony życzliwie. Nie unikali się już z Kitem, mimo że daleko im było do szczerej serdeczności. Hrabina chętnie przyjmowała jej pomoc. Niezależnie od uroczystości urodzinowych wszystkich tych licznych gości należało codziennie karmić, bawić, układać kwiaty w wazonach. Choć hrabina radziła sobie z tym znakomicie, z wdzięcznością wysłuchiwała jej zdania na temat różnych drobiazgów, a nawet pozwalała podsuwać sobie pewne pomysły. Coraz życzliwiej traktowała też starszego syna.

Lauren bardzo przywiązała się do babki Kita. Lubiała z nią spacerować, przesiadywać i słuchać opowieści starszej pani. Lewa dłoń staruszki była

sztynna, z palcami zgiętymi do wewnątrz, lecz nie całkiem sparaliżowana. Lauren rozcierała ją delikatnie, rozginając sztywne palce. Babka mówiła, że dobrze jej to robi, i obydwie uśmiechały się do siebie. Właśnie z jej powodu Lauren nękały największe wyrzuty sumienia. Czują, że babka szczerze odwzajemnia jej sympatię.

Nie udało jej się tylko zbliżyć do Sydnama ani sprawić, by przestał ignorować brata.

Nieczęsto widywała Kita, a raczej widziała go jeden raz, kiedy padało bez przerwy przez półtorej doby i wszyscy musieli siedzieć w domu. Nie trwało to jednak długo i wcale nie byli wtedy sami. Z powodu pogody o pływaniu nie było mowy. Nie wiedziała, jak się bez tego obejdzie, kiedy wszystko się skończy, ale desperacko odpychała od siebie podobne myśli.

Drugiego deszczowego wieczoru układano w salonie szarady. W zabawie brała udział większość obecnych, a pokój wypełniał gwar i śmiech. Dzieci przeciągały ją, jak mogły, i poszły do łóżka dość późno. Lauren gawędziła jeszcze z Gwen przez całą godzinę, co zresztą robiły dość często. Gdy znalazła się w swoim pokoju, zamiast położyć się do łóżka, zdmuchnęła tylko świecę i stanęła przy oknie. Deszcz przestał padać późnym wieczorem i niebo było bezchmurne.

Czy Kit śpi? Wiedziała, że nęka go bezsenność. Niejeden raz widziała, jak wychodził z domu, kiedy wszyscy już spali. Rano nie wyglądał jednak na niewyspanego, zawsze był pogodny i roześmiany. Wiedziała już, że to tylko maska. Było w nim coś, co starannie skrywał przed wszystkimi.

Zupełnie jakby przywabiała go myślami! Ukazał się na tarasie w stroju do konnej jazdy, a nie w stroju wieczorowym, który nosił niecałą godzinę wcześniej. Podszedł do skraju trawnika i stanął tam na lekko rozstawionych nogach, z rękami założonymi na plecy, wpatrzony w mrok. Może chciał być sam? Może lubił akurat tę porę, kiedy wszyscy śpią, a on ma wreszcie dla siebie godzinę samotności? A może wygoniła go z domu bezsenność i niespokojne myśli? Pewnie jest zmęczony, znękany, nieszczęśliwy, spragniony bratniej duszy, kogoś, kto by go wysłuchał lub milczał wraz z nim.

A może to jej trzeba czyjegoś towarzystwa?

Nie mogła przyłączyć się do niego, byłoby to bardzo niestosowne! Lecz Lauren czuła się śmiertelnie znużona wszystkim, co stosowne, co kładło nacisk na poprawność, a nie na spontaniczny odruch serca. Wprawdzie nie należy kierować się w życiu tylko sercem, ale zimne, bezwzględne nakazy przyzwoitości też z pewnością nie wystarczą.

Pospieszyła do małej ubieralni, nim zdążyła dokończyć tę myśl. Jeśli nie będzie sobie życzył jej obecności, to po prostu powie, żeby sobie

poszła. Ot, postoi przy nim przez chwilę, porozmawiają. Może potem łatwiej mu będzie zasnąć?

Z trudem zeszła w ciemności po schodach, bała się też, że wyszedł innym wyjściem, a ona zastanie drzwi zaryglowane i nie będzie mogła ich otworzyć. Jednak gdy tylko pociągnęła za wielką klamkę, otworzyły się bezszelestnie.

Tam, gdzie stał chwilę wcześniej, było pusto. Nie opłaciło mi się zuchwaltwo, pomyślała, owijając się ciasno szalem. I nagle go zobaczyła. Szedł przez trawnik w stronę drogi. Zawahała się przez chwilę, nim podażyła za nim.

-Kit.

Był już na drodze, niedaleko mostu. Lauren biegła po trawie, czuła wilgotne źdźbła na kostkach, moczyły skraj jej sukni.

Kit zatrzymał się nagle i odwrócił, mimo że wcale nie wołała głośno.

- Lauren?

- Widziałam cię przez okno. Zresztą nie pierwszy raz. Nie możesz zasnąć?

- A ty? - Nie wiedziała, czy jest zirytowany, czy tylko zaskoczony.

- Myślałam, że mogłabym ci dotrzymać towarzystwa. Żeby cię... jakoś wesprzeć.

- Czy ciebie także męczy bezsenność?

- Czasami. - Wcześniej jej nie znała. Dopiero rozpacz po niedoszłym ślubie pozbawiła ją snu, którego tak pragnęła, bo przynosił zapomnienie. Nękała ją też niewytłumaczalna tęsknota. W dzień zawsze umiała znaleźć sobie jakieś zajęcie, ale w nocy...

- Nie powinnaś mi towarzyszyć tam, dokąd idę.

- To znaczy gdzie?

- Do gajówki w lesie. W moim dorosłym życiu zbyt wiele czasu spędzałem samotnie i w dzikich okolicach. Cywilizowany dom, zwłaszcza pełen ludzi, przytłacza mnie. Duszę się. Odkąd tu wróciłem, zaniósłem do gajówki najpotrzebniejsze rzeczy i czasami chodzę tam w nocy. Mam tam spokój.

- Ach, więc chcesz być sam. W takim razie przepraszam. Nie odprowadzaj mnie. Nie musisz. Dobranoc. Zobaczymy się rano. Czy... czy popływamy?

Nie odpowiedział od razu. Czuła się zakłopotana i upokorzona. Zawróciła, ale zatrzymał ją jego głos.

- Chciałbym, żebyś mi towarzyszyła.

- Naprawdę? Nie mówisz tego z uprzejmości? Nie chciałabym ci się naprzykrzać.

-Naprawdę.

Szła obok niego, przytrzymując szal. Nie zaofiarował jej ramienia.

- Co przeszkadza ci zasnąć, Lauren?

- Nie wiem...

Zeszłoroczne wydarzenia?

- Nie jestem pewna.

- Ileż masek nosimy - westchnął. - Nikt, patrząc na piękną i dystyngowaną Lauren Edgeworth w sali balowej, nie mógłby przypuszczać, że ma złamane serce. Przykro mi, że tego nie wiedziałem ani się nie domyśliłem. Bardzo mi przykro, Lauren.

- To raczej moje życie zostało złamane, nie serce.

Spojrzał na nią zaintrygowany, ale nie mówili już więcej. Gdy weszli w las, wziął ją za rękę i sprowadził z drogi. Nie miała pojęcia, jak on zdoła trafić do gajówki w zupełnych ciemnościach, lecz udało mu się to. Otworzył drzwi kluczem, zostawił ją na progu, a sam zniknął w środku. Chwilę później słabe światło lampy pozwoliło jej wejść do małej, drewnianej chatki. Kit klęczał przed paleniskiem, usiłując rozpałić ogień.

Wnętrze okazało się zadziwiająco przytulne. Stało w nim niskie łóżko nakryte kocami, stary fotel na biegunach, stół zbity z nieheblowanych desek i jedno krzesło. Na stole leżały dwie książki i stała lampa. Prócz tych rzeczy i maty na podłodze w chatce nie było niczego innego.

- Usiądź w fotelu. - Kit wziął z łóżka koc i nakrył nim mebel z surowego drewna.

- Dziękuję. - Fotel zakołysał się lekko pod jej ciężarem.

Kit usiadł na skraju łóżka, opierając ręce na kolanach. Dłonie zwiślały mu między udami. Była to naturalna, wygodna poza. Lauren zagłębiła się w fotelu, przymykając oczy. Noc była zimna, lecz ogień sprawił, że było jej ciepło. Słuchała trzaskania polan.

- A dlaczego ty cierpisz na bezsenność? - spytała.

- To dobry środek na koszmary, choć nie zawsze świadomie stosowany.

- Koszmary? Jakież?

- Lepiej nie pytaj. - Ciągnął jednak dalej. - Zostałem żołnierzem, bo ojciec taką właśnie karierę zaplanował dla młodszego syna. Ale to był również mój własny wybór. Zawsze marzyłem, żeby zostać oficerem i wy różnić się na polu walki. Życie w wojsku odpowiadało mi. Potrafiłem sprostać obowiązkom. Kiedy trafiła mi się okazja zostania oficerem zwiadowczym, skorzystałem z niej. Nigdy tego nie żałowałem. Ciężko mi było wystąpić z wojska w zeszłym roku. Zupełnie jakbym tam zostawiał część siebie. A przecież...

Fotele skrzypiały. Nie był to przykry dźwięk. Brzmiał jak kołysanka.

- A przecież łączyło się to z zabijaniem. Nie umiem zliczyć, ilu ludzi zabiłem. Rzecz jasna, zabijanie na wojnie można rozmaicie uzasadniać. Albo ty zabijesz, albo zabiją ciebie. Wygodnie jest widzieć we wrogach dzikie bestie, które zasługują na śmierć. Żołnierz musi przezwyciężyć skrupuły i po prostu robić to, co trzeba. Tylko że w moich koszmarach widzę twarze zabitych. Nie, nie zabitych. Umierających. Zwykłych ludzi, którzy zostawili w domu matki, żony i ukochane. Ludzi z marzeniami, nadziejami, smutkami i sekretami. Takich, jak ja. W najgorszych moich koszmarach umierający ma twarz, którą codziennie widzę w lustrze.

- To dowodzi, że jesteś człowiekiem. Wojna byłaby czymś potwornym, gdyby niszczyła w ludziach wstręt do zabijania.

- Wyzute z uczuć monstrum zasnęłoby łatwiej.

Nigdy nie podejrzewała, że mężczyźni nękają wspomnienia wojennych okrucieństw. Zawsze myślała, że Anglicy walczą za prawo i sprawiedliwość, a więc nie mają wyrzutów sumienia.

- Ciesz się, że ty, matka, babka i wszystkie te dzieci nigdy nie staną się ofiarami wojny. Przynajmniej tyle.

Otworzyła oczy i odwróciła głowę w jego stronę. Chciała zmienić temat, złagodzić smutek, żeby mógł wrócić do domu i sypiać bez koszmarów.

- Dzieci są takie cudowne! Rzadko je widywałam, odkąd skończyło się moje własne dzieciństwo. Byłam taka szczęśliwa jako dziecko. A ty?

- Ja również. - Odwzajemnił jej uśmiech.

- Mamy więc coś wspólnego. Myślę, że rzadko tak bywa. Nieczęsto wracam myślami do dzieciństwa, ale to były cudowne lata. Cieszę się, że miałam Neville'a i Gwen za towarzyszy zabaw. Widywaliśmy też nieraz innych kuzynów.

Zaczęli opowiadać sobie różne historie. Po jakimś czasie jednak Lauren znów przytknęła oczy, a pauzy między opowieściami stawały się coraz dłuższe. Fotel kołysał się wolno i rytmicznie.

Tak, miała szczęśliwe dzieciństwo, lecz mogłoby być inne, gdyby matka i ojczym wrócili z podróży poślubnej i zabrali ją od przybranego brata i siostry. Przez większą część dzieciństwa tęskniła skrycie za matką, której twarzy nawet nie pamiętała.

Westchnęła głęboko.

Kit wciąż siedział na brzegu łóżka, choć z każdą chwilą czuł się coraz bardziej senny. Skrzywienie fotela ustało. Domyślił się, że Lauren zasnęła.

Przez ostatnie kilka lat nie wspominał dzieciństwa. Prawie wszystkie wspomnienia dotyczyły Hieronima i Syda, w żadnym nie brakło Bedwynów. Dziś jednak wrócił do nich i okazały się zaskakująco miłe, wolne od bólu i goryczy. Mimo wszystkiego, co zaszło trzy lata temu, były to szczęśliwe czasy.

Lauren westchnęła przez sen. Wydała mu się wzruszająca, tak inna niż na co dzień. Powinien obudzić ją i zabrać do domu, ale zniechęcała go już sama myśl o drodze powrotnej.

Zrobiła to świadomie, pomyślał, patrząc na nią. Pozwoliła mu mówić o jego koszmarach, ale bez ich rozpamiętywania. Zmieniła temat tak zrećnie, że nawet nie zauważył, kiedy ni stąd, ni zowąd zaczęli snuć wspomnienia o dzieciństwie. Jakie ogniwo łączyło je z jego słowami o wojnie i zabijaniu? Nie mógł sobie przypomnieć. Uspokoił się, a jego myśli stały się pogodniejsze. Teraz mógł zasnąć.

Ziewnął szeroko.

Jeśli jej nie zbudzi, rozboli ją szyja. Wstał i już wyciągał rękę, żeby ująć Lauren za ramię, lecz nagle ją opuścił. Spojrzał na łóżko i zdjął z niego dwa następne koce.

Nachylił się nad fotelem i wziął ją ostrożnie w ramiona. Ocknęła się oczywiście, ale była zbyt śpiąca, żeby się opierać. Położył ją na łóżku, tak daleko od brzegu, jak tylko się dało. Zdjął jej pantofelki, a potem swoje buty, i wyciągnął się przy niej, nakrywając kocem i siebie, i ją. Przez chwilę popatrzyła na niego sennie. Łóżko było wąskie, musieli więc leżeć przytuleni.

- Śpij - mruknął. Jej włosy pachniały delikatnie mydłem. Kit czuł miękkość i ciepło jej ciała. Bez trudu mógł jednak panować nad podnieceniem. Nie chciał, żeby się wzmogło. Ta chwila była zbyt cenna. Ona była zbyt cenna. Zdołała sobie zaskarbić uczucia matki i babki. Babka wprost ją uwielbiała. Zdobyła też szacunek ojca. A jego własne życie, odkąd przyjechała, stało się nieskończenie łżejsze. Łatwiej przychodziło mu teraz porozumienie z rodziną. Oczywiście oprócz Syda.

Nauczył ją większej swobody, kąpieli w jeziorze i włożenia na drzewa, uśmiechania się, a nawet serdecznego śmiechu. Nie tylko jednak z tych powodów stała mu się droga. Nareszcie mógł zajrzeć za lodowatą fasadę i dostrzegł tam kogoś, kto nie wymagał wiele dla siebie, lecz cicho i niestrudzenie starał się ulżyć innym.

Najbardziej zdumiewało go jednak to, że ta kobieta, mimo że brak jej było zmysłowego uroku, tak bardzo go pociąga.

Odwrócił głowę, przesunął twarzą po jej miękkich włosach i ucałował w czubek głowy.

Zasnął w chwili, gdy dopalała się lampa na stole i dogasały ostatnie iskry ognia.

W pierwszej chwili po przebudzeniu Lauren nie wiedziała, gdzie się znajduje. Potem jednak zdała sobie sprawę, że wciąż jeszcze są w gajówce, gdzie całą noc spędzili na rozmowie. Siedziała w fotelu na biegunach i ogarniała ją coraz większa senność, aż wreszcie zupełnie przestała go słuchać, a potem...

Zrozumiała, że leży na łóżku, nim jeszcze otworzyła oczy. Poduszka pod głową była ciepła i wygodna, a koło niej spoczywało coś, do czego równie miło było się przytulić, jedna zaś z jej nóg znajdowała się między...

Błyskawicznie dotarło do niej, że nie jest na tym łóżku sama. Leżała w objęciach Kita. Słyszała bicie jego serca. Czuła zapach wody kolońskiej. Przez moment zdrętwiała ze strachu. Mogła swobodnie poruszać palcami stóp, a więc była bosa. Gdy jednak ostrożnie dotknęła ręką biodra, z ulgą przekonała się, że nie jest rozebrana. Leżała od strony ściany. Nie mogła się więc poruszyć, nie budząc go jednocześnie.

Czy jednak tego chciała?

Co, na miłość boską, pomyślała sobie w domu? Co ona zrobiła?

Nic. Nic, czego mogłaby się wstydzić. Gawędziła po prostu z Kitem, co przyniosło im ulgę i pomogło spokojnie zasnąć. Ot, jeszcze jeden pamiętny szczegół niezapomnianego lata. Będzie miała co wspominać.

- Nie śpisz już? - spytał cicho.

Otworzyła oczy, podniosła głowę, która spoczywała między jego ramieniem a szyją, i spojrzała na niego w słabym świetle poranka przenikającym przez małe okienko.

- Czy usnęłam w środku twojego opowiadania?

- Podczas najciekawszego ze wszystkich. - Pokiwał głową, udając zasnuconego.

-Kit, czy ty...

- Nie - odparł stanowczo. - Tym razem okazałem się dżentelmenem. No, może prawie idealnym, bo powinienem był raczej zbudzić cię i zabrać do domu. Ale nie mogłem znieść myśli o powrocie.

- Dobrze spałeś?



- Jak nowo narodzone dzieciątko. - Uśmiechnął się. - Jestem ci bardzo wdzięczny za to, że mnie wysłuchałaś... i za to, że tu przyszałaś.

A więc chciał, żeby ktoś go wysłuchał. Nie był nieskomplikowanym, beztrioskim młodym mężczyzną, jak sądziła na początku.

- Czy zdołamy niepostrzeżenie wrócić do domu? - Czuła, że się czerwieni.

- Po co budzić podejrzania? Nie musimy się ukrywać. Pójdziemy sobie drogą, a każdy, kto nas zobaczy, pomyśli sobie, że wracamy z porannego spaceru.

Wysunął ramię spod jej szyi i usiadł na brzegu łóżka, plecami do niej. Oparł łokcie na kolanach i przejechał palcami po włosach. Mimo zmierzwionej czupryny wyglądał... tak pociągająco.

Lauren ledwie mogła uwierzyć, że spędziła noc w jednym łóżku z mężczyzną. Jeszcze bardziej zdumiewające było to, że nie czuła z tego powodu najmniejszych wyrzutów sumienia.

Muszę z tym skończyć, pomyślała, szukając pod łóżkiem pantofli, bo inaczej zamienię się w rozpustnicę.

Uśmiechnął się do niej i otworzył drzwi gajówki. Wyszła prosto w poranną świeżość, pełną ptasiego świergotu. Zapragnęła zachować w pamięci właśnie ten moment; inne wspomnienia mogły sobie spokojnie blaknąć. Tylko to, wiele lat później, na pewno zdoła zmusić ją do uśmiechu.

Kit wziął ją za rękę.

- To dla tych, którzy mogą nas przypadkiem zobaczyć. Nie ma nic bardziej wzruszającego niż widok narzeczonych trzymających się za ręce.

- Kit! - powiedziała z wyrzutem, ale nie cofnęła dłoni.

Przez cały następny dzień świeciło słońce, nie trzeba więc było siedzieć w domu. Lauren wyszła jednak dopiero po południu -jeśli nie liczyć powrotu z gajówki tuż po szóstej rano. Pomagała hrabinie przy planowaniu uroczystości urodzinowych, a także w codziennych obowiązkach. Na prośbę Neli Clifford spędziła całą godzinę w pokoju dzieciennym. No i gawędziła przez jakiś czas z dziadkiem, potem zaś z babką Kita i z lady Irene.

Kilkoro młodszych gości zamierzało wybrać się po południu na przejażdżkę i długo, a uparcie namawiali Lauren oraz Gwen, żeby zgodziły

się im towarzyszyć. Gwen okazała się nieugięta, lecz obiekcje Lauren zostały zlekceważone.

- Och, proszę, niech pani z nami pojedzie! - błagała Marianne Butler.

- Tak strasznie chcę zobaczyć pani strój do konnej jazdy! Założę się, że jest zachwycający!

- Damy się nie zakładają - przypomniał siostrze Crispin. Rzuciła mu wrogie spojrzenie, którego Lauren starała się nie zauważyć i które bardzo ją rozśmieszyło.

- Ależ oczywiście, że pani z nami pojedzie - rozstrzygnęła sprawę Daphne Willard. - Bo inaczej zanosi się na to, że będą z nami sami smar-kacze. Nie widzę wśród nich nikogo, z kim mogłabym zamienić choć słowo.

- A Kit uschnie z tęsknoty - dodał Frederick Butler - albo spadnie z konia.

- Musielibyśmy przynieść go tu na drzwiach - zawtórował mu Philip Willard.

- Naturalnie, że Lauren pojedzie. - Kit uśmiechnął się szeroko. - Obiecałem jej lato przyjemniejsze od wszystkich, jakie знаła. Jak można się dobrze zabawić, ani razu nie galopując?

Spojrzała na niego z wyrzutem, lecz Kit był już w swoim zwykłym, przekornym nastroju. Dobrze wiedziała, że nie potrafi przemówić mu do rozsądku. Az ją ścisnęło w dołku, kiedy przypomniła sobie, że spędziła całą noc przytulona do niego, słysząc jego równy, głęboki oddech w rzadkich chwilach przebudzeń. Spała z nim! Co bardziej skandalicznego zrobi jeszcze tego lata? A także przyjemniejszego, dodał cichy głosik. To była najwspanialsza noc w jej życiu.

- Cóż, z miłą chęcią - odparła niepewnie. - Ale nie galopem, Kit! Co za pomysł! To mnie trzeba by wtedy przynieść na drzwiach!

Kit mrugnął do niej i kuzynka była zmuszona uznać jej słowa za żart. Babka i ciotka Clara - obydwie obecne przy rozmowie - uśmiechnęły się z pobłażaniem.

Tempo nadane przez Claude'a Willarda, który już od samych stajni jechał na czele, było umiarkowane. Lauren znalazła się między Marianne - biadającą, że nie ma odpowiedniej figury, aby nosić coś tak bosko eleganckiego jak suknia Lauren - a Penelope Willard. Ta z kolei chciała koniecznie wiedzieć, prócz mnóstwa innych rzeczy, także i to, czy dżentelmeni londyńscy są przystojniejsi od tych z prowincji. Rola damy po dziwianej przez młodsze dziewczęta, które nigdy jeszcze nie otarły się o „wielki świat”, okazała się całkiem przyjemna.

Kit jechał nieco dalej, w grupie, gdzie najwyraźniej panował bardzo wesoły nastrój. Dość często spoglądał jednak za siebie, jakby chciał się upewnić, czy ona wciąż jeszcze utrzymuje się na końskim grzbiecie. Co raz bardziej zaczynała jej się podobać i sama jazda, i towarzystwo - dopóki w polu widzenia nie ukazali się Freja i Rannulf. Oni także jechali na koniach i przyłączyli się do nich po hałaśliwych powitaniach, najwyraźniej znając prawie wszystkich.

Nagle, nie wiadomo jak, Lauren znalazła się pomiędzy obydwójgiem Bedwynów.

- Pani naprawdę dobrze jeździ, miss Edgeworth - zauważyła Freja, zręcznie manewrując wspaniałym wierzchowcem, najwyraźniej przyzwyczajonym do szybkiego tempa.

- I co za eleganckie siodło - dodał Rannulf. Kpiące spojrzenie nadało jego słowom dziwnie dwuznaczny sens.

- Sądziłam, że zastanę panią w Alvesley, ślęczącą nad próbkami materiałów - odezwała się znów Freja.

- Doprawdy? - Ton Lauren był lodowaty. - To ciekawe!

- Zdradzasz swoją ignorancję, Frejo - upomniał ją Rannulf. - Nawet ja wiem, że to zajęcie dla małych dziewczynek. Miss Edgeworth z pewnością dawno już zarzuciła dzierganie koronek, szydełkowanie, szycie i inne pełne uroku ręczne robótki, którymi prawdziwe damy zabijają za zwyczaj czas.

- Och, pani to wszystko umie, miss Edgeworth? - spytała Freja. - Ależ mnie pani zawstydza. Ja zawsze uważałam robótki za okropne nudziarstwo.

- Na szczęście istnieje mnóstwo innych sposobów spędzania czasu i każdy może sobie wybrać coś zgodnego z własnymi upodobaniami.

- Hm, moje upodobania to pływanie w jeziorze i jazda na dobrym koniu. Hej, jeśli nadal będziemy jechali tak ospale, to cofniemy się do Alvesley! Pościga się pani ze mną? Tylko do szczytu tego pagórka! - Wskazała niedbale pejczem wzgórek o dobre parę kilometrów za pastwiskami. Lauren wydało się, że to gdzieś na skraju parku.

- Chyba nie. To tempo mi odpowiada.

- Zdradzę pani, miss Edgeworth - Rannulf zniżył głos - że powolna jazda bywa czasem bardziej satysfakcjonująca niż ostry galop prosto do celu... jeśli, oczywiście, dosiada się rumaka wartego takiego wysiłku...

Coś podobnego! Czyżby myślał o... Lauren nie było dane przełknąć tej szokującej aluzji, bo Freja podniosła głos, zwracając na siebie ogólną uwagę:

- Miss Edgeworth nie chce się ze mną ścigać! Czy inni także? Kit! Ty mi chyba nie odmówisz? Co prawda na tym koniu nie wyprzedziłbyś nawet muła!

- Aha, wyzwanie - mruknął Rannulf.

Kit uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Za parą minut będziesz musiała wypluć te słowa, Frejo. - Machnął ręką. - Jazda!

Kilkoro kuzynków wydało okrzyk radości, gdy Freja dźgnęła konia ostrogami i pochyłona nad siodłem, popędziła jak strzała ku wzgórkowi, a roześmiany Kit za nią.

- Zawsze była zuchwałą łobuzicą - zawołała Daphne Willard.

- Najczęściej równą Kitowi - dorzucił Rannulf.

Lauren patrzyła na ten wyścig, który, o czym dobrze wiedziała, miał ją upokorzyć, ale nie dbała o to. Wyglądali oboje właśnie tak, jak ich sobie wyobrażała, gdy siedziała z Gwen na pagórku. Prezentowali się wspaniale. I będą wspaniałą parą, gdy tylko lato się skończy, a oni pobiorą się bez żadnego już rodzinnego przymusu. Jednakowo zdolni do namiętności, jednakowo zuchwali. Ona, Lauren, się nie liczy. Nie ma żadnego prawa do Kita ani go sobie nie rości. Chce tylko zdobyć wolność również i dla siebie. Nie mogła jednak zapomnieć ostatniej nocy.

Freja i Kit siedzieli koło siebie na szczycie wzgórza. Konie pasły się nieopodal. Lauren napotkała spojrzenie Frei - wyzwające, triumfujące i złośliwe.

- Kto wygrał? - spytał Claude Willard, podjeżdżając do nich.

- Kit - odparła Freja. - Chciał pod koniec zwolnić i dać mi fory, ale zagroziłam, że raczej wpakuję mu kulkę między oczy, niż się zgodzę na taką łaskę.

- Co miało być nagrodą, Kit? - zapytał Rannulf.

- Niestety - Kit podniósł się z ziemi, wskoczył na konia i podjechał do Lauren - nie uzgodniłszy tego wcześniej. A teraz, jeśli wam to nie przeszkadza, chciałbym na osobności pomówić z narzeczoną.

Lauren bez słowa zawróciła konia, słysząc jeszcze za sobą, jak Daphne Willard rzuca pomysł, żeby wszyscy wspięli się na pagórek.

- Czy Freja i Rannulf ci dokuczali?

- Nie aż tak, żebym nie mogła wytrzymać.

- Nie wierzę. Czy dzisiejszego popołudnia dobrze się bawiłaś?

- Oczywiście. Lubię wszystkich twoich krewnych. Lubię ich towarzystwo.

- Ale ja przyrzekałem ci coś innego. Wjedziemy sobie powolutku przez tę furtkę na pastwisko, a potem zobaczymy.

- Kit! Co ty zamierzasz zrobić? Dobrze mi tak, jak jest!

Kit tylko zachichotał. W chwilę później zamknął za nimi furtkę i spojrzął przed siebie.

- Z tamtej strony jest druga, pewnie się domyślasz, choć zasłania ją wyniosłość terenu. Pościgamy się do drugiej furtki!

- Kit!

- Tym razem zawczasu umówimy się co do nagrody. W razie mojej wygranej - pocałuję cię. A w razie twojej?

- Nawet nie warto mówić. Przecież to ty wygrasz, jeśli będę na tyle niemądra, żeby się zgodzić. Nigdy nie ścigałam się na koniu. Nigdy nie jechałam galopem!

- Najwyższy czas, żebyś zaczęła. Będę rycerskim partnerem. Dam ci fory. Policzę powoli do dziesięciu...

- Kit!

- Ja nie chcę!

-Dwa.

- Będiesz się cieszył, kiedy skręcę kark?

- Trzy.

Ruszyła!

Wiedziała, że jej koń może pędzić przynajmniej dwa razy szybciej, lecz mimo że wcale go nie popędzała-poczuła się tak, jakby ziemia uciekała mu spod kopyt. Wiatr zdarł jej z głowy przypięty szpilkami kapelusik. Nigdy nie doznała czegoś tak niebezpiecznego i zarazem wspaniałego.

Nie widziała nigdzie Kita. Dopiero po chwili dotarło do niej, że jedzie tuż za jej lewym ramieniem. Czy chce ją złapać, gdyby spadła? Parsknęła śmiechem. Wtedy zobaczyła przed sobą drugą furtkę. Oczywiście była zamknięta. Zaśmiała się z rezygnacją. A wtedy usłyszała za sobą jego śmiech.

- Pokonam cię! - krzyknęła, gdy dzieliło ich od celu tylko kilka metrów. - Wygram z to...

Śmignęła naprzód, z twarzą przy końskiej szyi, nadal się śmiejąc. Kit jednak wyprzedził ją tak łatwo, jakby jej koń stanął w miejscu.

- Unieś głowę - zawołał - bo chcę odebrać swoją wygraną!

- Cóż za niesportowe zachowanie! Przez cały czas tylko udawałeś! To ja powinnam wpakować ci kulkę między oczy. Och, Kit, jakież to było wspaniałe!

- Zawsze uważałem - Kit jechał tak blisko, że kolanem dotykała jego nogi - twoje oczy za przepiękne, ale okazuje się, że mogą być jeszcze piękniejsze, kiedy błyszczą tak jak teraz.

- Co za bzdury - prychnęła, choć komplement ją ucieszył. A potem nagle poczuła jego wargi na swoich. Odbierał swoją nagrodę niespiesznie i rzetelnie, podczas gdy ona znowu wróciła myślą do poprzedniej

nocy. Z zaskoczeniem stwierdziła, że doznaje coraz większej przyjemności. A to niebezpieczne.

- Dość! - krzyknęła, kiedy skończył. - Dostałeś już nagrodę, ty wariacie! Spodziewała się głośniego wybuchu śmiechu, ale jemu tylko nieznacznie drgnęły usta.

- Wariat - mruknął. - Owszem, chyba zwariowałem.

To naprawdę zaczynało się robić bardzo niebezpieczne.

Rodzina zgromadzona wieczorem w salonie bawiła się świetnie. Dla starszych państwa rozstawiono dwa stoliki do kart, młodszy grali na pianoforte, inni zaś albo słuchali, stojąc wokół nich, albo żartowali. Jeszcze inni popijali herbatę, wymieniając rodzinne nowinki i ploteczki.

Babka Kita, która zasiadła w fotelu przy kominku, okazała się prawdziwą duszą towarzystwa, choć ubolewała szczerze, że już nie może grać w karty. Lauren rozcierała jej dłoń, jak robiła to każdego dnia. Stara dama nazwała ją, nie po raz pierwszy zresztą, uroczą dzieciną.

- Jakież ze mnie dziecko, madame. Mam dwadzieścia sześć lat.

- W samej rzeczy, babciu, jest przeurocza - odezwał się stojący koło kominka Kit. - Najzupełniej się z tobą zgadzam, ale co do drugiego punktu - nie. Cóż ja bym począł z żoną-dzieckiem?

Babka zaśmiała się pod nosem. Wiedział, że bardzo przywiązała się do Lauren.

Baron Galton siedział przy kartach. Partnerowała mu hrabina, a ciotka Clara i wuj Melvin grali przeciw nim. Gwen gawędziła z Sydnammem na ławeczce wykuszowego okna, gdzie zwykle siadywał.

Kit zacierał ręce z zadowolenia. Rodzina Lauren znakomicie pasowała do jego rodziny. Na szczęście nikogo z nich nie było zeszłego roku w Londynie, nie mogli więc znać fatalnej opinii, jaką sobie tam zdobył. Uśmiechnął się na wspomnienie rozmowy z baronem Galtonem. Dziadek Lauren znacznie mniej nękał go pytaniami o służbę w wojsku i plany na przyszłość niż przedtem książe Portfrey. Kit, dość nieoczekiwanie dla siebie samego, poprosił go oficjalnie o rękę wnuczki. Baron Galton w sposób równie oficjalny wyraził zgodę.

Tak, byłaby dla niego idealną żoną i idealną hrabiną. Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że odpowiadałaby mu również i pod innym względem. Nie dbał o namiętność. W najlepszym razie trwa przecież

nie dłużej niż jakieś dwa tygodnie, a w najgorszym tylko przysparza do-  
tkliwej udręki. Wystarczy mu, że spędzi z nią resztę życia. Żeby tylko  
zdołał ją przekonać...

Te rozmyślenia przerwał głos Marianne. Koniecznie, ale to koniecznie  
powinni wszyscy zatańczyć, oznajmiła głośno z rękami skrzyżowanymi  
na piersiach i z nadzieją spojrziała na jego matkę. Młodszy kuzyni, zebrani  
wokół pianoforte, poparli ją gorąco.

- Wspaniały pomysł. Jak można było dotąd nie pomyśleć o tańcach?  
Nie musimy chyba czekać do urodzinowego balu. Zaraz zwiniemy dywan!

Odpowiedzią był głośny pomruk zadowolenia. Babka skinęła mu życ-  
liwie głową, a Marianne rzuciła się na szyję matce z prośbą, by im zagrała.

Ośmioro kuzynków zatańczyło na początek z wawą gigę przy wtórze  
śmiechów i oklasków. Kit podał rękę Lauren i puścił oko do babki.

- Zatańcz ze mną, Lauren, pokażemy coś niecoś tym żółtodziobom.

Dotychczas tańczyła z nim tylko walca. Teraz okazało się, że Kit dosko-  
nale radzi sobie również z kontredansem. Tańczyli w dwóch szeregach,  
ona wśród kobiet, on wśród mężczyzn. Każda para kolejno zamieniała się  
miejscami, obracając się w koło. A gdy wreszcie sformowali łuk ze wznie-  
sionych w górę rąk, tak że każdy z tancerzy pod nim przebiegał, Kit spo-  
strzegł, że w salonie poniechano gry w karty, ustały rozmowy. Wszyscy  
patrzyli nie tyle na tańczących, co na niego i Lauren. Na Kita i jego piękną  
przyszłą żonę. Doprawdy, musi ją odwieść od zerwania narzeczeństwa!

Znaleźli się właśnie na samym końcu szeregu, tuż przy oknach, gdy  
taniec się skończył. Młody Crispin Butler, świeżo upieczony absolwent  
Oksfordu, który pozował na doświadczonego światowca, poprosił, żeby  
matka zagrała walca, a tancerze szybko wybrali sobie nowych partnerów.

- Panno Edgeworth... - Sir Jeremy Brightman, narzeczony Doris, ujął  
jej dłoń.

- Lady Muir... - Kit skłonił się przed kuzynką Lauren, która wciąż  
siedziała przy oknie. Zbyt późno przypomniał sobie, że Gwen utyka, i, za-  
kłopotany, miał tylko nadzieję, że jej nie uraził. Gwen jednak wstała z  
uśmiechem i podała mu rękę.

A wtedy poderwała się kuzynka Catherine, kipiąca energią.

- Sydnacie - rzuciła, biorąc jego jedyną rękę w obydwie swoje dłonie  
- proszę, zatańcz ze mną. Chyba nie chcesz siedzieć tutaj przez cały  
wieczór?

Kit zdrętwiał. Catherine nigdy nie słynęła z taktu ani wrażliwości, lecz  
tym razem popełniła wyjątkową gafę.

- Wolałbym nie, Catherine. Poproś do tańca Lawrence'a, niech się tro-  
chę rozrusza.

- Z moim mężem mogę tańczyć przez cały rok. Tym razem chciałam z tobą. Zawsze byłeś świetnym tancerzem, dobrze to pamiętam!

- Catherine! - Kit powiedział to ostrzej, niż zamierzał, zwracając się do niej tonem, jakiego mógłby raczej użyć wobec nieposłusznego szeregowca w swoim pułku. - Czy nie wystarczy ci uprzejma odmowa? Syd nie może tańczyć. On....

- Zostaw mnie, z łaski swojej. - Sydnam podniósł się z miejsca z pobladłą twarzą, z trudem tłumiał wściekłość. Skłonił się przed kuzynką, ignorując brata. - Dziękuję, Catherine. Namysliłem się. Chyba potrafię sobie poradzić na tyle dobrze, żeby nie wpaść na meble lub innych kuzynów.

W salonie na chwilę zaległo przykre milczenie, potem jednak znów rozległ się szmer rozmów, jakby wszyscy udawali, że nie zauważyli kłopotliwego incydentu.

Kit przymknął na chwilę oczy. W głowie mu huczało i wirowało.

Chciał pomóc bratu, uchronić go przed ośmieszeniem, a tymczasem ta pomoc została bezwzględnie odrzucona. Znowu! Nie potrafił się prze-móc i stanąć twarzą do salonu, tym bardziej zaś zatańczyć z lady Muir.

- Proszę mi wybaczyć, madame - rzekł, skłaniając się przed Gwen, po czym odwrócił się i wyszedł, nie patrząc na nikogo.

Zaczął wchodzić po schodach, choć nie wiedział, dokąd się udać. Może najlepiej będzie ukryć się we własnym pokoju do końca wieczoru? Był już prawie na piętrze, gdy zatrzymał go jej głos.

- Kit.

Odwrócił się i spojrzał w dół. Stała, opierając rękę o balustradę, z jedną nogą na pierwszym stopniu. Czuł się tak rozżalony, przygnębiony i ponizony, jakby nagle utracił wszystko, co było mu bliskie i drogie. W pierwszym odruchu chciał powiedzieć, żeby wracała do salonu. Nie miał ochoty na jej towarzystwo, lecz uświadomił sobie, że nie chce również być sam. Nie zniósłby teraz samotności.

- Przyjdź tu do mnie.

Patrzył na nią, póki nie dotarła do połowy schodów. Wyjął z kinkietu świecę. Już wiedział, dokąd ją zabierze. Nie czekał, aż się z nim zrówna, minął sypialnię, zmierzając ku zachodniemu skrzydłu z rodzinną galerią portretów.



Drzwi były zamknięte na klucz, ale klucz leżał w dobrze mu znanym miejscu, za wielką marmurową urną. Sięgnął tam, otworzył galerię, puścił Lauren przodem i zamknął za sobą drzwi.

Świeca rzucała niesamowite cienie na posadzkę i ściany. Nie było jednak potrzeby oświetlać całej galerii. Gdzieś daleko zawodził wiatr, deszcz bębnił o szyby. Lauren miała na ramionach tylko cienki kaszmirowy szal, a w galerii panował przejmujący chłód. Kit przeszedł wzdłuż sali, gdzie ledwo widoczni w mroku przodkowie spoglądali w milczeniu ze swoich ciężkich, bogato zdobionych ram. Lauren kroczyła za nim. Żadne nie odezwało się ani słowem, póki nie dotarli do wielkiego, marmurowego kominka. Po bokach stały obszerne, kryte aksamitem sofy z niskimi oparciami.

Na palenisku ćmił się słaby ogień. Kit ukląkł i dołożył drewna, a potem przytwierdził świecę do gzymsu kominka. Stał, wpatrzony w płomienie, słuchając trzaskania drewna. Zaczęło się robić cieplej.

Wspominał poprzednią noc. Okoliczności były podobne, ale nastrój inny. Tym razem nie oddali się miłym wspomnieniom. Teraz stanął oko w oko ze swoimi najgorszymi koszmarami. Przez całe długie lata nikomu o nich nie mówił.

Lauren usiadła na jednej z sof. Nie próbowała z nim rozmawiać, nie spodziewał się tego zresztą. Chciał, żeby go wysłuchała, chciał zmusić ją do wysłuchania tego, z czego musiał się komuś zwierzyć i co skrywał za długo. Chyba postradałby zmysły, gdyby jej nie powiedział. Odsuwał od siebie myśl, że nie są to sprawy, o których powinno się rozmawiać z damą.

- To ja podsunąłem Sydowi myśl o wstąpieniu do wojska - zaczął. - Przyjechałem do Anglii w służbowych sprawach i ledwie zdołałem wyrwać się na tydzień do domu. Wytknąłem mu żartem zniewieściałość i bezczynność. Powiedziałem, że wojsko zrobi z niego mężczyznę. Nie mówiłem poważnie. On o tym wiedział. Byłem ogromnie do niego przywiązany, a co gorsza, on do mnie również. Posiałem jednak tę myśl w jego głowie. Zaczął prosić ojca, w tajemnicy przede mną, żeby mu kupił patent. Początkowo protestowałem. Mówiłem, żeby nie był idiotą, że może robić ważniejsze rzeczy niż walka z Francuzami. Kiedy jednak zrozumiałem, jak się zawiązał, zmieniłem zdanie. Matka błagała mnie, żebym mu wyperswadował ten zamiar, lecz odparłem, że Syd sam musi zdecydować i że nie będę się wtrącał, choć bez trudu mogłem zrobić to, o co mnie prosiła. Na pewno by mnie usłuchał.

Płomienie sięgnęły największego polana. Palenisko rozgrzewało się coraz bardziej.

- Byłem dobrym oficerem zwiadu. To niebezpieczna praca i trzeba ją wykonywać w pojedynkę. Jestem jednak silny i inteligentny, lubię ryzyko. W wywiadzie nie ma miejsca na strach, wahanie, litość. Spoczywała na mnie odpowiedzialność za życie wielu ludzi. Liczył się tylko honor i obowiązek. Nigdy jednak nie spodziewałem się, że będę musiał wybrać między honorem a miłością. Przecież nie może być między nimi sprzeczności! Nie da się ich rozdzielić! Co ty byś zrobiła? Co byś wtedy wybrała?

Nie oczekiwał odpowiedzi, mimo że zamilkł na chwilę i wpatrzył się w ogień. Niemał zapomniał, że ktoś go słucha.

- Syd przekonał pułkownika Granta, żeby mógł mi towarzyszyć podczas jednego z zadań. - Urwał. Nie chciał i nie mógł mówić dalej, ale nie mógł też zamilknąć. Pochylił głowę i zamknął oczy. - Nie wiem, jak tego dokonał, lecz postawił na swoim. Wściekałem się na obydwoh i przegrałem. Grant okazał się, jak zwykle, nieugięty, a Syd, jakby nigdy nic, poszedł przygotować się do drogi. Zadanie miało dwa słabe punkty, a właściwie trzy, zważywszy, że miałem teraz na karku brata. Po pierwsze, musieliśmy je wykonać w cywilnych ubraniach, co zdarzało się rzadko. Robiłem tak przedtem ledwie ze dwa czy trzy razy. Po drugie, wiozłem ze sobą papiery, a zazwyczaj nie ma się przy sobie żadnych dokumentów. Gdyby wpadły w ręce Francuzów... Nie wolno mi było do tego dopuścić. Już drugiego dnia otoczyli nas w portugalskich górach francuscy zwiadowcy.

Oparł czoło na zaciśniętej pięści. Serce łomotało mu tak głośno, że niemał rozsadzało bębenki w uszach.

- Mieliliśmy tylko jedną, choć nikłą szansę. Właśnie Syd ją dostrzegł. Gdyby jeden z nas świadomie dał się złapać, drugi mógłby uciec. Jako starszy rangą, musiałem rozstrzygnąć, który z nas ma zostać jeńcem, a który pojedzie dalej z papierami. Syd nie miał doświadczenia. Nawet gdyby zdołał się przedrzeć, nie wykonałby należycie zadania. Honor nakazywał mi, żebym to ja wy dostał się z okrażenia. Miłość - żebym wybrał mniej okrutne rozwiązanie. Które ty byś wybrała, Lauren?

- Kit - powiedziała cicho. - Och, Kit, mój drogi...

- Wybrałem honor. - Tak mocno przycisnął pięść do czoła, że poczuł ból. - O Boże, wybrałem ucieczkę, a mojemu bratu przeznaczyłem rolę kozła ofiarnego.

Z wysokiej górskiej przełęczy widział, jak go pojmano. Odjechał i wypełnił zadanie. Wyróżniono go potem za to, wymieniono w raportach, uznano za nieustraszonego bohatera. Co za ironia losu!

- Przecież to była wojna, Kit.

- Wojna to gra, podła gra. Jeśli brytyjski oficer dostanie się do niewoli w mundurze, potraktują go z szacunkiem należnym jeńcom. Jeśli go jednak

nie nosi, wtedy dozna całego okrucieństwa, z jakim Francuzi i hiszpańscy czy portugalscy partyzanci traktują Anglika. Wiedziałem o tym, nim podjąłem decyzję. Tego samego dnia spotkałem oddział partyzantów. Mogłem ich namówić, żeby odbili Syda. Było ich więcej niż Francuzów. Tylko że ja ich potrzebowałem. I to wszystkich. Do mojego przekłętego zadania. Upłynęły dwa tygodnie, nim go uwolniłem. Nie spodziewałem się, że znajdę go żywego. Owszem, żył, ale jego życie wisiało na włosku. Och, gdyby wspomnienia składały się z samych obrazów, można by po prostu zacisnąć powieki. Tylko że są w nich również dźwięki i zapachy. Kto by pomyślał, że w koszmarach można czuć smród przypalanego ciała?

- Zaczęli od jego prawego boku. To były wyrafinowane tortury. Objęły ciało aż do prawego kolana, nim ich dopadliśmy. Nasz chirurg zdołał uratować mu nogę, ale ramię trzeba było amputować natychmiast po przywiezieniu go do kwatery. Co to była za podróż! Niczego im nie zdradził - ani nazwisk, ani celu misji. Tylko swoją rangę i regiment. Powtarzał to ciągle, dniem i nocą, nawet gdy go odbiliśmy. Nie zdołali go złamać, mogli tylko nękać jego ciało. Oczywiście gdyby się załamał i powiedział im to, co chcieli usłyszeć, zagwarantowałyby mu to łaskę szybkiej śmierci.

Słyszał jej przyspieszony oddech, milczała.

- Poświęciłem mojego brata dla honoru, a potem zgarnąłem całą chwałę. Widzisz, zaprawiano mnie do tego, żeby mieć serce z kamienia, żeby być bezlitosnym oportunistą i egoistą. Poświęciłem brata, a potem przywiozłem go do domu. Okaleczyłem tym samym i resztę rodziny. Podle postąpiłem tamtego lata, Lauren. Bezwstydnie. Dobrze zrobiłaś, nie wiążąc się ze mną na zawsze. Nie jestem kimś odpowiednim dla ciebie. Okaleczyłem siebie samego w zamian za sławę bohatera. I nic mi nie zostało. Nic, prócz honoru.

- Ale on żyje. - Ach, ta rozumna, rzeczowa Lauren! - Kit, przecież on żyje.

- Nie, tylko wegetuje. On nie żyje, Lauren, i nigdy już żyć nie będzie. Został ojcowskim rządcą, niech to licha! I zamierza przyjąć płatną posadę w jednym z majątków Bedwynów. Nie możesz zrozumieć całego okrucieństwa jego losu. Sydnam był artystą. Jego pejzaże to najbardziej zadziwiające obrazy, jakie widziałem. Rzemiosło, kolor, atmosfera, detale... Zwykły śmiertelnik, taki jak ja, nie potrafi tego opisać. Te płótna miały duszę. Tchnęły czymś, co nawet mnie wydawało się ostateczną prawdą. Był człowiekiem łagodnym, marzycielem, wizjonerem, a... a teraz odsiaduje dożywotni wyrok w więzieniu skaleczonego ciała i chce być rządcą!

- Nie możesz tak się zadrećzać. To była wojna. Poskapiłeś słusznie. Spełniłeś obowiązek. Musiałeś tak postąpić.

- Kiedy widzę jego kalectwo i blizny, kiedy mój łagodny Syd zamyka się w sobie, odrzucając moje współczucie, jakże mogę uwierzyć, że postąpiłem słusznie?

-Nie wszystko można łatwo wytłumaczyć. Czasem trzeba wybrać jedną z dwóch dróg, które wydają się jednakowo złe.

Coś w głębi niego mówiło mu z absolutną pewnością, że gdyby jeszcze raz musiał dokonać wyboru, obrałby tę samą drogę. I cierpiał potem takie same straszliwe męki.

- *Nie mógłbym, miła, kochać cię tak mocno, gdybym mocniej nie kochał honoru.* Wiesz, kto to napisał?

- Chyba Richard Lovelace \*...

-Nie wierz temu. To łgarstwo. Nic nie jest ważniejsze od miłości.

- Gdybyś wybrał drugie rozwiązanie i setki, a może tysiące ludzi ucierpiało z tej przyczyny, nigdy byś sobie nie wybaczył.

Zaśmiał się cicho.

- Nie byłoby takiej potrzeby, bo już bym wtedy nie żył.

- Spełniłeś obowiązek. Nic innego nie mogłeś zrobić, Kit.

Nadal miał zamknięte oczy i czoło wsparte na pięści. Pozwolił, żeby te słowa pociechy nim owładnęły. Przynajmniej na chwilę.



Przez następne kilka minut Lauren była bliska zemdenia. Zawsze starała się unikać wszystkiego, co dotyczy przemocy, w przeświadczeniu, że damy nie powinny stykać się z brudami życia. Nie było to zbyt trudne, bo wielu mężczyzn żywiło podobne przekonania. Przypomniało się jej, jak Lily, niedługo po przybyciu do Newbury, rozprawiała o wojnie ze swobodą godną, nie przymierzając, córki sierżanta piechoty. Prawda, że wychowała się wśród żołnierzy w Indiach, a potem była na Półwyspie, lecz nękana skrycie zazdrością Lauren usiłowała oszukać swoje sumienie, mówiąc nowej hrabinie Kilbourne, czego się będzie od niej oczekiwać. Pamiętała, jak próbowała wpoić jej zasadę, że dama nigdy nie mówi o wojnie, a nawet nie wypada jej słuchać rozmów na ten temat. Jak pewna była wtedy swojej racji. Prawdziwa dama. Nudna, afektowana dama!

*Richard Lovelace (1617-1658) - poeta angielski, szlachcic, autor liryków miłosnych.*

Teraz jednak nie mogła odpędzić okropnych obrazów tortur, choć Kit wcale nie opowiadał o nich szczegółowo. Ani widoku wojskowego chirurga amputującego ramię Sydnama. Niemal czuła woń krwi. Nie próbowała zmieniać tematu, co tak dobrze udało jej się poprzedniej nocy. Dziś było inaczej. Incydent w salonie ujawnił wszystko, co Kit pragnął ukryć. Przerwanie mu teraz byłoby niewybaczalnym okrucieństwem. Siedziała więc w milczeniu na obitej aksamitem sofie, skubiąc rąbek szala. Nie miało znaczenia, że jest subtelną, dobrze ułożoną damą. Chłoneła każde jego słowo. Nie kuliała się ze strachu. Wiedziała, czym jest tłumienie najboleśniejszych doznań, z których nie można się zwierzyć nawet najbliższej przyjaciółce. Wiedziała dużo o bólu, o samotności, o rozpaczy. Pewnie dlatego wybrał ją na powiernicę, nawet jeśli nie zrobił tego świadomie. Może rozpoznał w niej kogoś, kto cierpiał tak jak on. Kiedy wyczuła, że nadszedł odpowiedni moment, wstała, objęła go bez słowa i przytuliła policzek do jego ramienia. Kit odwrócił się, przyciągając ją do siebie. Słyszała bicie jego serca. Gdy jego usta odnalazły jej wargi, były miękkie, lecz uparte. Przesunął rękę na jej pośladki i przycisnął ją do swoich lędźwi, nie pozostawiając wątpliwości co do natury jego pragnień. Czuła osobliwe rozdwojenie: jedna jej część nadal była panną Lauren Edgeworth, damą, analizującą wszystko z dystansu i na zimno. Ta część strofowała ją bezlitośnie, przypominając o nieuchronnych następstwach tak niestosownego zachowania. Druga zaś, o której istnieniu do niedawna nie wiedziała, ta, która nagle objawiła się w Vauxhall, a może jeszcze wcześniej, w Hyde Parku, znajdowała się teraz w jego objęciach i wiedziała, że jest kobietą, że tak wiele ma mu do zaoferowania. A także, że może robić, co zechce. Dokonywać wyborów. Do niedawna jeszcze, nie, aż do tej chwili, wybory te nigdy nie były trudne. Zawsze wiedziała, co jest właściwe, a co nie. Nigdy jednak nie poznała reguł serca. Honor i miłość były dla niej przeciwieństwami, podobnie jak dla niego. Lecz tym razem to miłość mogła, i powinna była, przeważać. Wybrała miłość. Zrobiła to już w Vauxhall. Odnalazła w sobie kobietę. Czuła jego usta na szyi, na ramionach, na piersiach. Miała cienką muślinową suknię, zsuwając ją z jej ramion, odsłaniając piersi. Nie broniła się, choć blask ognia i światło świecy wydobywały z mroku jej nagość. Jest kobietą, a on jej pragnie. Powinna mu się więc oddać. Ona też czegoś pragnie: być kobietą.

Wzdrygnęła się trochę ze strachu, a trochę z podniecenia, gdy jego usta przywarły do jej piersi. Delikatnie położyła dłoń na jego głowie i przytuliła policzek do jasnych, miękkich włosów.

- Powstrzymaj mnie - odezwał się ochryplym głosem. - Na miłość boską, Lauren, powstrzymaj mnie.

-Nie. - Ujęła jego twarz w obie dłonie i spojrzała mu w oczy, łagodnie przesuując palcami po włosach. - Dokonałam wyboru, Kit. Chcę tego.

Dawała i sama była darem. On także był darem i dawał. W chwilę później położył ją na aksamitnej sofie. Wyciągnęła do niego rękę. Włosy miała potargane, policzki zarumienione i była niewiarygodnie wprost piękna.

Lauren Edgeworth, ta powściągliwa, opanowana dama gdzieś znikła, ta druga zaś wiedziała, że nie chodzi o ślepą namiętność, lecz o coś pierwotnego i głębszego. Coś, czego, była tego absolutnie pewna, nigdy nie będzie żałowała.

Ukląkł przy sofie, pokrywając jej twarz delikatnymi pocałunkami. Lauren przymknęła oczy i oddychała powoli. Wiedziała, co dzieje się między mężczyzną i kobietą. Ciotka Clara wyjaśniła jej to przed ślubem z Neville'em. Czasami usiłowała to sobie wyobrazić, choć dużo częściej pragnęła nie wyobrażać tego sobie wcale. Zawsze myślała, że musi to być coś żenującego, wstrętnego, o czysto fizycznym charakterze, całkowicie wyzutego z uczuć, a nawet z namacalnych wrażeń, prócz upokarzającego wtargnięcia w jej ciało.

Nigdy nie podejrzewała, że będzie to głębokie pragnienie zespolenia. Potrzeba dawania i brania. Czy tym właśnie jest namiętność?

- Lauren. Jeszcze nie jest za późno, żebyśmy mogli przestać.

- Nie przestawaj. - Nie otwierała oczu. - Kit...

Zdjął surdut i kamizelkę, a koszula przyłgnęła ciepło i jedwabście do jej piersi, jak spodnie do jej ud, gdy skłonił ją łagodnie, by rozsunęła nogi. Oparła dłonie na jego ramionach, starając sienie okazywać strachu ani bólu. Mówiono jej przecież, że to będzie bolało. Poczwała gorąco, lecz trwało to tylko chwilę.

- Lauren - wyszeptał - najmilsza, zraniłem cię?

-Nie, najdroższy...

Powinna leżeć spokojnie, jak radziła jej ciotka Clara, póki mąż nie skończy. Jej mąż. Czy to właśnie jest koniec?

Wycofał się, a ona poczuła żal. Czyżby było po wszystkim? Już? Czy będzie przeżywała to wciąż od nowa we wspomnieniach i snach? Po chwili jednak znów zaczął napierać. Przyjęła to z ulgą. Pragnęła, by to się nigdy skończyło.

Ach, teraz skończył.

Ale ona chyba nie.

Czy kobiety w ogóle kończą? Czy w ogóle zaczynają? Nie żałowała jednak. Nigdy nie będzie żałowała. Nie pozwoli swojej drugiej połowie karcie się przez resztę życia. To była jedna z najwspanialszych rzeczy, jakie przeżyła. Nie - najwspanialsza ze wszystkich.

Myślała, że zasnął na kilka minut. Przesunęła palcami po jego włosach i obróciła głowę, żeby spojrzeć w ogień, który strzelał snopami iskier, w miarę jak dogasały polana. Słuchała bębnienia deszczu o szyby.

- Hm... - mruknął po chwili, gdy uniósł głowę i spojrzał jej w oczy. - Chyba nie muszę przeproszać, prawda, Lauren? Przecież cię nie zmuszałem do...

Położyła mu dłoń na ustach.

- Dobrze wiesz, że nie. Nie będziesz miał mnie na sumieniu.

Uśmiechnął się sennie.

- Powinienem dziękować ci za tak cenny dar. Czy bardzo cię bolało? Słyszałem, że za pierwszym razem tak bywa.

-Nie za bardzo.

Wstał i doprowadzał do porządku ubranie, stojąc tyłem do niej. Nie odwracając się, podał jej chustkę.

Zastanawiała się właśnie, jak sobie poradzi z krwią, którą dopiero teraz dostrzegła. Lecz nawet w tej chwili, choć ręka jej drżała, nie miała świadomości tego, co się stało. Ogarnęła się i usiadła na skraju sofy, opanowana jak zawsze, mnąc zabrudzoną chustkę w dłoni.

- No cóż - odezwał się Kit - powinniśmy chyba ustalić datę ślubu, nie uważasz?

## 46

Deszcz przestał padać jeszcze w nocy, lecz dopiero późnym rankiem zaświeciło słońce, osuszając trawę i zapowiadając upalne, letnie popołudnie.

Kit zaproponował, żeby rozegrać partię krykieta na rozległym trawniku przed dworem. Początkowo grać miały tylko dzieci, ale cała młodzież, a nawet kilku dorosłych dżentelmenów, powitali pomysł z takim entuzjazmem, że liczba graczy szybko wzrosła. Prawie wszyscy inni, z wyjątkiem

babki, lady Irene i barona Galtona, który uciął sobie popołudniową drzemkę, zgodzili się odegrać ważną rolę widzów.

Mężczyźni zaczęli wytyczać pole gry, Kit zaś podzielił graczy na drużyny niemal równe sobie zręcznością i doświadczeniem. Lauren, Gwendoline i Daphne rozkładały tymczasem na trawniku koce dla widzów, ma się rozumieć w bezpiecznej odległości od palików.

Wkrótce wszystkich pochłonęła gra. W ogólnym zamieszaniu nikt nie zauważył, iż nadjechało troje jeźdźców.

Rannulf Bedwyn zsiadł już z konia i pomagał Frei. Alleyne spojrział na panujące na trawniku zamieszanie.

- Ach, to chyba początek partii krykieta? Dzień dobry, madame - zwrócił się do hrabiny, uchylając kapelusza i składając jej ukłon. - Czy można się przyłączyć, nawet jeśli przybyliśmy tylko po to, by złożyć wyrazy uszanowania?

Hrabina przedstawiła ich Gwendoline, której jeszcze nie znali. Rannulf nachylił się nad jej dłonią i trzymał ją przez chwilę w swojej, prawiąc komplementy.

- Czy jesteś pewna, że nie chcesz grać? - Kit podszedł ku Lauren z uśmiechem.

Wydawało się jej nagle, że ostatniej nocy wcale nie było. Obydwoje byli tacy sami, jak zawsze.

- Najzupełniej - odparła stanowczo. - Nie mam najmniejszego pojęcia o krykiecie.

- Ale dasz chyba radę złapać kulę, co? Lauren, potrafisz przecież biegać. Pokażę ci, jak się trzyma kijek.

- Kit, jeśli to jeden z twoich pomysłów na zapewnienie mi wspaniałego lata, to lepiej zaraz z niego zrezygnuj. Świetnie będę się bawiła jako widz. A poza tym żadna z pań, które liczą sobie więcej niż osiemnaście lat, nie zamierza robić z siebie widowiska.

Nim Lauren zdołała skończyć to zdanie, na trawnik wkroczyła Freja w towarzystwie brata, obwieszczając wszem wobec chęć zagrania w drużynie, w której nie będzie Kita. Alleyne zrobił na odwrót.

- Nie dasz się namówić? - Z tymi słowami Kit włączył się do rozpoczętej gry.

Lauren poprawiła słomkowy kapelusz, żeby lepiej osłonić twarz przed słońcem, i odetchnęła z ulgą. Przez chwilę bała się, że będzie nalegał. Musi teraz zebrać myśli. Nie, nie! Tylko nie teraz! Czowała, że krew napływa jej do twarzy na samo wspomnienie ostatniej nocy. Nie będzie o tym myślała, póki znów nie znajdzie się sama, a także o tym, że powiedziała „nie”. O Boże, przecież powiedziała „nie”!



Partia krykieta była niezwykle wesoła. Kit, którego drużyna wykonała pierwszy rzut, śmiał się i ciągle coś wykrzykiwał. Serwował, denerwował też kilku bardziej poważnie nastawionych graczy ze swego zespołu, pozwalając młodszym i słabszym zawodnikom zdobywać punkty na niekorzyść swoją i bardziej doświadczonych graczy. Kiedy mały David Clifford, który stał przy najbliższej bramce z kijkiem niemal tak dużym, jak on sam, musiał przebiec przez całe pole, żeby nie pomieszać szyków Sebastianowi Miliardowi, graczowi zespołu z Eton, Kit pobiegł razem z chłopcem, śmiejąc się przez cały czas. Trafili w kulę w pół sekundy.

- Patrzcie no, Kit jest gwiazdą obydwu drużyn - zauważył Rannulf. - Niczym średniowieczni rycerze pragnie popisać się przed wybranką. Czy walczy w pani barwach, miss Edgeworth? No, ale zobaczymy, jak będzie grał przeciw Frei.

Crispin Butler wykonał już swój rzut, nadeszła więc jej kolej. Lauren śledziła Freję od samego początku: stała przy linii autowej w pewnej odległości od koców, z resztą swojego zespołu. Była bez kapelusza, a grzywa rozwichrzonych jasnych włosów połyskiwała w słońcu. Od czasu do czasu posyłała widzom uśmiech. W jej spojrzeniu, które niekiedy krzyżowało się ze spojrzeniem Lauren, widać było jawne wyzwanie. Okazała się pierwszorzędnym graczem. Stała z kijkiem przed bramką, zerkając z ukosa w stronę Kita, który pobiegł do najdalszej bramki, żeby rzucić jej kulę. Odbiła ją bez najmniejszego trudu. Kula poszybowała w górę i upadła na trawnik w miejscu, którego nie broniono. Benjamin pobiegł po nią, co widzowie przyjęli z aplauzem. Gracze drużyny atakującej wydali głośny jęk, a zespół Claude'a zaczął skakać z radości. Freja zaś, podtrzymując jedną ręką spódnicę, wpadła między bramki, śmiejąc się triumfalnie.

Kit śmiał się również.

- To był twój rzut wolny! - zawołał. - Teraz zagramy poważnie.

- Poważnie to nie dość dobrze dla mnie - parsknęła. - Weź sobie lepiej serwującego zawodnika.

Zarumieniona, tryskająca energią, wspaniała, odwróciła się w stronę koców i popatrzyła drwiąco na Lauren.

- Ach, rękawica została rzucona - mruknął Rannulf. - Zupełnie jak w dawnych czasach.

Freja zablokowała następną kulę i bramki nie było.

Kolejny, łatwy do schwywania rzut poszybował jednak w stronę czteroletniej Sarah Vreemont, która w popłochu odbiła go oburącz w najgorszym momencie, choć członkowie jej drużyny wołali, żeby ją łapała. Kiedy

kula z głuchym stukiem upadła na trawę tuż pod jej nogami, wybuchnęła płaczem.

Lauren, starsza o dwadzieścia dwa lata od Sarah, doskonale rozumiała, co dziewczynka czuje w tej chwili.

Kit podbiegł do niej, mówiąc:

- To był spalony rzut, Frejo. Sarah nie jest winna, że nie złapała. Lepiej rzuć jeszcze raz.

Ktoś odrzucił kulę ku Frei, która ją odbiła. Kula powoli zakreśliła łuk. Kit objął Sarah jedną ręką, ujął obie jej małe rączki drugą i złapali kulę.

- Hop! - krzyknął i wszyscy członkowie jego drużyny wydali dziki okrzyk radości.

Freja zaczęła głośno protestować, jak zresztą pozostali członkowie jej drużyny. Stała z rękami opartymi na biodrach, wołając, że Kit jest oszustem. On z kolei ze śmiechem wytykał jej niesportowe zachowanie. Dla Lauren było jednak oczywiste, że cała ta kłótnia jest jedynie komedią, że urągają sobie tylko po to, by rozbawić swoje drużyny, a sami, w gruncie rzeczy, także świetnie się bawią. Stanowią doskonałą parę. Wiedziała o tym od samego początku.

Przygnębiła ją ta świadomość. Nie dlatego, by chciała z Freją w jakikolwiek sposób rywalizować, mimo szyderczego spojrzenia, które tamta jej rzuciła, schodząc z pola gry, lecz wyłącznie dlatego, że zrozumiała, iż nigdy tej rywalizacji nie wygra. Nawet gdyby ośmieliła się ją podjąć. Mimo urody i manier brakowało jej tego nieokreślonemu czegось, co budziło męski podziw i namietność. Niezależnie od tego, co stało się ostatniej nocy, wciąż była tylko sobą, Lauren Edgeworth. I nikim więcej.

Sarah, bardzo z siebie zadowolona, podeszła do widzów, szukając matki, ta jednak z powodu upału schroniła się w domku. Mała ciągle miała jeszcze ślady łez na policzkach. Lauren wyjęła chusteczkę i otarła je.

- To był wspaniały chwyt. Ale czy nie masz już dość krykieta?

Dziewczynka przytaknęła.

- Chodźmy się pobawić.

Lauren zawahała się. Wprawdzie była już parę razy w pokoju dziecięcym i z zaskoczeniem stwierdziła, że dzieci ją lubią, nigdy jednak nie zajmowała się tylko jednym z nich.

- W co się pobawimy?

- Pokuśtasz mnie. - Sarah wzięła ją zdecydowanie za rękę i pociągnęła za sobą.

- Czy tu jest huśtawka? - Lauren wstała z koca.

Istotnie, była. Zwisła na długich sznurach z wysokiej gałęzi starego dębu, tuż koło klombów. Lauren nie zauważyła jej przedtem. Sarah

wdrapała się na nią, a Lauren popychała huśtawkę, z początku ostrożnie, potem coraz wyżej. Mała krzyczała radośnie: Wyżej, wyżej! Lauren roześmiała się.

- Jeżeli polecisz za wysoko, to poszybujesz ponad drzewa, do czaro-dziejskiej krainy, a ja tu zostanę z pustą huśtawką i bez Sarah.

Nagle spostrzegła, że ich odejście nie przeszło niezauważone; inne dzieci, znudzone krykietem, także chciały się pohuścić. Lauren wkrótce miała pełne ręce roboty: popychała huśtawkę, pilnowała, żeby nikt nie został niesprawiedliwie pominięty, pomagała pozostałym wdrapywać się na niższe gałęzie dębu, a potem zdejmowała je stamtąd, żeby mogły wszystko zacząć od początku, i śmiała się wraz z nimi. Przynajmniej są w cieniu, a nie na tym skwarze, pomyślała z ulgą.

- Huśtawka leci do czarodziejskiej krainy nad drzewami - oznajmiła Sarah.

- Kto plecie takie bzdury? - prychnął pogardliwie Henry Butler.

- Ja! - Lauren spojrzała na niego, udając zdumienie. - Czy nigdy o tym nie słyszałeś?

- Opowiedz nam, opowiedz!

Od czego tu zacząć? Minęły lata, odkąd wymyślała dla samej siebie bajki, w których małych dziewczynek nigdy nie porzucały matki, życie było wspaniałą przygodą, żeglowało się poza horyzont i wracało bezpiecznie, no i zawsze wszystko się dobrze kończyło. Nigdy jednak nie opowiadała ich na głos.

- Usiądę w cieniu, a wy koło mnie, jeśli chcecie posłuchać.

Dzieci rozsiadły się na ziemi i zwróciły ku niej zaciekawione buzie. Najmłodsza, trzyletnia Anna Clifford, położyła główkę na jej kolanach.

- Pewnego razu, nie tak dawno temu...

Zacząła opowieść o chłopcu i dziewczynce, którzy huścili się razem i polecili z huśtawką tak wysoko, że znaleźli się w czarodziejskiej krainie, niewidocznej z dołu, gdzie wszystko było zupełnie, ale to zupełnie inne niż na dole. Inna była trawa i domy, i zwierzęta, i ludzie. W tym niesłychanym miejscu czekało ich mnóstwo jeżących włos na głowie przygód i czyhały niebezpieczeństwa przyprawiających o mocniejsze bicie serca.

- .. a wtedy, w samą porę, wypatrzyli pustą huśtawkę bujającą się wśród czerwonej trawy, szybko się na nią wdrapali, złapali mocno za sznury i raz, dwa znaleźli się u stóp drzewa, gdzie mama i tata czekali na nich z niepokojem. Znowu byli bezpieczni i mieli co opowiadać.

Dzieci odetchnęły z ulgą i zadowoleniem.

- A czy tam potem wracali?
- O tak, wiele razy. I mieli jeszcze mnóstwo innych wspaniałych przygód, ale o tym następnym razem...

Dzieciarnia zaczęła protestować. Lauren roześmiała się i przygarnęła Annę do siebie.

- ...na który nie trzeba będzie długo czekać.

Gdy uniosła głowę, ujrzała Kita. Stał w słońcu, z podwiniętymi rękawami i z rękami skrzyżowanymi na piersi. Najwyraźniej obserwował ją od dawna. Na trawniku nie było już poza nim nikogo. Nie zauważyła, że partia krykieta dawno się skończyła. Uśmiechnął się do niej serdecznie.

Czuła, że żołądek podjechał jej do gardła, nie mogła oddychać. Wiedziała, że to, co teraz czuje, to pożądanie, ale i coś więcej. Poznała ciało Kita, ale poznała też jego duszę. Wiedziała, że Kit ukrywa swoją prawdziwą naturę pod maską wesołości, a mimo to wesołość również była czymś prawdziwym, nie tylko maską.

- Wszyscy poszli się kąpać w jeziorze. Czy ktoś z obecnych także ma na to ochotę?

Dzieci popędziły na wyścigi w stronę wody, nim jeszcze skończył mówić. - Ja nie - powiedziała Lauren szybko.

- Kit nie ruszył się z miejsca i wciąż się uśmiechał.

- Wciąż mnie czymś zaskakujesz. Nie przypuszczałem, że tak świetnie radzisz sobie z dziećmi.

- Gdzie tam! Nigdy nie miałam z nimi do czynienia.

- Nic podobnego. Prawie przez godzinę bawiłaś się tu z pięciorgiem malców, a to niełatwe zadanie w tak upalne popołudnie. Nie kłóciły się, a zwykle pełno tu płaczu i krzyku, bo huśtawka jest tylko jedna.

- Stałeś tu przez cały czas? Skąd wiesz, że się nie kłóciły? Przecież grałeś w krykieta.

- A prawda, grałem. - Podeszedł i pomógł jej wstać.

- Skąd znasz tę bajkę? Z książki?

- Skądże. Wymyśliłam ją na poczekaniu. Łatwo wymyślić czarodziej-ską krainę, gdzie wszystko może się zdarzyć.

- Chyba dobrze się bawiłaś, szkoda tylko, że to nie moja zasługa.

- Wręcz przeciwnie! Gdyby nie ty, siedziałabym teraz w Londynie, oblegana przez godnych szacunku dżentelmenów, uważanych przez Wil-  
mę i Suttona za odpowiednich kandydatów do ożenku. I nienawidziłabym każdej spędzonej w ten sposób chwili.

- Są parą zarozumiałych głupców - mruknął. - Doskonale do siebie pasują.

Zaśmiała się.

- Dzieci nad jeziorem mają wystarczająco wielu opiekunów. Moglibyśmy sobie powagarować. Godzinką albo dwie - rzucił.

- Czy... czy wszyscy pływają? Goście też?

- Ma się rozumieć. Freja nigdy nie dbała o taką błahostkę, jak zasady dobrego wychowania. Inne dziewczęta pójdą zapewne w jej ślady i przyprowadzą swoje matki o palpacje serca. Ale dziś jest upał, a my zmęczylimy się krykietem.

Czy na pewno nie chcesz być razem z Fre... z innymi? Stał z przechyloną głową, podczas gdy Lauren otrzępywała suknię z trawy i gałązek.

- Powinniśmy pójść w jakieś spokojne miejsce. Zresztą wszyscy się tego po nas spodziewają. Nie, nie śmieć się. Przecież jesteśmy narzeczonymi. No i, mimo że w nocy stanowczo temu zaprzeczałaś, może się na wet pobierzemy. Przynajmniej taką mam nadzieję. Ale nie roztrząsajmy tego dłużej. Pójdiesz ze mną na węgry?

Ścisnęła ją w dołku. Zeszłej nocy posunęła się za daleko. Nie potrafiła jednak patrzeć na to jak na upadek moralny. Żałowała czegoś zupełnie innego. Zeszłej nocy odkryła swoją kobiecość. Uległa pragnieniom, które starannie skrywała, sądząc, że tylko Neville może je zaspokoić. Bardzo łatwo mogła tego samego zacząć oczekiwać od Kita. Może się w nim zakochać. Była to nowa i niepokojąca możliwość. Aż do wczorajszej nocy nie wątpiła, że jest w stanie kochać tylko jednego jedyne go mężczyznę, Neville'a.

Może się zakochać w Kicie. Nie powinna jednak na to pozwolić, nie jest kobietą dla niego, nie przeżyje kolejnego rozczarowania. Przecież z takim trudem zdołała się podźwignąć po pierwszym.

Poza tym obiecała mu, że zerwie zaręczyny pod koniec lata. Nie może złamać obietnicy, chociaż ostatnia noc zmieniła tu sytuację na tyle, że honor kazałby mu nalegać na coś odwrotnego. Za nic nie chciała zmusić go do małżeństwa. Nie zrobi tego. Przyjechała tutaj tylko po to, żeby przeżyć krótką przygodę, żeby zaznać niedługiej przyjemności przed czekającym ją samotnym życiem. Bawi się świetnie. Chce bawić się jeszcze. Aż do końca, do ostatniej chwili, nim stąd odejdzie.

- Ale tylko na godzinę - powiedziała, biorąc go za rękę, zdumiona, że robi coś tak do niej niepodobnego. Iść z dłonią w dłoń mężczyzny jest, co odkryła z zaskoczeniem, czymś o wiele bardziej intymnym niż iść, trzymając go pod ramię.

I czymś radośniej.

Dobrze wiedział, dokąd chce ją zabrać. Najpierw należało przejść koło jeziora, od strony dworu, i minąć wszystkie dzieci oraz kilkoro dorosłych pluskających się w wodzie, podczas gdy inni stali lub siedzieli na pochyłym brzegu. Freja oczywiście pływała szybciej i dalej niż ktokolwiek inny. Ralf w niedbalej pozie opierał się o pień drzewa, gawędząc z Gwen. Obydwoje pomachali im wesoło.

Kit z zaskoczeniem stwierdził, że wcale nie ma ochoty kąpać się wraz z innymi ani ścigać z Freją. Dziwił się temu nawet po dwóch wizytach w Lindsey Hall. Nawet po wyścigu konnym do pagórka. Nawet jeszcze tego samego popołudnia, kiedy wprost kipiała energią podczas krykieta. Nawet teraz, wiedząc już, że musi się ożenić z Lauren.

Podczas krykieta zaszło w nim coś dziwnego. Cieszyło go współzawodnictwo z Freją, rzucanie wyzwania i obrzucanie się drwinami. Zupełnie jakby czas się cofnął, jakby znów był chłopcem, a ona dziewczynką, jakby nigdy nie było tych trzech strasznych lat. Wróciła cała ich dawna poufałość. Ale, choć bawił się świetnie, wciągając do gry dzieci i współzawodnicząc ze starszymi kuzynami, co chwila spoglądał na Lauren. Najpierw widział, jak chłodna i dystygowana siedzi na kocu, wyglądając uroczo w lekkiej, muślinowej sukni i słomkowym kapeluszu. Potem zobaczył, że kołysze huśtawkę i bawi się z dziećmi.

Zadziwiła go czułość, jaką zaczęła w nim budzić. Przedtem nie darzył wprawdzie kobiet czułością, uczucie to było mu obce, ale jednak je lubił. Właśnie to, jak myślał, miały na myśli kobiety, mówiąc o romansach: coś ciepłego, subtelnego i urokliwego jednocześnie. Może teraz przeżywa romans z Lauren? Swój pierwszy romans? Chociaż, rzecz jasna, było w tym i coś więcej. Ostatnia noc.

- Czy na pewno nie chcesz popływać z innymi? - spytała. - Nie obrażę się. Nie musisz mi stale towarzyszyć. Wiem, że jestem nudnym towarzyszem dla kogoś takiego jak ty.

Jak na kobietę tak piękną, ceniła się zdumiewająco nisko.

- Sam lepiej wiem, co jest dla mnie nudne, a co nie - powiedział, splatając jej palce ze swoimi. - Lauren, czy twój dziadek nigdy nie próbował się dowiedzieć, co spotkało twoją matkę? Czy poprzedni hrabia Kilbourne nawet palcem nie kiwnął, żeby poznać los brata?

Pokręciła głową.

- Jak można to wyjaśnić? Świat jest taki wielki!

A jednak dwoje brytyjskich arystokratów nie mogło zniknąć bez śladu, obojętne, dokąd się udali.

- I nikt nie wie?

- To już bez znaczenia. Nie myślę o tym. - Oho, kłamie! Patrzy pod nogi, na trawę, z twarzą skrytą pod szerokim rondem słomkowego kapelusza.

- Chyba rozumiesz, że mam pewne możliwości. Znam ludzi, którzy potrafią rozwikłać każdą zagadkę i zdobyć pozornie nieosiągalne informacje. Czy... czy nie mógłbym czegoś zrobić w tej sprawie?

Odwróciła się do niego gwałtownie, z rozszerzonymi fiołkowymi oczami.

- Och, czyżby?... Nawet jeśli nic się nie uda rozwikłać? Nawet po naszym rozstaniu?

Zeszłej nocy twierdziła, że za niego nie wyjdzie, mimo że mu się oddała. Niemądry upór. Przecież może być w ciąży.

- Wiele dla mnie zrobiłaś. Pozwól, że ci się zrewanżuję.

- Naprawdę? - przystanąła. Oczy miała pełne łez. - Nie chciałabym stać się powodem wielkiego rozczarowania, Kit. Ogromnie polubiłam twoją rodzinę, matkę, babkę... wszystkich...

- Może się obejść bez rozczarowania - powiedział łagodnie. - Wystarczy ogłosić, że się pobieramy. Nie fikcyjnie. Naprawdę.

Pokręciła głową.

- Co, u licha, nie potrafisz o nim zapomnieć? - Zaczynało go irytować to jej bezgraniczne przywiązanie do Kilbourne'a.

Znów pokręciła głową.

-Zawarliśmy umowę. Swoboda dla ciebie, wolność dla mnie. Nie psuj wszystkiego, Kit. Chciałam tylko przeżyć piękną letnią przygodę, nic więcej.

Czuł się upokorzony świadomością, że Lauren nie chce za niego wyjść, bo tak postanowiła i już. Zrobił z siebie głupca, dając się ponieść roje-  
niom o romansie.

- Nie powinnaś mieć za złe dżentelmenowi wyrzutów sumienia. No, ale jak przygoda, to przygoda. Widzisz to małe wzniesienie ponad jeziorem? To rodzaj wysepki. Sztucznej zresztą, jak i ono samo. Popłyniemy tam łódką.

-Dziękuję.

Co prawda nie rozumiał, za co mu dziękuje, ale spodobał mu się wspólny, milczący spacer i pomysł odpoczynku na wysepce. Łódka czekała tam, gdzie zawsze. Mały budynek przystani był, jak się przekonał, w dobrym stanie. Ręczniki na półkach okazały się czyste. Wziął dwa

z nich. Wiosłował sam przez całą, krótką zresztą, drogę. Lauren siedziała rozluźniona na wąskiej ławeczce naprzeciwko niego. Pomógł jej wysiąść i wyciągnął łódź na brzeg.

Po stronie bliższej dworu rozległy, pusty brzeg łagodnie opadał ku wodzie. Rosła tam trawa, stokrotki, podbiał i koniczyna. Brodzili w ziołach po kostki, aż wreszcie Lauren usiadła na ziemi, objęła rękami kolana i spojrzała w dal.

- A kiedyś tak nie lubiłam natury - powiedziała, wzdychając z zadowoleniem.

- Ale teraz ją lubisz?

- Tak. - Wpatrzyła się w wodę.

Kit nie usiadł koło niej. Było gorąco, a on grał już w krykieta, odbył długi spacer i wyciągnął łódź na brzeg. Ściągnął koszulę, zrzucił buty i pantalony. Wahał się przez chwilę, ale w końcu zdjął też kalesony. Lauren patrzyła na niego obojętnie. Jeszcze kilka dni temu zdrętwiałaaby z zażenowania i zgorszenia.

- Jesteś bardzo przystojny. - Zaskoczyła go tymi słowami.

- Mimo blizn?

-Tak.

Wskoczył do wody i zanurkował. Wspaniale chłodziła jego rozgrzane ciało. Przez chwilę pływał pod powierzchnią, potem wynurzył się i wytarł oczy. Nadal siedziała wśród kwiatów, śliczna jak obrazek, obojętna i pogodna, z twarzą ocienioną rondem kapelusza. Po chwili jednak rozsypała wstążki przytrzymujące go pod brodą, pozwoliła mu opaść na trawę i potrząsnęła ciemnymi puklami.

Dotykając nogami dna, brodził w głębokiej wodzie i rozgarniał ją silnymi ruchami ramion. Widział, jak ściąga pantofelki i pończochy, a potem wstaje, żeby rozpiąć i zdjąć także suknię. Koszula ściśle przylegała do jej szczupłych kształtów. Przyjrzał się im z uznaniem i ze zdziwieniem stwierdził, że dzisiaj nie ma w niej nic z dziewczęcej skromności okazywanej w altanie, która kazała jej się ciasno otulać kocem.

A potem oniemiał, gdy skrzyżowała ręce, zdjęła również koszulę i rzuciła ją na trawę. Bez ubrania była istną doskonałością: młode, jędrne ciało, piękne piersi, długie, smukłe nogi. Zeszła nad samą wodę i zanurzyła się w niej, prawie na niego nie patrząc, choć najwyraźniej nie chciała niczego zakrywać. Skóra mignęła w słońcu alabastrową białością. Nim ponownie zanurkował, podpływając do niej, poczuł suchość w ustach.

Nie dotykał jej ani ona jego. Uśmiechnęli się tylko do siebie, a Lauren przymknęła oczy i położyła się na plecach. Kit płynął niespiesznie kraulem tuż obok.



Czy ona wie, jak bardzo się zmieniła podczas krótkiego pobytu w Alveley? Że przestała być zimna i nieprzystępna? Lauren Edgeworth kąpie się nago w biały dzień z nagim mężczyzną! Żaden z ich przyjaciół nie dałby temu wiary. Czy rzeczywiście pragnie tego wszystkiego na krótko, tylko na jedno lato? Czy będzie chciała wrócić do poprzedniej postaci?

- Jak sądzisz, zdołam osiągnąć dna, jeśli spróbuję? - spytała po kilku minutach, odwracając głowę, żeby na niego spojrzeć.

Ocecił odległość od brzegu.

~ Chyba nie, ale nie bój się, nie utoniesz, chyba że będziesz chciała. Zresztą i tak bym cię uratował.

-Nie boję się. Kit, naucz mnie pływać tak jak ty. Pozwól mi spróbować.

Obrócił ją na brzuch, a jego ręce przesunęły się po jej chłodnym ciele. Tego popołudnia pływała bez lęku, zanurzając twarz w wodzie i oddychając bez krztuszenia się nią. Umiała także poruszać we właściwy sposób nogami, tak że jej wysiłki, by posuwać się naprzód, przestały być bezowocne. Błyskawicznie nauczyła się kraula. Po dziesięciu minutach pływała w wodzie głębokiej na co najmniej dwa metry.

- Płynąc z taką szybkością - zaśmiał się - na drugi brzeg dopłyniesz po dwudziestu czterech godzinach. No, może po dwudziestu trzech, jeśli nie zatrzymasz się na odpoczynek.

- Kpij sobie, kpij! - odparła bez tchu. Pewnie dodałaby coś jeszcze, ale jej cały oddech i koncentrację pochłaniał kraul.

Po chwili odwrócił ją na plecy i płynęli ramię w ramię, trzymając się za ręce. Chyba nigdy jeszcze nie czuł się tak odprężony, zadowolony... szczęśliwy?

-Niektóre chwile - odezwał się - powinny trwać wiecznie.

Nieartykułowany pomruk oznaczał, że się z nim zgadza.

I te chwile, i cała godzina wagarów minęły jednak jak mgnienie. Choć jako narzeczeni mogli spędzać ze sobą dużo więcej czasu, i tu istniały jakieś granice.

Kiedy wyszli na brzeg, poczuli dojmujący chłód. Jednak gorące słońce szybko miało ich osuszyć. Kit rozłożył ręczniki na trawie i położył się na jednym z nich. Spodziewał się, że teraz Lauren, której nie zasłaniała już woda, owinie się drugim i usiądzie w pewnej odległości od niego, sztyw- na i skrzepowana. Niemal się spodziewał, że ubierze się tak szybko, jak to tylko możliwe, i zacznie wyczekiwać powrotu do łodzi.

Ona jednak położyła się nago na drugim ręczniku, zasłaniając oczy ramieniem. Uniosła jedną nogę, a drugą wsparła płasko na ziemi. Tę zachęcającą pozę przybrała niewątpliwie w sposób nieświadomy. Odwrócił

głowę, lecz po chwili uniósł się na łokciu, żeby lepiej ją widzieć. Wszystkie kochanki, jakie miał kiedykolwiek, były kobietami zmysłowymi. Dlatego je wybierał. Bujne kształty, pełne, ciężkie piersi podniecały go, a przecież kochanki bierze się z tego właśnie powodu.

Lauren Edgeworth była szczupła i smukła. Gdy leżała na plecach, jej piersi wydawały się jeszcze mniejsze, choć pięknie zarysowane. Brzuch miała płaski, nogi długie i zgrabne. Była bez wątpienia jedną z najładniejszych kobiet, jakie w życiu widział. Pamiętał, że jeszcze na balu u lady Mannering - nie, wcześniej, już w Hyde Parku, mimo że nie widział jej zbyt dobrze, zauważył i docenił niezwykle urodę Lauren.

Okazała się jednak nie tylko piękna, lecz także... zmysłowa. Czy to właściwe słowo? Nie miała w sobie nic z prowokacyjnej otwartości kurtyzany, lecz jej ciało zdawało się zapraszać do miłości. Czyżby tak wspólnie rozkwitła jej długo tłumiona kobiecość, a stało się to za jego sprawą? Wiedział doskonale, że nigdy przedtem nie robiła czegoś, co choć trochę przypominałoby jej obecne postępowanie. Nawet gdyby w to wątpił, a nie wątpił ani trochę, wczorajszej nocy zyskał niezbity dowód. Okazała się dziewczicą.

Objął spojrzeniem to szczupłe piękne ciało. Pragnął jej tak, jak zawsze pragnął kobiety. A może nawet mocniej. A ona nie chciała za niego wyjść. Po prostu nie chciała. I dlatego nie wolno mu... nie wolno mu zastawiać na nią sidła i sprawić, by utraciła wolność, którą tak bardzo sobie ceni.

Nie wolno mu być tak egoistycznym, tak niezdyscyplinowanym...

Prześląła przesłaniając ramieniem oczy i odwróciła się ku niemu z uśmiechem.

- Kit... właśnie to miałam na myśli wtedy w Vauxhall, choć jeszcze o tym nie wiedziałam. Czuję słońce na twarzy, słyszę szmer wody, śpiew ptaków, brzęczenie owadów... I pachnie woda, i trawa, i kwiaty. Kwiaty, . Kit. Widzę też polne kwiaty - stokrotki, koniczynę, podbiał, piękniejsze niż wszystko na świecie, a ja... ja jestem częścią tego wszystkiego. Wiesz, dotychczas byłam widzem, nie brałam udziału w życiu. Ale teraz -tak. Dzisiaj żyję i jestem obłąkańczo szczęśliwa. Właśnie o taką przygodę cię prosiłam. Zawsze będę ci za nią wdzięczna.

Przełknął ślinę. Stwierdził ze zdumieniem, że znajduje się niemal na granicy łez. Stłumił pożądanie, miał nadzieję, że niczego nie zauważyła. Mówiła tak szczerze. Tak, była częścią wszystkiego - słońca, wody, trawy, kwiatów. Jak elf czy boginka.

Wiedział z całą pewnością, że to jeden z najcudowniejszych momentów w jego życiu i że zapamięta go na zawsze. Prawdziwy skarb. Nie wolno tego zepsuć...

- Kit. - Wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka chłodnym koniuszkiem palca. - Zrób ze mną to samo, co zeszłej nocy. Chcę, żebyś to znów zrobił. Tylko jeden raz, tu, wśród kwiatów, pod letnim słońcem. Jeżeli tego pragniesz.

Zeszła noc należała do niego. Teraz nadeszła jej kolej.

Kochał się z nią powoli, przyzywając całe doświadczenie, jakiego nabył z innymi kobietami. Nie była gwałtowna i namiętna, przynajmniej jeszcze nie teraz. Potrzebowała czułości i delikatności. Dał jej jedno i drugie. Jego ręce i usta wędrowały po jej ciele. Robił to, co mogło sprawić jej najwięcej przyjemności. Jej ręce błądziły po jego ramionach, plecach, piersiach, delikatnie, trochę nieporadnie. Przywykł do kobiet, które bezbłędnie umiały wyczuć jego pragnienia i uczynić im zadość. Lauren nie знаła ani jednej z takich sztuczek, lecz właśnie jej niedoświadczenie wzbudzało w nim niemal bolesne podniecenie.

Kochał się z nią niemal z desperacką czułością. Składał na jej ustach delikatne, głębokie pocałunki.

- Chcesz, żebym cię wziął?

- Tak. - Otoczyła go ramionami. - Och, tak. Jak zeszłej nocy.

- Inaczej niż zeszłej nocy. - Wysoka trawa i kwiaty mogły robić wrażenie miękkiego dywanu, lecz byłyby dla kobiety twardym materacem podczas miłostnego aktu. - Chodź. - Uniósł się nieco i rozsunął jej nogi, tak żeby mogła na nim usiąść. - Uklęknij na trawie. Zaufaj mi. Pozwól temu nadejść. Zaufaj mi.

Nie trzeba jej było więcej mówić. Krzyknęła i opadła na niego. Otoczył ją opiekuńczo ramionami. Ciągle jeszcze drżała i oddychała szybko.

- Pozwól temu przyjść - szepnął jej do ucha.

Nigdy nie zaprzętał sobie głowy tym, czy kobieta czuje rozkosz. Zanim był zaprzętnięty sobą. Teraz leżała na nim, cicha, gorąca i wilgotna. Doszła do kresu. Zdjął dłonie z jej bioder i mocniej oparł stopy o ziemię. Poczekał chwilę, zaciskając zęby.

Potem uniósł ją, zdjął z siebie i położył ostrożnie na ręczniku obok.

Zamruczała zadowolona, gdy ułożyła się przy nim, przytuliła do niego i zasnęła.

Kit leżał na wznak i oddychał głęboko, zaciskając i rozwierając dłoni. Minęło kilka minut, nim jego erekcja zaczęła ustępować. Najgorsze było już za nim: kilka minut prawdziwej męczarni. W swojej niewinności bez wątpienia nie wiedziała, że tylko ona zdążyła skończyć.

Tak jak zapewne on zeszłej nocy. -

Mógł ją tamtej nocy naznaczyć na zawsze. Zostawić złe wspomnienia. Jeśli jednak zdołała tego uniknąć, nic jej nie groziło. Wciąż będzie mogła

dokonać wyboru, kiedy skończą się uroczystości urodzinowe. Wciąż będzie mogła go opuścić.

Przesłonił ramieniem oczy i westchnął. To nie powinno się było zdarzyć, ale sama tego chciała. A Lauren Edgeworth nie jest kobietą, z którą można sobie pozwolić na rozwiązły romansik.

Zeszłej nocy oddała mu się, bo tego potrzebował.

Dziś po południu odwzajemnił się jej. To wszystko.

Wciągnął powoli pachnące koniczyną powietrze i wypuścił je z ledwie dosłyszalnym westchnieniem.

## 18

Następnego ranka Lauren udało się porozmawiać w cztery oczy z Sydnem Butlerem. Rzadko można go było widzieć za dnia, wieczorami zaś przesiadywał samotnie w oknie wykuszowym salonu, okazując wyraźnie, że nie trzeba mu towarzystwa. Lauren wcale nie miała ochoty z nim mówić, ale w końcu przybyła tu po to, żeby pogodzić Kita z rodziną. Dwa dni wcześniej odkryła, że najboleśniej dotknęło go coś, co wiązało się z młodszym bratem.

Kilku mężczyzn i chłopców poszło z Kitem na ryby, w tym i jej dziadek. Niektóre z pań wybrały się do nielicznych sklepów w wiosce, a także na zwiedzanie kościoła z czasów Normanów. Lauren została we dworze. Najpierw spacerowała między grządkami kwiatów, potem zajrzała z hrabiną do cieplarni, pomagając jej w ostatnich pracach nad dekoracją domu przed przyjęciem urodzinowym. Potem wyszła na poranny spacer z babką Kita - do rosarium i z powrotem.

Gdy mozolnie wspinała się z nią po schodach, zobaczyła Syda na koniu nadjeżdżającego drogą. Mimo braku ręki radził sobie doskonale. Współczuła mu wprawdzie, ale życzliwości w niej nie budził.

Babka, wsparta na ramieniu swego ulubionego lokaja, postawnego, pocziwego młodzieńca, pokonała już schody i zamierzała oddalić się do swoich pokojów. Lauren wymówiła się grzecznie od towarzyszenia jej, a potem wyszła przed dom. Sama jeszcze nie wiedziała, co ma zamiar zrobić. Brat Kita zajechał pod taras w chwilę później. Spostrzegła, że nieco utyka, lecz było to chyba tylko zdrętwienie mięśni wskutek jazdy, bo po paru krokach przestał kuleć. Na jej widok zatrzymał się, lecz po chwili podszedł do niej.

- Dzień dobry, panno Edgeworth - pozdrowił ją, gdy był już całkiem blisko, i dotknął szpicrutą runda kapelusza.

- Panie Butler...

Czuła się winna, ale jednocześnie czuła też niechęć do niego. Czyż jednak z jej winy został kaleką? Nie lubiła go i tyle. Bez żadnego powodu skazał Kita na męki wyrzutów sumienia, choć Kit nadal go kochał.

Uśmiechnął się do niej, kiedy dotarł do stóp schodów i chciał ją wyminąć.

- Czy nie zechciałby pan pójść ze mną na przechadzkę?

Wyglądał na zaskoczony. Otworzył usta, żeby, jak się domyśliła, znaleźć jakąś wymówkę, lecz zaniechał tego, uklonił się i przeszedł przez taras w stronę tego samego, rozległego trawnika, na którym dzień wcześniej grano w krykieta.

- Dziś nie jest tak ładnie, jak wczoraj - zaczęła.

- Istotnie, zachmurzyło się.

Opuściła ją cała odwaga. Co będzie z umową? A z Kitem? Martwiła się o niego. I za niego. Nie kierowała się jedynie współczuciem. Założyła ręce za siebie i wzięła głęboki oddech.

- Dlaczego nie chce mu pan przebaczyć?

- Ach, w ten sposób to pani przedstawił? Biedny Kit.

- Czy jest w błędzie?

Syd milczał przez chwilę. Szli na ukos przez trawnik ku drzewom.

- Chodzi o coś dużo bardziej złożonego - zaczął wreszcie. - I w ni czym nie dotyczy to pani osobiście, miss Edgeworth. Proszę się nie obawiać, że zamęcę w jakiś sposób wasze szczęście. W przyszłym miesiącu wyjeżdżam stąd. Przyjąłem posadę w dobrach księcia Bewcastle.

- Jako rządca! Kit jest tym przybity, chyba pan rozumie. Powiedział mi, że nie jest pan stworzony do takiego życia... że pan był... nie, że pan jest... artystą. On pana kocha, nie czuje pan tego?

Syd przystanął i spojrzał w dal, nim odwrócił głowę i skierował wzrok prosto na nią. Zaskoczona Lauren dopiero teraz pojęła, jaki musiał być kiedyś przystojny. I jak strasznie wygląda teraz. Lecz niechęć do niego nie ustępowała.

A pani sądzi, że ja go nie kocham?

- Chyba nie, bo w przeciwnym razie mógłby go pan jakoś pocieszyć. Czy myśli pan, że on nie cierpi z powodu pańskiego kalectwa?

Spojrzał na nią ostro i zacisnął usta. Zdołał jednak powściągnąć gniew, nim się ponownie odezwał.

- Tak, on niewątpliwie cierpiał - rzekł krótko, a potem zwrócił spojrzenie ku domowi. - Ta przechadzka, panno Edgeworth, nie była dobrym

pomysłem, ani rozmowa o pogodzie. Skądinąd szczerze panią lubię, choć jest to chyba uczucie nieodwzajemnione. Z wielką dobrocią i cierpliwością zajmuje się pani babcią, a innych traktuje życzliwie. Z pewnością kocha pani mego brata. Życzę wam obydwójgu szczęścia, ale muszę stąd odejść, i wątpię, czy szybko mnie pani zobaczy. Tak będzie najlepiej dla wszystkich. Może wrócimy do domu?

Lauren jednak domyśliła się, co kryło się za tymi słowami. Zrozumiała, że spotkała jeszcze jedną osamotnioną duszę, kogoś zbyt głęboko zamkniętego, żeby mógł być szczęśliwy. Kit, mimo dojmującego bólu, znalazł w niej słuchacza i doznał pewnej pociechy. Komuż miał się zwierzyć Sydnam Butler?

- Potrafię dobrze robić jedną rzecz - powiedziała, puszczając mimo uszu jego ostatnie słowa. - Umiem słyszeć, a nie tylko słuchać, co do mnie mówią. Niech mi pan opowie, co się zdarzyło. Swoją wersję.

Kit wyjawiał jej tylko fakty. Oczywiście nie kłamał ani nie miał zamiaru wprowadzać jej w błąd. Czasem jednak same fakty nie wystarczą, bo nieświadomie pomija się lub zaciemnia coś, dzięki czemu wszystko można ujrzeć w zupełnie innej perspektywie. Jeśli trzy osoby zaczną opowiadać o jakimś niezwykłym zdarzeniu, jak na przykład jej niedoszły ślub w Newbury, to będą to trzy zupełnie różne historie.

Przez chwilę patrzył jej prosto w oczy, po czym znów podjął przechadzkę.

- Tak, byłem artystą. Marzycielem, młodszym braciszkiem, za niskim jak na swój wiek, póki w piętnastym roku życia nie wystrzeliłem w górę jak tyczka. Kit chyba nigdy nie zauważył, że go przerosłem. Hieronim był z nas trzech najsolidniejszym, najbardziej odpowiedzialnym - przyszłym dziedzicem i przyszłym hrabią, kimś budzącym zaufanie, energicznym i silnym. Kit, rozrabiaka i zuchwalec, zawsze pakował się w jakieś kłopoty. To jego najczęściej wzywano na ojcowski dywanik. Był urodzonym przywódcą, pogodnym i roześmianym chłopcem. Patrzyłem w niego jak w obraz. Uwielbiałem go.

Lauren milczała. Wielka chmura odpłynęła. Znowu zrobiło się jasno i ciepło.

- Wszyscy mnie lubili. Kochany, mały Syd, łagodny marzyciel. Ktoś, kogo trzeba ochraniać przed niebezpieczeństwem, przed domniemanym wrogiem, przed karą. - Roześmiał się nieoczekiwanie i Lauren zrozumiała, że prawie zapominał o jej obecności.

- Pewnego razu wziąłem łódkę i nie zabezpieczyłem jej należycie po powrocie, tak że zniosło ją na środek jeziora, a musi pani wiedzieć, że

korzystanie z niej bez dozoru starszych było surowo zabronione. Kit wziął wtedy winą na siebie i dostał baty. Kiedy się o tym dowiedziałem i przyznałem do winy, dumny z prawdomówności, Kit wziął baty po raz drugi. Za kłamstwo. Obydwaj już tacy byli. I Hieronim, i Kit. Zawsze mnie chronili. A tymczasem ja byłem marzycielem, ale nie słabeuszem.

- Chronili pana zanadto?

- Właśnie. - Dotarli do strumyka, który szumiąc wesoło, płynął po kamienistym dnie, zmierzając ku rzece, i poszli jego brzegiem.

- Kochali mnie, oczywiście. Miłość jednak może być nieznośnym ciężarem, chyba pani wie, miss Edgeworth?

Nie próbowała nawet odpowiedzieć na to retoryczne pytanie.

- Z całych sił starałem się naśladować Kita. Samoświadomość zyskuje się wolniej niż inną wiedzę - niektórym nigdy się to nie udaje, a przynajmniej nie w pełni. W historii z łódką znalazła chyba wyraz moja chęć, żeby okazać się równie dzielny, jak on. Z podobnym, zaciekłym uporem chciałem zostać wojskowym, mimo że oczywiście się do tego nie nadawałem. Chciałem jednak wykazać Kitowi i rodzinie, że jest inaczej. A najbardziej pragnąłem udowodnić to sobie samemu.

- No i źle się wszystko skończyło. Bardzo mi przykro, ale tutaj Kit chyba nie zawinił? Przecież nie należał. Usiłował też zapobiec pańskiemu udziałowi w tej fatalnej misji zwiadowczej.

- Jasne, że to nie jego wina.

Lauren ze zdumieniem spojrzała na jego lewy, przystojny profil. Czemu więc nie chce mu pan przebaczyć? Czyż nie podjął słusznej decyzji?

Znów wyglądał na rozgniewanego. Wciąż szli wzdłuż strumyka. Lauren mogła już dostrzec w oddali, pomiędzy drzewami, park.

- Musiałem słuchać rozkazów wyższej szarży - podjął wreszcie. - Byłem wówczas porucznikiem, a Kit majorem, o dwa stopnie wyżej ode mnie. Kimś starszym rangą. Co więcej, podczas tej właśnie misji był także moim bezpośrednim dowódcą. Gdyby mi rozkazał, dałbym się ująć, posłuchałbym bez słowa. Tylko że on takiego rozkazu nie wydał. Zgłosiłem się na ochotnika. Powiedział to pani?

- Nie - odezwała się po krótkim milczeniu. - Tylko tyle, że właśnie pan dostrzegł możliwość ucieczki jednego z was.

- Kiedy mu to podsunąłem, zaniemówił, tracąc cenne chwile. A tymczasem ja wiedziałem, jako lojalny oficer, że nie ma innego wyjścia. Nie potrafił się jednak przemóc. Znów zgłosiłem się na ochotnika. Nalegałem. Wreszcie kazałem - jemu, wyższemu oficerowi! - żeby uciekał. Ja

zostałem. To był mój wybór. Gdyby nawet chciał wydać mi taki rozkaz -bo obowiązek, sama pani rozumie, musi iść przed braterstwem - nie obarczyłbym go tym brzemieniem. Zrobiłem to dobrowolnie. –A więc dlaczego... dlaczego?

- Kit zapewne powiedział, że mnie torturowano. Nie będę pani dręczył szczegółami, miss Edgeworth. Mam nadzieję, że on również tego nie zrobił. Powiem jedno: przez całe dni marzyłem o śmierci jako o czymś najbardziej upragnionym, o cennym darze. Mogłem go zyskać każdej chwili za cenę drobnej informacji. Nie zrobiłem tego, bo byłem oficerem i miałem obowiązek milczeć. Nie załamane się, bo nie byłem do tego zdolny. Zadziwiłem samego siebie, gdyż nawet piekło nie mogłoby być gorsze niż... proszę mi wybaczyć. W pewnej chwili zrozumiałem w końcu, że zdołałem znaleźć w sobie dość siły, by skonać straszną śmiercią, a jakaś część mnie radowała się tą myślą. Jakże byłem z siebie dumny! - Zaśmiał się cicho. — I wtedy właśnie Kit wraz z partyzantami mnie odbił.

Lauren nagle zrozumiała. Nie trzeba było mówić więcej. On jednak musiał skończyć to, co zaczął. Doszli już do miejsca, gdzie strumyk wpaadał do jeziora, i przystanęli. Lauren patrzyła na las i czekała.

- No i znów stałem się biednym, nieszczęsnym Sydem, Przeszedłem potępięncze męki podczas choroby i podróży do domu. Po powrocie Kit wziął całą winę na siebie. Znów byłem tylko biednym Sydem, zawsze tym drugim! Biednym Sydem, którego brat nie zdołał ochronić. Kit tego lata o mało nie oszalał, bo poświęcił młodszego brata, bo nie mógł wziąć ran i cierpień biednego Syda na siebie. Proszę mi wybaczyć tę gorzyc. Nie mogłem liczyć na niczyje zrozumienie. Darowałem sobie wszelkie próby.

-Nie mogli się cieszyć samym pana powrotem?

Spojrzał na nią bystro.

- A więc pani rozumie?

Skinęła głową z oczami pełnymi łez.

- Tak, rozumiem. - Położyła ostrożnie dłoń na jego ramieniu i ucałowała go lekko w zdrowy policzek. Po chwili wahania ucałowała go też i w drugi, pokryty czerwonymi plamami. - Przyczynił się pan do powożenia misji dokładnie tak samo, jak Kit. Nie, nawet więcej, bo przypadała panu w udziale rola o wiele bardziej niebezpieczna, ból i osamotnienie. Nie ma w panu niczego żalosego. Jest pan bohaterem. Podziwiam pana i szanuję.

Uśmiechnął się.

- Doskonale pojmuję - ciągnęła z powagą- że miłość może być czymś strasznym, jeśli ktoś się z nią narzuca i chce ukochaną osobę chronić, bo



nie wierzy w jej siłę. Jestem pewna, że okaże się pan najznakomitszym rządcą na świecie! Roześmieli się jednocześnie.

- Rozmówi się pan z Kitem, prawda? - spytała, gdy byli już przy samym tarasie. - Nawet gdyby trzeba go było związać i zakneblować?

- Chyba nie - powiedział po chwili, ale rozbawiły go jej ostatnie słowa.

- Bardzo pana proszę - rzekła cicho.

Baron Galton przyjechał wprawdzie wraz z sir Melyinem Cliffordem na brzeg rzeki kabrioletem, lecz wolał wrócić z Kitem piechotą. Doskonałe miejsce na ryby!

-Zawsze lubiliśmy tutaj łowić - przytaknął Kit. -Niewiele jest sposobów przyjemniejszego spędzenia poranka. - Zwolnił tempo, żeby starszy pan nie dostał zadyszki.

Pozostali wysforowali się naprzód z porannym połowem, przy czym wszyscy mówili na raz i bardzo głośno.

-Mam pewien plan, sir - odezwał się znowu Kit, kiedy już nikt nie mógł ich usłyszeć - chcę mianowicie wszcząć śledztwo. Jak pan wie, przez wiele lat byłem oficerem zwiadowczym i pozostało mi sporo pożytecznych znajomości w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i Ministerstwie Wojny. Znam wielu oficerów wywiadu, wciąż jeszcze pozostających w czynnej służbie. Myślę, że powinien pan wiedzieć o moich zamiarach. Pragnę dowiedzieć się, gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach zmarła pani Wyatt, matka Lauren i pańska córka.

- Po co? - spytał ostro baron. - Na diabła to panu!

- A pan nigdy nie był tego ciekaw, sir?

- Nigdy! Musiało jej się przytrafić jakieś nieszczęście, ale nic nam o nim nie wiadomo. I to wszystko. Każdego dnia ktoś umiera, Ravensberg, i nic na to nie poradzimy. Straci pan tylko czas i pieniądze. Niech zmarli spoczywają w spokoju. Lepiej zająć się własnymi sprawami.

Taka obojętność ojca na los córki była czymś co najmniej dziwnym.

- Nie próbował pan nigdy sam się czegoś dowiedzieć?

- Kiedy? Nie pisywali do nas często. Skąd mogliśmy wiedzieć, czy w ogóle żyją, skoro nie słyszeliśmy o nich całymi latami? Wszelkie próby śledztwa byłyby bezowocne.

- Czy hrabia Kilbourne nie robił nic, żeby dowiedzieć się, gdzie przebywa jego brat i co się z nim dzieje?

- Niech pan posłucha, Ravensberg. - Baron stanął i spojrzał na niego wrogo spod krzaczastych brwi. - Nie wątpię, że jest pan bystrym młodym człowiekiem i chce ująć narzeczoną, odkrywając coś, czego nikt inny nie odkrył przez dziesięć czy piętnaście lat. Proszę pójść za moją radą, dać temu spokój i nie budzić licha!

- Dobry Boże - Kit wbił wzrok w swego rozmówcę - a więc pan wie! Baron zacisnął wargi i spojrzał na niego spode łba.

- Niech pan da spokój - powtórzył.

Kit zrobił krok w tył, zakładając ręce za plecy.

- A więc pan wie. A Lauren nie. Dlaczego? Co się stało?

- Była dzieckiem, ot, co - sapnął z irytacją stary dżentelmen. - Dobrze się jej żyło u Kilbourne'ów, szczęśliwie i bezpiecznie. Miała towarzystwo rówieśników i pomyślny widok na przyszłość. Była ledwie trzyletnim berbeciem, kiedy matka ją zostawiła. Szybko o niej zapomniała, jak to z dziećmi bywa. Kilbourne z żoną zastąpili jej rodziców. Niczego jej nie brakowało. Widzi pan przecież, że lady Kilbourne kocha ją jak własną córkę.

- Naprawdę pan wierzy, że Lauren nie brakowało matki? Że nie czuła się opuszczona? Że nie cierpiała, kiedy listy i podarki przestały nadchodzić?

- Na pewno nie - odparł stanowczo baron, ruszając z miejsca. - Ani razu o nią nie pytała. Nigdy o niej nie wspominała. Zawsze była pogodna i szczęśliwa. Może pana dziwi, skąd o tym wiem, skoro widywałem ją rzadko. Ravensberg, ja kocham moją wnuczkę i świata poza nią nie widzę. Jest wszystkim, co mam. Wystarczyło mi palcem kiwnąć, żeby znalazła się u mnie. Co tydzień pisywałem do Kilbourne'a, póki tylko żył, a on mi co tydzień odpisywał. Lauren była najpierw przemiłym dzieckiem, a potem wspinałą młodą damą. Rzadko bywała nieposłuszna, może nawet nigdy. Przykładała się do nauki i innych obowiązków. Mniej z nią mieli kłopotu niż z własnymi dziećmi. Nie należało jej niepotrzebnie zasmucać wieściami o matce, o której dawno zapomniała.

- Czy Kilbourne też wiedział?

- Ma się rozumieć! Niech pan da spokój śledztwu, Ravensberg, i nie przysparza mojej wnuczce zgrzyoty, grzebiąc w czymś, co należy już do przeszłości. Dobrze jest, jak jest.

- Ale co się właściwie stało?

Starszy pan westchnął.

- No cóż, myślę, że ma pan prawo wiedzieć. Powiedziałbym zresztą o wszystkim jeszcze przed zaręczynami z Lauren, ale nie dał mi pan sposobności, bo dowiedziałem się o nich po fakcie. Miriam, moja córka, ani trochę nie przypominała Lauren. Zawsze była dla mnie i dla żony istnym utrapieniem. Wyszła za Whitleafa chyba tylko po to, żeby się od nas uwolnić, choć zgodziłem się na to małżeństwo. Zresztą zatrąła mu potem życie. Zakrawało wręcz na skandal, że poślubiła Wyatta ledwie w parę miesięcy po śmierci pierwszego męża! Jakimś jednak cudem ten mariaż dał Lauren dobry, solidny dom, gdzie od razu ją pokochano. Żadne z Kilboume'ów ani słowa nie pisało o jakichś dziedzicznych, złych skłonnościach.

Przez chwilę szli w milczeniu.

- Podróżowanie stało się dla Miriam i męża sposobem na życie - podjął baron. - Moja córka zawsze chciała zabrać Lauren do siebie, ale ja twardo odmawiałem, a Kilboume mi w tym sekundował. Nie była dobrą matką ani nie wiodła z mężem stosownego dla dziecka trybu życia. Za wsze dochodziły nas słuchy o ich dzikich wybrykach i rozpuszczeniu; przywozili je do kraju inni podróżnicy. Aż wreszcie, kiedy byli w Indiach, Miriam porzuciła męża dla bajecznie bogatego hinduskiego nababa i zażyła w jego pałacu, Wyatt zaś ruszył w dalszą podróż z jakąś Francuzką o podejrzaną reputację. Zmarł pięć lat później - to znaczy dziesięć lat temu - gdzieś w Ameryce Południowej. Kilboume nie nosił po nim żałoby głównie ze względu na Lauren. Nie chciał jej ranić wyjaśnieniami. Miała wtedy szesnaście lat, a to trudny wiek dla panienki.

. - Dobry Boże! A co się stało z panią Wyatt?

- Kiedy słyszałem o niej po raz ostatni, nadal żyła w Indiach, z jakimś urzędnikiem Kompanii Wschodnioindyjskiej. Pisuje raz czy dwa razy rocznie, zwykle do Lauren. Ona już dla mnie umarła, Ravensberg, i - nich to diabli! - powinna pozostać zmarłą także dla Lauren, jeśli mam w tej sprawie coś do powiedzenia!

- Kto ukrywa przed Lauren listy od matki? Pan czy Kilbourne? Czy pani Wyatt jeszcze żyje? Nie sądzi pan, że Lauren powinna poznać prawdę?

- Nie. Nie sądzę.

W oddali widać było już dom. Dla starszego pana, który na pewno prowadził mało aktywny tryb życia, był to długi i wyczerpujący spacer.

- Może - rzekł sucho - zdaje się panu, że źle wybrał sobie żonę. Po cóż było się tak spieszyć z zaręczynami? Ale, na Boga, niech ją pan szanuje, bo jeśli nie, to będzie pan miał ze mną do czynienia, póki jeszcze jestem na tym świecie!

-Niepotrzebnie się pan martwi. Kocham pańską wnuczkę. Skłamał bez zastanowienia. Czy to jednak było kłamstwo? Jego przywiązanie do Lauren wciąż rosło. Pół ostatniej nocy przeleżał bezsennie, myśląc o niej, żałując, że nie ma jej przy nim, zwiniętej w kłębek, ciepłej i śpiącej u jego boku. Jak w gajówce. Jak na wysepce. Nagle zrozumiał, że kiedy go opuści, na długo pozostanie po niej pustka w jego życiu. Myśl, żeby ją poślubić, stawała się coraz bardziej pociągająca, a konieczność przekonania o tym Lauren z każdą chwilą coraz bardziej nagła, obojętne, czy zaszła z nim w ciążę, czy nie. Jakże miał ją jednak przekonać, skoro największym darem, który mógł jej dać, jest wolność?

- Niech jej pan strzeże przed brudną prawdą - odezwał się baron - jak robiłem ja i Kilbourne'owie. Jeśli ją pan naprawdę kocha, nie wspomni pan ani słowem o tym, co stało się z jej matką. Będzie o wiele szczęśliwsza dzięki niewiedzy.

- Zrobię wszystko, żeby ją chronić.

Tylko że ona wcale nie była szczęśliwa. Wszyscy, których kochała, okłamywali ją. Starła się z całych sił być grzeczną i posłuszną, by ukryć bolesną prawdę, że matka jej nie chciała. Stała się doskonałą damą, pragnąc zjednać sobie uczucia przybranych krewnych, żeby i oni jej nie opuścili. Myślała, że dziadek woli oszczędzić sobie fatygi i dlatego nie bierze jej do siebie. Sądziła też - tym razem, jak się zdaje, słusznie - że rodzina ojca się jej wyrzekła.

Nie. Nie była wcale szczęśliwa. Nosila tę maskę przez lata. Tak długo, że nawet jej najbliżsi uznali maskę za jej prawdziwą twarz. Kit jest zapewne jedynym człowiekiem, który miał sposobność ujrzeć żywiolową, roześmianą, zmysłową, piękną kobietę - prawdziwą Lauren Edgeworth.

A jednak historia jej matki rzeczywiście była czymś brudnym. Zważywszy okoliczności, dziadek i Kilbourne'owie podjęli, być może, właściwą decyzję, zatajając przed Lauren fakty. Co będzie, jeśli dowie się, że jej matka wciąż żyje, tyle że jest, prawdę powiedziawszy, kobietą rozwiązłą? Że nigdy nie przestała pisywać do córki? Że chciała ją wziąć do siebie?

- Nie. - Kit znów się zatrzymał. Byli już całkiem blisko domu. - Nie mogę się z panem zgodzić. Lauren cierpi z powodu niewiedzy. Owszem, cierpiałaby również z powodu wiedzy. Może i należało przed nią tę wiedzę ukrywać i chronić ją jako damę wiodącą ciche, bezpieczne życie, tylko że ja w to nie wierzę. I uważam, że ma prawo poznać prawdę.

-A więc chce pan jej powiedzieć to, co mu wyjawilem w zaufaniu?  
-Baron nie krył gniewu.

- Sądzę, że zrobiłbym tak, gdybym nie miał innego wyboru. Powiedziałbym jej to po ślubie, a nie przed nim. Proszę jednak, niech to zrobi pan. Ona musi się tego dowiedzieć od pana. Powinien pan okazać jej zaufanie. Powinien pan ją wyzwolić.

- Wyzwolić? Od czego? - zachnął się baron. Już brał oddech, żeby powiedzieć coś jeszcze, lecz rozmyślił się i zamknął usta.

Bardzo pana proszę - rzekł cicho Kit.

## 19

Lauren spodziewała się co prawda, że dzień tuż przed urodzinami będzie bardzo pracowity, okazał się jednak tak brzemienny w wydarzenia, że później, wracając do niego myślami, nie mogła uwierzyć, że zdołało się to wszystko pomieścić w dwudziestu czterech godzinach.

Zaczęło się już po śniadaniu, gdy w prywatnym saloniku hrabiny obydwie mozoliły się, wypisując rozkład zajęć na dzień następny. Hrabia i hrabina chcieli oficjalnie powitać przybyłych po południu - w dodatku na świeżym powietrzu, jeśli pogoda dopisze - a także rozstrzygnąć spory zgłoszone ze wsi i pobliskiej okolicy miesiąc temu lub nawet wcześniej. Kit i Lauren zamierzali urządzać wyścigi dla dzieci. Hrabina chciała...

Rozległo się jednak pukanie i gdy hrabina zawołała, żeby wejść, w drzwiach stanęła ciotka Clara - gorąco zresztą przepraszając za najście - a za nią Lauren ujrzała Gwen.

- Proszę wybaczyć, lady Redfield, ale... - tu ciotka uniosła trzymany w prawej ręce list - ...wprost nie mogłam się doczekać, żeby powiadomić Lauren o nowinach!

Lauren zerwała się na nogi. Dostrzegła, że Gwen z trudem tłumi podniecenie, od razu też dojrzała herb w nagłówku - herb Portfreyów!

- Elizabeth urodziła zdrowego chłopca! - oznajmiła rozpromieniona ciotka, nim padły sobie w objęcia wśród śmiechów, łez i okrzyków.

- Księżna Portfrey? - spytała hrabina. - Cóż, dla takiej wiadomości warto przerwać pracę. Niechże panie siadają, każę przynieść dzbanek czekolady. Lauren pewnie aż się pali, żeby poznać każde zdanie tego listu, a jeśli ona nie, to ja z całą pewnością!

Księżę donosił, że jego syn i dziedzic przyszedł na świat wcześniej, niż się spodziewano, ale ma po dziesięć palców u rąk i nóg, potężne płuca

i wilczy apetyt. Elizabeth wróciła do sił po długim i ciężkim porodzie. A że i matce, i dziecku nie zaszkodzą już trudy podróży, chciał zabrać obydwójce do Newbury Abbey, żeby nowo narodzony markiz Watford mógł poznać Lily, swoją przyrodnią siostrę. Elizabeth zaś zostałaby u rodziny przez jeden lub dwa miesiące.

-Och, Lauren-zawołała Gwen, ściskając jej rękę-mama i ja musimy zaraz wracać do domu, żeby przygotować go na ich przyjazd. Nie będziemy zresztą miały wiele do roboty, bo Lily i Nev na pewno dopilnują wszystkiego. W końcu księżę jest ojcem Lily, a maleństwo jej przyrodnim bratem. No i Elizabeth to ciotka Neville'a tak samo, jak moja. Tylko że...  
-Uśmiechnęła się mimo łez w oczach.

- ...tylko że, oczywiście, chcecie tam być w chwili przyjazdu Portfreyów  
- dokończyła za nią hrabina. - To zupełnie zrozumiałe. Mam jednak nadzieję, że zostaniecie na jutrzejszym święcie?

- Za nic go nie opuścimy - zapewniła ciotka Clara - ale już pojutrze musimy ruszyć w drogę. Lauren, ty oczywiście zostaniesz i...

- Ależ oczywiście, że zostanie. - Hrabina położyła dłoń na jej kolanie.  
- Jakże ja sobie dotąd zdołałam radzić bez córki? Wprost nie mogę obejść się bez Lauren, lady Kilbourne, choć muszę jej w końcu pozwolić na powrót do Newbury, żeby przygotowała się do ślubu.

-Naturalnie - zgodziła się ciotka Clara i obie zaczęły rozprawiać o ślubach, Gwen zerkała na Lauren z uśmiechem, ona sama czuła się zaś jak najgorsza nędznica. Och, gdybyż podczas nieszczęsnego tete-a-tete w Vauxhall zdolna była do przytomnego myślenia!

Późnym rankiem, gdy wróciła ze starą hrabiną i lady Irene ze spaceru w rosarium, zobaczyła na tarasie Kita i dziadka, którzy najwyraźniej na nią czekali, obydwaj z poważnymi minami. Decyzja ciotki Clary o bliskim powrocie z Gwen do domu uświadomiła jej dobitnie, że wypełniła już swoje zadanie i nie powinna tu dłużej pozostawać. A jednak na widok Kita poczuła żal, wiedząc, że wkrótce odjedzie i więcej go nie zobaczy. Uśmiechnęła się jednak.

- Lauren, chodź z nami na mały spacer - odezwał się dziadek, gdy uprzejmie powitał obydwie starsze panie.

- Oczywiście, dziadku. - Wzięła jego ramię, patrząc badawczo na Kita, którego nieprzenikniona twarz nie wróżyła niczego dobrego.

Poszli w stronę stajni.

- Ciotka Clara dostała list od księcia Portfrey - oznajmiła.

- Owszem, słyszeliśmy.

Kit szedł bez słowa po jej drugiej stronie, z rękami założonymi z tyłu.

- Bałam się o Elizabeth, w jej wieku ciąża bywa niebezpieczna. A może sama w nią już zaszła? I co wtedy? Będzie musiała wyjść za Kita. A on będzie musiał się z nią ożenić.

Nadal szli w milczeniu, a gdy znaleźli się na trawniku za stajniami, skręcili w stronę jeziora.

- Co się stało? - spytała.

Dziadek odchrząknął.

- Lauren, byłaś szczęśliwa w Newbury, prawda? Dobrze cię tam traktowano? Hrabia i hrabina nigdy nie okazali ci niechęci ani nie kochali cię mniej od własnych dzieci?

- Dziadku... - spojrzała na niego zaintrygowana - przecież wiesz, że aż do ostatniego roku nie było inaczej, ale Neville naprawdę myślał, że Lily nie żyje! Za nic nie zraniłby mnie umyślnie. Czemu ty...

Baron jednak pogłodził ją tylko po rękę i znowu odchrząknął.

- Czy myślałaś kiedy o matce? Smuciło cię kiedykolwiek, że jej tam z tobą nie ma, że nigdy nie wróciła? Czy czułaś się przez nią porzucona?

-Dziadku...

- Powiedz, tak czy nie?

Najpierw chciała się wszystkiego zaprzeczyć, bo było to jej drugą naturą. Po cóż on jej w ogóle zadał takie pytanie? Tylko że miała już dość nieustannego zapierania się czegoś. I wielu innych rzeczy w jej życiu także.

- Tak. To odpowiedź na wszystkie twoje pytania.

Wciągnął gwałtownie dech, lecz zamiast coś powiedzieć, westchnął.

- A czy kiedykolwiek sądziłaś, że ja nie chcę cię wziąć do siebie?

Ach, czasami nie sposób powiedzieć prawdy, bo może sprawić ból.

- Byłeś już sam i miałeś swoje lata. Męczyłoby cię dziecko takie jak ja. Nie chcę cię oskarżać, nigdy zresztą nie chciałam. Zawsze wiedziałam, że mnie kochasz.

- Czasami ogromnie pragnęłam to zrobić. Kiedy cię odwiedzałam, marzyłam, żeby cię zabrać i żebyś mnie o to poprosiła, bo wtedy nie wyglądałbym na egoistę. Ale ty byłaś tam szczęśliwa, razem z innymi dziećmi.

- Dziadku...

- Czasami, kiedy dzieci są, ciche, posłuszne i grzeczne, można by uważać, że są też szczęśliwe. Niekiedy jednak takie wrażenie może mylić. Myliłam się, prawda?

- Ależ skąd! Ja naprawdę byłam szczęśliwa.

- Muszę powiedzieć ci coś o twojej matce...

Doszli już do brzegu jeziora. Teraz było tu spokojnie i pusto.

Stanęli tuż nad wodą. Nie trzymała już dziadka pod ramię. Kit stanął nieco dalej i oparł się o pień drzewa, lecz mógł wszystko słyszeć. Lauren ogarnął chłód i nagły strach.

- Co... co się z nią stało?

I wtedy jej powiedział.

Wiał lekki wietrzyk, zdolny jedynie zmarszczyć tafłę wody, która była przezrzysta jak kryształ. Po niebie płynęły chmury. Dziwne, jak może się zmienić kolor wody. I nieba.

Ktoś zabrał widocznie dzieci na spacer, bo gdzieś z daleka dochodziły ich okrzyki i śmiechy.

Kit nadal stał wsparty o drzewo, z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Dziadek odchrząknął, ale nic nie mówił. To Lauren przerwała milczenie.

- A więc ona żyje?

- Tak, żyje albo żyła jeszcze do niedawna.

- Pisała do mnie nawet po tym, jak usłyszałam o niej po raz ostatni? Miałam wtedy jedenaście lat.

- Lepiej było, żebyś uważała ją za zmarłą, Lauren. Kilbourne i ja zgadzaliśmy się co do tego.

- Chciała mnie zabrać, żebyśmy zamieszkała razem z nią?

- Było ci o wiele lepiej tam, gdzie zostałaś...

- A listy? - spytała gwałtownie. - Listy, dziadku? Zniszczyłeś je?

-Nie.

- Ciągle jeszcze je masz? Wszystkie jej listy pisane do mnie przez piętnaście lat?

- Trzydzieści dwa - odparł głucho. - Przechowałem je wszystkie. Żadnego nie otworzyłem.

Przyłożyła dłoń do ust i zacisnęła powieki. Myślała, że zemdleje, lecz nagle poczuła, że podtrzymują ją czyjeś mocne ręce.

- Najlepiej byłoby, gdyby pan wrócił do domu, sir - rozległ się głos Kita. - Ja się nią zajmę.

No, proszę - głos dziadka brzmiał oskarżycielsko - sam pan widzi, że to był niedobry pomysł. Niech pana licho porwie, Ravensberg!

-Nie, dziadku. Wcale nie - szepnęła, nie otwierając oczu.

Raczej poczuła, niż usłyszała, jak odchodzi. A wtedy Kit objął ją i przytulił. Wsparła głowę o jego ramię.

- Ona żyje.

Tak.

Chciała mnie wziąć ze sobą. Kochała mnie.

Tak..



-I nigdy nie przestała kochać.

- Nie przestała.

Zachwiała się, a on objął ją jeszcze mocniej. Kit -  
odezwała się - Kit.

- Tak, kochanie.

Wtedy zaczęła płakać. Długo, rozpaczliwie, gwałtownie. Wypłakiwała z siebie cały żal nad porzuconym, zranionym dzieckiem, nad dziewczynką, która zawsze czuła się samotna, choć na wszelkie sposoby okazywano jej miłość. Nad okrucieństwem tych, którzy ją kochali. Nad matką, która nie umarła i która kochała ją na tyle, by przez piętnaście lat napisać do niej trzydzieści dwa listy, nie otrzymując żadnej odpowiedzi. Która nigdy nie wróciła do domu. Która pędziła tryb życia niewybaczalny w dobrym angielskim towarzystwie.

Kit ogarnął ją ramionami i usiadł z nią na trawie. Posadził ją sobie na kolanach, kołysał opiekuńczo, szeptał do ucha słowa pocieszenia.

W końcu się uspokoiła. Słońce wyjrzało zza chmury, a refleksy jego blasku iskrzyły się na wodzie.

- Czy uważasz, że źle postąpiłem?

- Nie. - Wytarła nos i znów wsparła głowę na jego ramieniu. Kiedy siadali na trawie, zdjął jej kapelusz. - Ludzie, których kochamy, są zwykle silniejsi, niż nam się wydaje. Może natura miłości przejawia się właśnie w tym, że raczej pragniemy wziąć na siebie czyjeś cierpienie, niż pozwolić, by nękało ukochaną osobę. Czasem jednak ból bywa czymś lepszym niż pustka. A ja żyłam w pustce, Kit. Całe moje życie było puste. Co za paradoks - pełne pustki! - Pocałował ją w czoło. - To ty namówiłaś dziadka, prawda?

- Poradziłem mu, żeby ci powiedział.

- Dziękuję. - Przytuliła się do niego mocniej. - Och, Kit, dziękuję ci!  
Znowu pocałował ją w czoło, a kiedy uniosła ku niemu twarz, także i w usta.

- Wyglądam chyba jak straszycło.

Odsunął się i spojrzał na nią uważnie.

Dobry Boże, jeszcze jak! Muszę zebrać całą odwagę, żeby nie uciec z wrzaskiem do domu. Zaśmiała się.

- Ty wariacie!

Od tego śmiechu dorobię się z pewnością kurzych łapek, na długo zanim się zestarzeję, myślała. A był to dopiero początek tego niezwykłego dnia.

Następny dzień należało poświęcić gościom, ale dzisiejszy należał do rodziny. Sydnam rzucił pomysł pikniku na pagórku, w miejscu, gdzie kończył się park. Przyjęto go entuzjastycznie i natychmiast wprowadzono w czyn.

Matki małych dzieci pobiegły do pokoju dzieciennego, żeby przygotować do wyjścia swoje pociechy, a większość dorosłych poszła się przebrać. Sydnam pospieszył do stajni po kabriolet, udało mu się bowiem, wraz z całym chórem kuzynów, namówić babkę, żeby się do nich przyłączyła. Lauren i Marjorie Clifford udały się do kuchni, prosząc kucharkę, żeby dała się ubłagać i zrobiła im herbaty, a kilku lokajów - o zanieśienie jej na wzgórze.

Szczyt pagórka był najwyższym punktem parku i pozwalał podziwiać rozległą panoramę całej okolicy. Dlatego też projektant ogrodu i parku zdecydował, że nie będzie na nim ani drzew, ani pseudoantycznych budowli, które mogłyby zasłaniać widok. Wydrążył za to na zbocz, niedaleko wierzchołka, pieczarę pustelnika. Dzieci ją uwielbiały. Właśnie one pierwsze wspięły się na szczyt.

Wszystkim innym szło to dużo mozolniej. We wspinaczce uczestniczyła cała rodzina, bez żadnego wyjątku. Frederick i Roger Butlerowie wspólnymi siłami zanieśli babkę - mimo jej protestów - na sam wierzchołek, gdy tylko, przy pomocy innych, wysiadła z kabrioletu. Barry Clifford ustawił tam dla niej fotel, a Neli położyła na jego oparciu poduszkę. Lawrence Vreemont i Kit zrobili to samo z lady Irene, a fotel wymościł jej Claude i Daphne Willar. Obydwie stare bratowe siedziały więc jedna przy drugiej, niby bliźniacze królowe na dwóch tronach, jak to ujął Clarence Butler. Lauren osłoniła je parasolkami, a Gwen pomogła Marianne rozesać koce na trawie dla wszystkich dorosłych, którzy pragnęli usiąść i odpocząć.

Lauren, co nie uszło uwagi Kita, miała zaróżowione policzki i roziskrzzone oczy, wyglądała wyjątkowo ładnie. Kiedy wrócili znad jeziora, poszła do pokoju dziadka i pozostała tam aż do samego lunchu, na którym pojawiła się wsparta na jego ramieniu i promienniejsza niż kiedykolwiek.

Nie pozostało jednak zbyt wiele czasu na rozmowy czy odpoczynek. Dzieci, chętne do zabawy, wciągały do niej tych dorosłych, którzy nie mieli akurat nic innego do roboty. Wkrótce zaroilo się na wzgórzu od zbójców, krzyżowców, pogromców smoków, porwanych dziewic i rabusiów

zaczajonych w pieczarze. Za rumaki posłużyli im liczni starsi kuzynkowie, wujaszkwowie, a niekiedy nawet i tatusiowie.

Kit przez dobre pół godziny nosił wokół szczytu na barana nie tylko całą czeredą brzdąców, ale i kilka pań, póki starsze dzieci nie zmęczyły się zabawą. Lauren, Beatrice i Gwen dały się wciągnąć malcom do koła i kręciły się w nim razem z nimi, póki nie upadły na ziemię. Lauren zanośliła się śmiechem, gdy Anna, David i Sarah wskoczyli na nią, i ogarnęła ich ramionami, lecz matki upomniały ostro dzieci, bojąc się, że mogą zrobić jej niechcący krzywdę.

Dzieciarnia szybko oddała się innym grom. Mały Benjamin odkrył, że stok z tyłu pagórka jest przecięty w połowie szerokim, płaskim występem ciągnącym się aż do równiny w dole, na tyle długim, gładkim i porośniętym trawą, aby można się po nim wspaniale turlać. Z radosnym wrzaskiem dokonał więc pierwszej próby i wkrótce wszystkie wierzchowce w ludzkiej postaci zostały sromotnie porzucone na rzecz nowej, wspaniałej zabawy, odpowiedniej nawet dla najmniejszych.

Sarah podeszła do Lauren i pociągnęła ją energicznie za rękę. Uśmiechnięty Kit przyglądał się tej scenie z odległości kilku kroków. Lauren ze śmiechem pokręciła głową, lecz gdy David uczeplił się drugiej jej ręki, podeszła do stoku.

- No, jazda! - zachęcił ją Frederick, przerywając rozmowę z Gwendoline. Sebastian włożył dwa palce do buzi i gwizdnął, a Philip krzyknął głośno. Wszyscy spojrzeli w ich stronę. Lauren nadal się śmiała.

- No, pokaż, że jesteś zuchem! - zawołał Roger.

Zdjęła kapelusz, usiadła na trawie, a potem stoczyła się na sam dół, aż migał lekki muślin jej sukni, gołe ramiona i rozwiane ciemne loki. Kit nie mógł oderwać od niej oczu.

- Czy to naprawdę Lauren?! - wykrzyknęła Gwen, stojąca tuż obok. - Nie wierzę! Lordzie Ravensberg, błogosławię chwilę, w której pana poznała!

Lauren podniosła się z klęczek, strząsnęła z sukni żdźbła trawy i spojrziała w górę, wciąż się śmiejąc.

- Byłoby mi dużo łatwiej, gdyby ręce nie przeszkadzały!

Podobnie czuł się wtedy, w Hyde Parku, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Nareszcie z całą jasnością dotarło do niego, że ją kocha. Że jest w niej zakochany po same uszy.

Sydnam również przyglądał się zabawie.

- Ach, świetnie - zawołał wesoło - jeśli brak rąk ułatwia staczanie się w dół, to ja się doskonale do tego nadam! - I wśród entuzjastycznych okrzyków dzieci sturlał się na dół, lądując o kilka stóp od Lauren.

Kit zeszywniał, choć wokół rozległy się donośne oklaski, lecz gdy brat zdołał się podnieść i podał swoją jedyną dłoń Lauren, spojrział na niego. Syd się uśmiechał!

Wdrapali się obydwój na zbocze, podczas gdy dzieci oddawały się w najlepsze zabawie, a dorośli zaczęli rozglądać się za herbatą. Stanęli przed Kitem, wciąż trzymając się za ręce. Nadeszła niełatwa chwila.

- Muszę ci się przyznać - Sydnam mówił tak cicho, że tylko Kit i Lauren zdołali go usłyszeć - że cię okłamałem. Kiedy tamtej nocy po twoim powrocie mówiłem, że nie potrzebuję twojej miłości, to było łgarstwo.

Kit milczał, bojąc się, że skurcz w gardle przerodzi się we łzy.

- Rozumiem - wykrztusił - i cieszy mnie to.

Dlaczego jednak Syd trzyma Lauren za rękę? Puścił ją właśnie w chwili, gdy Kit zaczął się temu dziwić, uśmiechnął się nieśmiało i zamierzał odejść.

- Syd-rzekł pospiesznie Kit-ja... ja...

Lauren, która w niczym nie przypominała dawnej, nieskazitelnej panny Edgeworth - bez kapelusza i z potarganymi włosami - jedną ręką objęła Syda, drugą Kita i wszyscy troje oddalili się od foteli, koców i rozbrykanej dzieciarni.

- Myślę o czymś, co Lauren powiedziała mi dziś rano - zaczął Kit. - Ludzie, których kochamy, są zwykle silniejsi, niż nam się zdaje. Ty jesteś właśnie taki, prawda? I Bóg mi świadkiem, kocham cię.

- Tak.

-I niepotrzebnie upokorzyłem cię tamtego wieczoru, kiedy Catherine chciała zatańczyć z tobą walca. -Tak.

- Myślę też, że źle postępowałem, i to wiele razy, wobec ojca, matki, przyjaciół i sąsiadów.

- Tak. Ale najgorzej obszedłeś się ze sobą, Kit.

Nie zeszli w dół po stoku, tylko stali, patrząc na pola w dole i na pastwiska.

- Jesteś artystą, Syd. - Znów poczuł bolesny ucisk w gardle. Znowu ta sama bezsilna litość. - A tymczasem skazałeś się na los rządcy.

- Tak. Niełatwo mi się z tym pogodzić i może nigdy temu nie sprostam. Nawet jako doskonały rządcą będę może żałował, że nie mogę malować. Ale to moja sprawa, moje ciało i moje życie. To ja będę musiał się z tym wszystkim uporać. Już i tak zrobiłem spore postępy. Proszę cię tylko o jedno: nie współczuj, tylko po prostu kochaj.

Lauren wciąż obejmowała ich obydwu. Jedną rękę wsunęła w dłoń Kita i splotła palce z jego palcami.











Następny dzień należało poświęcić gościom, ale dzisiejszy należał do rodziny. Sydnam rzucił pomysł pikniku na pagórku, w miejscu, gdzie kończył się park. Przyjęto go entuzjastycznie i natychmiast wprowadzono w czyn.

Matki małych dzieci pobiegły do pokoju dzieciennego, żeby przygotować do wyjścia swoje pociechy, a większość dorosłych poszła się przebrać. Sydnam pospieszył do stajni po kabriolet, udało mu się bowiem, wraz z całym chórem kuzynów, namówić babkę, żeby się do nich przyłączyła. Lauren i Marjorie Clifford udały się do kuchni, prosząc kucharkę, żeby dała się ubłagać i zrobiła im herbaty, a kilku lokajów - o zanieśienie jej na wzgórze.

Szczyt pagórka był najwyższym punktem parku i pozwalał podziwiać rozległą panoramę całej okolicy. Dlatego też projektant ogrodu i parku zdecydował, że nie będzie na nim ani drzew, ani pseudoantycznych budowli, które mogłyby zasłaniać widok. Wydrążył za to na zboczach, niedaleko wierzchołka, pieczarę pustelnika. Dzieci ją uwielbiały. Właśnie one pierwsze wspięły się na szczyt.

Wszystkim innym szło to dużo mozolniej. We wspinaczce uczestniczyła cała rodzina, bez żadnego wyjątku. Frederick i Roger Butlerowie wspólnymi siłami zanieśli babkę - mimo jej protestów - na sam wierzchołek, gdy tylko, przy pomocy innych, wysiadła z kabrioletu. Barry Clifford ustawił tam dla niej fotel, a Neli położyła na jego oparciu poduszkę. Lawrence Vreemont i Kit zrobili to samo z lady Irenej, a fotel wymościł jej Claude i Daphne Willar. Obydwie stare bratowe siedziały więc jedna przy drugiej, niby bliźniacze królowe na dwóch tronach, jak to ujął Clarence Butler. Lauren osłoniła je parasolkami, a Gwen pomogła Marianne rozesać koce na trawie dla wszystkich dorosłych, którzy pragnęli usiąść i odpocząć.

Lauren, co nie uszło uwagi Kita, miała zaróżowione policzki i roziskrzone oczy, wyglądała wyjątkowo ładnie. Kiedy wrócili z jeziora, poszła do pokoju dziadka i pozostała tam aż do samego lunchu, na którym pojawiła się wsparta na jego ramieniu i promienniejsza niż kiedykolwiek.

Nie pozostało jednak zbyt wiele czasu na rozmowy czy odpoczynek. Dzieci, chętne do zabawy, wciągały do niej tych dorosłych, którzy nie mieli akurat nic innego do roboty. Wkrótce zaroilo się na wzgórzu od zbójców, krzyżowców, pogromców smoków, porwanych dziewic i rabusiów

zaczajonych w pieczarze. Za rumaki posłużyli im liczni starsi kuzynkowie, wujaszkwowie, a niekiedy nawet i tatusiowie.

Kit przez dobre pół godziny nosił wokół szczytu na barana nie tylko całą czeredą brzdąców, ale i kilka pań, póki starsze dzieci nie zmęczyły się zabawą. Lauren, Beatrice i Gwen dały się wciągnąć malcom do koła i kręciły się w nim razem z nimi, póki nie upadły na ziemię. Lauren zanośiła się śmiechem, gdy Anna, David i Sarah wskoczyli na nią, i ogarnęła ich ramionami, lecz matki upomniały ostro dzieci, bojąc się, że mogą zrobić jej niechcący krzywdę.

Dzieciarnia szybko oddała się innym grom. Mały Benjamin odkrył, że stok z tyłu pagórka jest przecięty w połowie szerokim, płaskim występem ciągnącym się aż do równiny w dole, na tyle długim, gładkim i porośniętym trawą, aby można się po nim wspaniale turlać. Z radosnym wrzaskiem dokonał więc pierwszej próby i wkrótce wszystkie wierzchowce w ludzkiej postaci zostały sromotnie porzucone na rzecz nowej, wspaniałej zabawy, odpowiedniej nawet dla najmniejszych.

Sarah podeszła do Lauren i pociągnęła ją energicznie za rękę. Uśmiechnięty Kit przyglądał się tej scenie z odległości kilku kroków. Lauren ze śmiechem pokręciła głową, lecz gdy David uczeplił się drugiej jej ręki, podeszła do stoku.

- No, jazda! - zachęcił ją Frederick, przerywając rozmowę z Gwendoline. Sebastian włożył dwa palce do buzi i gwizdnął, a Philip krzyknął głośno. Wszyscy spojrzeli w ich stronę. Lauren nadal się śmiała.

- No, pokaż, że jesteś zuchem! - zawołał Roger.

Zdjęła kapelusz, usiadła na trawie, a potem stoczyła się na sam dół, aż migał lekki muślin jej sukni, gołe ramiona i rozwiane ciemne loki. Kit nie mógł oderwać od niej oczu.

- Czy to naprawdę Lauren?! - wykrzyknęła Gwen, stojąca tuż obok. - Nie wierzę! Lordzie Ravensberg, błogosławię chwilę, w której pana poznała!

Lauren podniosła się z klęczek, strząsnęła z sukni żdźbła trawy i spojrziała w górę, wciąż się śmiejąc.

- Byłoby mi dużo łatwiej, gdyby ręce nie przeszkadzały!

Podobnie czuł się wtedy, w Hyde Parku, kiedy zobaczył japo raz pierwszy. Nareszcie z całą jasnością dotarło do niego, że jąkocha. Że jest w niej zakochany po same uszy.

Sydnam również przyglądał się zabawie.

- Ach, świetnie - zawołał wesoło - jeśli brak rąk ułatwia staczanie się w dół, to ja się doskonale do tego nadam! - I wśród entuzjastycznych okrzyków dzieci sturlał się na dół, lądując o kilka stóp od Lauren.

Kit zeszywniał, choć wokół rozległy się donośne oklaski, lecz gdy brat zdołał się podnieść i podał swoją jedyną dłoń Lauren, spojrział na niego. Syd się uśmiechał!

Wdrapali się obydwój na zbocze, podczas gdy dzieci oddawały się w najlepsze zabawie, a dorośli zaczęli rozglądać się za herbatą. Stanęli przed Kitem, wciąż trzymając się za ręce. Nadeszła niełatwa chwila.

- Muszę ci się przyznać - Sydnam mówił tak cicho, że tylko Kit i Lauren zdołali go usłyszeć - że cię okłamałem. Kiedy tamtej nocy po twoim powrocie mówiłem, że nie potrzebuję twojej miłości, to było łgarstwo.

Kit milczał, bojąc się, że skurcz w gardle przerodzi się we łzy.

- Rozumiem - wykrztusił - i cieszy mnie to.

Dlaczego jednak Syd trzyma Lauren za rękę? Puścił ją właśnie w chwili, gdy Kit zaczął się temu dziwić, uśmiechnął się nieśmiało i zamierzał odejść.

- Syd-rzekł pospiesznie Kit-ja... ja...

Lauren, która w niczym nie przypominała dawnej, nieskazitelnej panny Edgeworth - bez kapelusza i z potarganymi włosami - jedną ręką objęła Syda, drugą Kita i wszyscy troje oddalili się od foteli, koców i rozbrykanej dzieciarni.

- Myślę o czymś, co Lauren powiedziała mi dziś rano - zaczął Kit. - Ludzie, których kochamy, są zwykle silniejsi, niż nam się zdaje. Ty jesteś właśnie taki, prawda? I Bóg mi świadkiem, Kocham cię.

- Tak.

-1 niepotrzebnie upokorzyłem cię tamtego wieczoru, kiedy Catherine chciała zatańczyć z tobą walca. -Tak.

- Myślę też, że źle postępowałem, i to wiele razy, wobec ojca, matki, przyjaciół i sąsiadów.

- Tak. Ale najgorzej obszedłeś się ze sobą, Kit.

Nie zeszli w dół po stoku, tylko stali, patrząc na pola w dole i na pastwiska.

- Jesteś artystą, Syd. - Znów poczuł bolesny ucisk w gardle. Znowu ta sama bezsilna litość. - A tymczasem skazałeś się na los rządcy.

- Tak. Niełatwo mi się z tym pogodzić i może nigdy temu nie sprostam. Nawet jako doskonały rządcą będę może żałował, że nie mogę malować. Ale to moja sprawa, moje ciało i moje życie. To ja będę musiał się z tym wszystkim uporać. Już i tak zrobiłem spore postępy. Proszę cię tylko o jedno: nie współczuj, tylko po prostu kochaj.

Lauren wciąż obejmowała ich obydwu. Jedną rękę wsunęła w dłoń Kita i spłótła palce z jego palcami.

- Nie mogą sobie przebaczyć. Nie mogę, Syd. Nigdy nie powinienem był znaleźć się na Półwyspie i brać udziału w misji. To moja nieostrożność sprawiła, że wpadliśmy w pułapkę. A potem zostawiłem cię... i uciekłem. Nie mów mi, że twoje życie nie powinno mnie obchodzić. Musi mnie obchodzić. Skazałem cię na kalectwo, a sam wyszedłem z tego cało.

- Wiem, jak cierpisz. Uwłaczałoby mi, gdybym nie zdawał sobie z tego sprawy. Kit, przecież ja chciałem zostać oficerem zwiadowczym, a zasadzki nie można było przewidzieć. No i dobrowolnie podjąłem się roli kozła ofiarnego. Jasne, że przeszedłem prawdziwe piekło - ciągnął Syd.  
- Tylko że ja byłem dumny z siebie, Kit. Wreszcie zdołałem dorównać tobie i Hieronimowi, a może nawet was przewyższyłem. W przyływie próżności sądziłem, że ty też będziesz ze mnie dumny i spodziewałem się, że po przyjeździe do domu powiesz to każdemu. Myślałem, że będziesz wychwalał moją odwagę i wytrwałość. Byłem beznadziejnym pyszałkiem.

- A tymczasem ja cię nie doceniłem, wziąłem całą winę na siebie i tym samym znalazłem się w centrum uwagi, a z ciebie zrobiłem ofiarę.

- Tak.

- Ależ zawsze byłem z ciebie dumny. Zawsze! Nie musiałeś mi niczego udowadniać, Syd. Przecież jesteś moim bratem.

Nadal stali, patrząc na dwór w oddali. Czuli lekki wietrzyk na plecach, dolatywał do nich wesoły gwar i śmiechy.

- A ty, Lauren - Kit zaśmiał się cicho - co jeszcze mi powiedziałaś dziś rano? Że natura miłości przejawia się raczej w chęci wzięcia na swoje barki cierpienie ukochanej osoby niż pozwolenia, by ona cierpiała. W pewnym sensie, Syd, przypadł mi w udziale los równie trudny, jak twój. Może będziesz myślał, że ci uwłaczam, ale tak wygląda prawda.

- Tak, wiem - przyznał brat. - Zawsze cieszyłem się, że to nie ja musiałem uciekać. Tak, łatwiej jest cierpieć samemu niż patrzeć na cudze cierpienie.

- Nie wiem, jak wy - odezwała się Lauren po krótkiej przerwie - ale ja umieram z głodu.

Kit spojrział na nią rozbawiony i podchwycił spojrzenie Syda. Czyżby on sam miał równie zakłopotaną minę?

- Chodźmy, Syd, pokaż, jak wspaniale potrafisz radzić sobie przy jedzeniu jedną ręką, i to lewą!

- Jeśli nawet zabrudzają sobie przy tym, trudno. Nielatwo umyć ręce, kiedy ma się tylko jedną.

Kit ścisnął mocno palce Lauren, błogosławiąc w myśli chwilą, kiedy po pocałunku z mleczką uniósł głowę i napotkał jej zgorzone i dumne spojrzenie.

Drżał na myśl o tym, co będzie, jeśli zerwie zaręczyny, tak jak obiecała.

## 20

Lauren stała, wciąż jeszcze w nocnej koszuli, przy oknie sypialni. Zapowiadał się piękny dzień. Nieba nie przesłaniała najmniejsza nawet chmurka, gałęziami nie poruszał najlżejszy wietrzyk. Plany obmyślane na wypadek złej pogody okazały się zupełnie niepotrzebne. Wydawało się, że nic nie zakłóci urodzinowych obchodów.

Ciotka Clara i Gwen wracały następnego dnia do Newbury. Dziadek też zdecydował się na powrót do Yorkshire. Miał przesłać listy matki Lauren do Newbury przez posłańca.

Przybyła tu, żeby pomóc Kitowi uwolnić się od narzuconego mu związku. Dokonała tego. Chciała pogodzić go z rodziną, udało się również i to. Zdążyła uporać się ze wszystkim jeszcze przed urodzinami i była pewna, że Kit będzie świętował je szczęśliwie wraz z bliskimi. Nie ma tu już nic do roboty.

Przeżyła swoją małą przygodę, zaznała smaku prawdziwego życia -takiego, jakie wiedli wszyscy, którzy nie musieli tłumić w sobie swobody ani radości. Kąpała się i pływała nago w jeziorze, wspinała się na wysokie drzewa, ściagała się konno, bawiła z dziećmi i staczała po stoku wzgórze. Ale to było niczym w porównaniu z nocą spędzoną z Kitem w gajówce. Oddała mu się w galerii, a po raz drugi na wysepce. Jakże to wszystko krótko trwało.

Czyjeś śmiechy i głosy kazały jej podejść bliżej okna i spojrzeć w dół. To Philip i Penelope Willard wraz z Crispinem i Marianne Butler wyruszyli na poranny spacer.

Zaczynał się jej ostatni dzień w tym domu.

Nic więcej już jej nie czeka, a zresztą i tak przeżyła za wiele. Nie należy odwlekać tego, co nieuniknione. Jutro odjedzie z ciotką Clarą i Gwen, choć aż do dzisiaj nikomu o tym nie powiedziała. Jeśli nie odjedzie, zostanie tu na zawsze, a to byłoby niehonorowe.

Nie miała się czego chwycić. Przedtem jedyną jej nadzieją," której trzymała się kurczowo, było małżeństwo z Neville'em. Potem już tylko dryfowała po rozległym, mrocznym i groźnym oceanie, przerażona jego pustką. Nie mogła się też uchwycić szansy pozostania w Alvesley, mimo że -z czego zdawała sobie sprawę - honor nakazywałby Kitowi zachęcać ją do tego. Widziała wprawdzie, że bardzo się do niej przywiązał, lecz nie uchwyci się ani jego, ani nikogo innego. Chce i może żyć sama.

Nikt już nie złamie jej serca. Znajdzie w sobie dość siły, żeby iść przez życie samotnie.

Nauczyła się tu czegoś, co miało bezgraniczną wartość i winna jest Kitowi wdzięczność. Była to nauka prosta, a zarazem głęboka: świat, który ostatnio odkryła, jej świat, nie rozpadnie się, gdy ona, Lauren Edgeworth, głośno się roześmieje.

Odwróciła się, słysząc ciche pukanie do drzwi: to służąca przynosiła jej filizankę porannej czekolady.

Ranek, który miał być poświęcony wyłącznie rodzinie, okazał się przysłowiową ciszą przed burzą. Wszyscy udali się do wiejskiego kościoła na nabożeństwo. Zgodnie z planem, babka powinna wrócić potem do domu w pierwszym z powozów, żeby wypoczywać przez kilka godzin przed popołudniowymi uroczystościami.

Tymczasem jej powrót opóźnił się prawie o pół godziny, ponieważ cała wieś wyległa przed domy stojące wzdłuż drogi do kościoła, żeby pozdrowić swoją hrabinę, złożyć jej wyrazy uszanowania i obrzucić płatkami kwiatów. Babka zaś, choć i tak miała ich wszystkich zobaczyć wieczorem, nalegała co chwila, żeby się zatrzymać, i gawędziła z niektórymi -co z jej strony było nie lada wyczynem - a także rzucała monety dzieciom.

Wreszcie jednak odjechała wraz z lady Irene. Długi sznur powozów, powozików i kariolek z resztą rodziny ruszył za nią.

Kit wziął Lauren za łokieć.

- Chcesz wrócić do domu pieszo?

- Gdzież tam. - Zwróciła ku niemu uśmiechniętą twarz. Kapelusz i wstążki zdobiące jej lekką, muślinową suknię były dziś fiołkowe, pod kolor oczu. Wyglądała prześlicznie.

-Ale ja chciałbym ci coś pokazać.

Poprzedniego dnia zasiedział się z ojcem do późnej nocy. Syd tym razem również usadowił się w oknie wykuszowym i milczał przez większą część rozmowy. Kit przeproszał za swoje zachowanie sprzed trzech lat.

- Lepiej o tym zapomnieć - orzekł ojciec. - Było, minęło.

Kit jednak nie zgodził się i zaczęli rozmawiać, z początku niepewnie, potem coraz swobodniej.

- Tak, przepędziłem cię z domu - powiedział w pewnej chwili ojciec -ale nie mówiłem wcale, że na zawsze. Nigdy nie użyłem też słowa „wygnanie”. To ty tak to rozumiałeś. Choć nie martwiło mnie to. Byłem uparty jak osioł. Zresztą odziedziczyłeś po mnie tę cechę, synu. Nie pisałeś do nas; matka chciała, żebym ja zrobił to pierwszy, Hieronim też, ale ja się zawniłem. Oni, rzecz jasna, ani myśleli chwytąć za pióro. Jakąż bandą głupców się okazaliśmy! Wszyscy. Ty także. Kłótnie rodzinne są najgorsze ze wszystkich, ciągną się bez końca.

- Hieronim chciał, żebyś do mnie napisał?

Hieronim przez kilka lat nadszakał Frei, przynajmniej tak mogło się wydawać. Były to jednak błahe umizgi i żadnej ze stron nie spieszyło się do ołtarza. Wtedy właśnie wrócił Kit, skłócony z całym światem, a najbardziej ze sobą samym. Bliscy bezsilnie patrzyli na jego romans z Freją, który według nich nie miał nic wspólnego z miłością. Hieronim, zaniepokojony, udał się do Bewcastle'a, żeby rozmówić się z nim i z dziewczyną. Przy obiedzie oznajmił o swoich zaręczynach, co skończyło się bójką Kita z nim, a potem z Rannulfem.

- Nigdy cię nie oskarżał ani nie miał do ciebie żalu - mówił hrabia. - Zły był tylko na siebie. Uważał, że źle postąpił. Narzekał później, że po winien był najpierw spróbować wytłumaczyć ci wszystko i pomówić jak brat z bratem. Tylko że z tobą wtedy mówić się nie dało. Po twoim wyjeździe odłożył ślub. Chciał, żebyś wrócił. Chciał się z tobą pogodzić. Chciał, żebyś sam zrozumiał, że to nie jest kobieta dla ciebie. Żądał, żebym napisał to w liście. A tymczasem ja się zawniłem.

- A więc - mruknął Kit - wszystko przyszło nie w porę.

-Tak.

- On cię nigdy nie przestał kochać, Kit - przemówił po raz pierwszy Syd. - Inni zresztą też. Przestań wreszcie znęcać się nad samym sobą. Za długo to już trwa.



Kit od lat nie był w rodzinnej kwaterze przykościelnego cmentarza. Przedtem często przychodził na grób dziadka, którego bardzo kochał. Ostatnim razem był tam jako osiemnastolatek, kiedy zamierzał wstąpić do wojska.

- Leżą tu wszyscy moi przodkowie - opowiadał Lauren, prowadząc ją dróżką biegnącą między dwoma niskimi, starannie przystrzyżonymi ży wopłotami, które dzieliły cmentarz na dwie części. - Nie byłem tutaj od jedenastu lat.

Od razu odnalazł grób dziadka. Na marmurowej płycie leżały świeże róże - babka przyjechała tu po wczorajszym pikniku z obydwoma synami i córką. Róże w wazonie stały także na innej płycie, której przed jedenastu laty jeszcze nie było. Kit zbliżył się do niej i przystanął, odczytując napis na kamieniu nagrobnym. Rzuciły mu się w oczy tylko dwa słowa:

**HIERONIM BUTLER**

Trzymali się z Lauren za ręce, splatając ciasno palce. Czy jej zbyt boleśnie nie ścisnął? Oswobodził dłoń i objął ostrożnie jej ramiona.

-Mój brat...

- Tak.

-Kochałem go.

- Wiem.

Bał się, że powróci gorzki żal, że nie zdołał się z nim pogodzić przed jego śmiercią. Wiedział jednak, że to nie jest ważne. Miłość nie ginie z powodu jednej kłótni, a żadna kłótnia nie może przekreślić tego, co ją poprzedzało. Wszyscy trzej - Hieronim, Kit i Syd - byli sobie tak bliscy. Razem się bawili, razem bili i śmiali. Byli braćmi i pozostali braćmi.

- Zawsze mi docinał, kiedy przyjeżdżałem na urlop do domu, i musiał wysłuchiwać, ile to razy wyróżniono mnie w raportach. Gdy tylko nie było w pobliżu matki, powtarzał, że powinienem umrzeć śmiercią boha tera, bo wtedy nic by po mnie nie zostało. Nie mogłem tego ścierpieć. Ależ by się śmiał, gdyby wiedział, że właśnie jemu pisana była bohater ska śmierć. Żegnaj, bracie. Spoczywaj w pokoju.

Zapieкло go pod powiekami.

Już po wszystkim, teraz może pójść swoją drogą. Zdarzało mu się robić rzeczy szalone, a nawet złe, ale czy tylko jemu? Spróbuje być lepszy. To wszystko, co może zrobić.

Nagle poczuł się najszcześniejszym z ludzi.

- Chodźmy do domu.

- Chodźmy.

Wziął Lauren za rękę i ruszyli ścieżką do bramy.



Po południu do dworu zjechali się tłumnie przyjaciele, sąsiedzi, farme-  
rzy, wyrobnicy i wieśniacy. W ogrodzie rozpoczęło się przyjęcie.

Kiedy hrabia i hrabina przestali podziwiać ręczne robótki, ciasta i wy-  
roby z drewna przyniesione w prezencie, a babka wysłuchiwała wierszy na  
swoją cześć (odmawiając jednak ich oceny) - Lauren i Kit urządzili za-  
wody i inne gry zręcznościowe.

Były więc biegi, wyścigi w workach, trzynożne gonitwy\* dla wszyst-  
kich dzieci i walki na kije do krykieta oraz kule dla chłopców, a także na  
drewniane polana dla młodzieńców. Strzelano również z łuku. Wygrała  
jedyna uczestniczka płci żeńskiej, Morgan Bedwyn, która przyjechała do  
Alvesley z Alleyne'em. Oznajmiła jednak wyniośle, że na wieczornym  
balu nie zostanie, ponieważ książę Bewcastle z istic barbarzyńskim upo-  
rem sprzeciwił się temu. Uznał, że jako szesnastolatka jest jeszcze za  
młoda na bale. Kiedy Alleyne zaśmiał się, słysząc to wyjaśnienie, Mor-  
gan zagroziła, że strzeli mu z łuku między oczy.

Kiedy skończyły się gry, wszystkich poczęstowano herbatą, a Lauren  
krążyła wśród gości z tacą i niemal dla każdego miała miłe słowo. Zgrzała  
się jednak i zmęczyła. Czy nie zabraknie jej siły na wieczorne tańce?

Hrabia po wyjściu ostatniego z gości rzucił pomysł, żeby wszyscy po-  
szli wypocząć. Głośnym dzwonkiem miano dać sygnał, że już czas wstać  
i ubrać się na obiad i bal.

- Pójdiesz się przejść? - spytał Kit, biorąc ją za rękę.

Spacer był ostatnią rzeczą, której życzyłaby sobie w tej chwili. Spę-  
działa swój ostatni dzień w Alvesley. Czuła paniczny lęk na myśl, że mo-  
głaby tu zostać dłużej. Ma tak mało czasu... Tylko ten wieczór i resztę  
popołudnia.

A jednak zgodziła się. Z uśmiechem.

Nie odeszli daleko. Z początku, gdy skierował się w stronę jeziora,  
pomyślała, że chce znów zabrać ją na wysepkę. Czyżby mieli się tam  
kochać jeszcze jeden raz? Choć jakaś jej częśćka pragnęła tego szczerze,  
nie zmartwiła się, gdy zaprowadził ją tam, gdzie stali wczoraj z Sydem.  
Słońce zeszło już nisko i drzewa rzucały cień na brzeg.

Och, cóż to był za dzień! -jęknęła, siadając na trawie koło Kita.

-Mam nadzieję, że nie zmęczył znanadto twojej babki.

*\* Biegi, w których każdy z ich uczestników ma jedną nogę przywiązaną do nogi swego  
partnera (przyp. tłum.).*

- Bawiła się doskonale. - Kit położył się na plecach i przymknął oczy. Lauren zdjęła kapelusz i wyciągnęła się przy nim. Poszukała jego ręki. Jakże naturalny wydał się jej teraz ten wspólny wypoczynek, pełen zwykłych, drobnych, serdecznych gestów. I jaki krzepiący.

Żadne z nich nie było skore do rozmowy. Może po raz ostatni są razem? Lauren chciała utrwalić tę chwilę w pamięci, tak żeby w przyszłości mogła ją przywołać. Nie od razu jednak, bo wspomnienie krótkiego lata, kiedy żyła pełnią życia, będzie jej chyba długo sprawiało ból. Nieprędko zdoła spokojnie wspominać rozleniwiający upał, chłodną, sprężystą trawę, zapach kwiatów, brzęczenie owadów, ciepło jego dłoni.

Zasnęła.

Usiłowała strząsnąć mrówkę lub też coś innego, co pełzło po jej nosie i chciało ją obudzić, na co wcale nie miała ochoty. Uparty owad nie chciał jednak odlecieć. Strzepnęła go gwałtownie, a wtedy ktoś koło niej zaśmiał się cicho i pocałował ją w usta.

- Ach, to ty! - mruknęła sennie, widząc długie źdźbło trawy w jego ręce. - Ty wstręciuchu!

- Wstawaj, czas na bal, Śpiąca Królowno!

- Nie królowna, tylko Kopciuszek! - Zamknęła oczy. - To inna bajka! Śpiąca Królowna nie chodziła na bale i spała sobie przez całe sto lat.

- Jak w takim razie spotkała królewicza, który zbudził ją pocałunkiem?

Otworzyła oczy i znów się uśmiechnęła.

- Czy ja naprawdę spałam?

- Chrapałaś tak strasznie, że nie mogłem zmrużyć oka.

- Daj spokój. - Ziewnęła. Na chwilę zapomniała, że to jej ostatni dzień w Alvesley.

- Lauren... chciałbym, żebyśmy ustalili termin ślubu.

Obudziła się na dobre.

- Nie, Kit.

- Dlaczego? - Uniosła dłoń, żeby odgarnąć pasmo włosów z czoła. - Tego nie było w naszej umowie.

- Do diabła z umową!

- Nie mów tak. To nieładnie.

- Najmocniej przepraszam, madame. Uśmiechnął się szelmowsko. - W umowie nie było też ani słowa o... innych rzeczach, które przecież zrobiliśmy. Musimy się pobrać. Możesz przecież być w ciąży.

- Mam nadzieję, że nie. A ślub zepsułby wszystko. Kit, myślę, że zdarzyło mi się coś cudownego i niepowtarzalnego. Daliśmy sobie wolność. Uwolniliśmy się nie tylko od tego, co narzucali nam inni, ale od wszyst-

kiego, co stało nam na drodze do szczęścia - tobie przez lata, a mnie przez całe życie. Nie musimy się w nic wikłać, możemy rozwinąć skrzydła.

Spojrzał na nią oczami pozbawionymi wyrazu.

-Naprawdę sądzisz, że znaleźliśmy wolność każde z osobna? Że małżeństwo byłoby pułapką?

Owszem, tak właśnie sądziła, przynajmniej jeśli chodziło o rozum. Serce to co innego. Serce nie zawierało żadnej umowy. A wyjaśnianie, że serdeczna czułość nie wystarczy do małżeństwa, byłoby nie w porządku. Kiedyś taka czułość może by jej wystarczyła, tylko że Kit nie był Neville'em. Nie był kimś, z kim dorastała. Kit był... inny. Serdeczna czułość to za mało dla niego, zwłaszcza że z jego strony wchodziło w grę coś znacznie silniejszego.

- Naprawdę tak sądzę - powiedziała, zmuszając się, żeby spojrzeć mu prosto w oczy. - Pamiętasz naszą umowę? Zaręczyny miały wyglądać na prawdziwe. Byłeś na tyle rycerski, że chciałeś mnie przekonać, żebym nie ja je zerwała, że to zakrawałoby na farsę. Miałam to zrobić dopiero we właściwym czasie.

- Jeszcze nie teraz! - rzekł pośpiesznie.

Już nabierała tchu, żeby powiedzieć, że jutro wyjeżdża, ale zrezygnowała.

- Dobrze. Jeszcze nie teraz - zgodziła się cicho, a on znowu położył się w trawie.

Mimo że nie odwróciła głowy, wiedziała, że patrzy w tej chwili w niebo, podobnie jak ona, i że już ani nie zaśnie, ani nie zazna spokoju. Leżeli jeszcze długo, zanim Kit podniósł się bez słowa i podał jej rękę.

## 21

Po obiedzie Lauren stanęła wraz z Kitem, hrabią i hrabiną w drzwiach sali balowej, witając gości. Babka zasiadła w wygodnym fotelu obstawionym z trzech stron kwiatami, w swojej prywatnej altanie, jak się na jego widok wyraziła. W nim też przyjmowała życzenia i pocałunki od każdego, kto przybył z prezentem.

Lauren po powrocie nad jeziora nie odpoczęła ani chwili. Po kąpeli, ubraniu się i uczesaniu spadł na nią obowiązek pomagania hrabinie przy dekoracji, nad którą służba mozoliła się przez całe popołudnie. Sala balowa

wyglądała jak prawdziwy ogród. To Lauren podsunęła pomysł, żeby ograniczyć kolory do różnych odcieni różu, fioletu i bieli. Oczywiście była i zieleń, tak często lekceważona przy układaniu kwiatów. Lauren miała ogromne wyczucie koloru i formy, co hrabina przyznała z wyraźnym uznaniem.

Nie było tu tłoku częstego na balach londyńskich, lecz goście przybyli licznie, nim jeszcze rozpoczęły się tańce. Nie nosili może tak modnych strojów jak w stolicy i nie byli obwieszani kosztowną biżuterią, lecz ubrali się, w co mieli najlepszego, wyglądając barwnie i odświeżenie. Lauren zdecydowanie bardziej podobały się zabawy na wsi niż w mieście. Kit, na jej prośbę, wprowadził ją na środek sali, dając sygnał, że bal się rozpoczął.

Lauren nosiła tę samą suknię, którą miała na sobie podczas balu u lady Mannering. Świadomie wybrała właśnie ją: tańczyła w niej z Kitem po raz pierwszy i zatańczyła po raz ostatni. Niejeden z gości, podobnie jak krewni Kita, z uznaniem mówił, jak świetnie do siebie pasują i jak piękną tworzą parę.

Postanowiła sobie, gdy wokół nich zaczęły krążyć w tańcu inne pary - że będzie się doskonale bawiła każdej chwili tego wieczoru. Służebna pakowała już jej rzeczy, ale ona sama musi się bawić. Do samego końca.

- Wyglądasz dziś wyjątkowo uroczo. - Kit powiedział to, przysuwając się do niej tak blisko, że tylko ona mogła słyszeć jego słowa. - Czyżbym się mylił? Nie! Naprawdę masz suknię dokładnie w kolorze oczu!

- Ach, głupstwa pleciesz. - Odwzajemniła uśmiech. Jak wiele się zdarzyło, odkąd powiedział jej to po raz pierwszy! A przecież tak niewiele czasu upłynęło od tamtego balu. Widziała w nim wtedy impertynenta i hultaja. A teraz... teraz był dla niej po prostu Kitem. Kimś droгим aż do bólu.

Lauren musiała jednak skupić uwagę na krokach i figurach kadryla. Przemknęło jej przez myśl, że chyba nie może być szczęśliwsza niż w tej chwili i z przerażeniem przypomniała sobie, że dokładnie to samo myślała na balu, w przeddzień ślubu z Neville'em. A dzień następny okazał się najczarniejszym w całym jej życiu.

Uśmiechnęła się jeszcze pogodniej. I w tej chwili zobaczyła, że do sali wchodzi książę Bewcastle z obydwojema braćmi i Freją.

Kit nazwał ją po południu Śpiącą Królową. Ona widziała siebie raczej jako Kopciuszkę tańczącego na balu z królewiczem i zdającego sobie dobrze sprawę, że północ nieuchronnie wybije, a piękna suknia obróci się w łachmany, a karetę w dynię.

Nie miała jednak szklanego pantofelka, który mogłaby zgubić na schodach.

Lauren tańczyła z księciem, który w ascetycznym, czarno-białym stroju wyglądał trochę satanicznie. Kit ani razu nie widział, żeby Bewcastle tańczył na jakimkolwiek przyjęciu czy balu. Teraz jednak robił to, jak się zdawało, żeby uspić wszelkie podejrzenia, iż żywi do hrabiego Redfielda i jego rodziny jakąkolwiek urazę. Ralf poprosił do tańca Gwendoline, a Alleynę nachylił nisko głowę ku babce Kita, żeby usłyszeć, co mówi stara hrabina.

- Czy mogę cię prosić, Frejo? - Kit skłonił się przed dziewczyną. Wyglądała tego wieczoru wyjątkowo pięknie w sukni z kremowej koronki na spodzie ze złocistego atlasu. Włosy miała upięte wysoko na głowie i ozdobione złotym grzebieniem, który iskrzył się w świetle świec. Była niższa niż Lauren, lecz figurę miała pełniejszą, bardziej zmysłową. Biła od niej energia i radość życia. Tańczyli w milczeniu, a Kit próbował przypomnieć sobie, co czuł do Freji trzy lata temu. Freja zawsze była mu przyjazna, a tamtego lata szczególnie potrzebował przyjaciela. Mężczyzna nie nadawał się do tego, o czym Kit miał się przekonać, próbując rozmawiać z Ralfem. Ralf zniecierpliwiał się tylko i burczał, żeby Kit nie był osłem. Przecież wypełnił obowiązek i uratował Sydowi życie, a także przywiózł go do domu, więc o co ma do siebie pretensję? Freja co prawda również nie okazała mu specjalnego zrozumienia, ale w końcu była tylko kobietą. Cały swój żal, cały gniew i poczucie winy przeistoczyło się w czysto fizyczną, zmysłową namiętność.

Jeśli mógł sobie coś wypominać w związku z tamtym latem, to sposób, w jaki potraktował Freję. Nieświadomie i bez złych intencji, ale jednak... Cóż, stało się i już się nie odstanie. Była pod ręką, a on postąpił wobec niej nie tak, jak należało.

- Zbyt tutaj gorąco - powiedziała, kiedy taniec się skończył. Słowa, akcentowane w typowy dla niej sposób, zabrzmiały prawie jak wyzwanie.

-- Istotnie, ale dziś mamy wyjątkowo ciepły dzień. Na dworze jest chyba jeszcze cieplej.

- Powietrze powinno być świeższe...

- Chcesz się przekonać? Chyba nie zamierzasz zemdleć?

Spojrzała na niego trochę wyniośle, a trochę z pogardą.

Sala balowa znajdowała się na parterze, we wschodnim skrzydle, a główne wejście od wschodu, tuż obok. Z powodu ciepłej nocy drzwi stały otworem i kilkoro gości wyszło do ogrodu, żeby się ochłodzić czy pospacerować pomiędzy klombami. W rosarium, dokąd zmierzała Freja, nie

było jednak nikogo. Kit szedł za nią, w nadziei, że Freja rozmyśli się, nim tam dotrą.

- Musimy porozmawiać - odezwała się.

Weszli więc do rosarium i Freja usiadła dokładnie na tej samej ławce, co Lauren po przybyciu do Alvesley. Kit stał wpatrzony w nią, z rękami założonymi za plecy.

- O co chodzi? - spytał, nie czekając zresztą na odpowiedź. - Frejo, pozwól, że przeproszę cię za to, co stało się trzy lata temu. Nigdy prze cież nie mówiłaś, że mnie kochasz, prawda? Ani że chcesz za mnie wyjść i ze mną wyjechać. To były tylko moje niemądre fantazje. Nie miałem prawa dobijać się do drzwi Lindsey Hall ani wdawać się w bójkę z Ral fem. Proszę, wybacz mi.

Spojrzała na niego zimno. - Ależ ty jesteś głupi, Kit. Przerażliwie głupi.

- Byłaś po słowie z Hieronimem. Nie chciałaś za mnie wychodzić.

- Pewnie, że nie - parsknęła zniecierpliwiona. - Byłeś młodszym synem. A ja córką księcia Bewcastle.

- Ach, tak. - Jak druzgocące byłyby te słowa trzy lata temu. Jakże mu ulżyło, że słyszy je teraz!

- A więc nie stała się żadna nieodwracalna szkoda? Kochałaś Hieronima?

- Och, jakież z ciebie głupiec, Kit - powtórzyła. - Patentowany głupiec!

-Frejo... -zaczął.

- No, za co teraz siebie ukarzesz? Za Syda? Za Hieronima? Za to, że złamałeś mu nos i nie zdążyłeś błagać go o przebaczenie, bo umarł? Czy ty jesteś ślepy, Kit? Spójrz tylko na nią! Gdybyś nawet miał smagać się pałką nabijaną gwoździami, nie byłoby to gorszą karą! Co za wzór po prawności i nudy! Wpakowałeś się w niezłą kabałę, nie ma co. Jak za mierzasz się z niej wypłatać?

Przymknął na chwilę oczy. Tego nie oczekiwał. Przysunął się bliżej w lęku, że ktoś może ich podsłuchać.

- Mylisz się. Nawet nie wiesz, jak bardzo!

Trzeba przyznać, że Freja od razu potrafiła zrozumieć intencje rozmówcy. Nie leżały też w jej naturze płacz czy histeria. Spojrzała na niego zimno i wyniośle, zamierzając wstać z ławki.

- Nie! - Złapał ją za ramię. - Nie idź do domu beze mnie. Wszyscy to zauważą i zaczną plotkować. Weź mnie pod rękę i wracajmy razem. Może się uśmiechniesz?

Freja podniosła się wolno i przyjęła jego ramię.

- Możesz sobie iść do diabła. Mam nadzieję, że będziesz się smażył w piekle, albo jeszcze lepiej, że dożyjesz czterdziestki z tą twoją damulką. Nie mogę sobie wyobrazić gorszej kary dla kogoś takiego jak ty.

Kit milczał. Nie miał nic do powiedzenia. A prócz tego, gdyby nawet dożył czterdziestki, to prawie sześćdziesiąt lat spędziłby z Lauren. Jeśli tylko uda mu się ją przekonać. Od tej chwili będzie robił wszystko, żeby upewnić ją o swojej miłości. Dobrze pamiętał, że małżeństwo z nim uważała za rodzaj więzienia, za utratę właśnie zdobytej wolności. Będzie musiał ją nauczyć, że istnieje więcej niż jedna jej odmiana.



Gdy Lauren skończyła tańczyć z księciem Bewcastle, zaczęła rozglądać się za Kitem. Podeszła do niej jednak Gwen wsparta na ramieniu Rannulfa. Lauren uśmiechnęła się do obojga. Chciała poprosić kuzynkę, żeby poszła z nią napić się czegoś dla ochłody. Rannulf nie dał jej jednak ku temu sposobności. Skłonił się przed nią i poprosił ją do następnego tańca.

Był jednym z nielicznych mężczyzn w jej otoczeniu, który sprawiał, że czuła się niska. Prawdziwy gigant!

- Do twarzy pani z rumieńcem, miss Edgeworth - powiedział z taką miną, że nie mogła się zorientować, czy kpi sobie z niej, czy tylko żartuje. - Nie spieszmy się z tym tańcem. Niech pani pójdzie ze mną na spacer.

Lauren nie miała ochoty iść z nim gdziekolwiek, choć dojrzała w ogrodzie sporo ludzi, w propozycji nie było zatem nic zdroźnego. Mimo to czuła, że Rannulfowi nie chodzi bynajmniej o przechadzkę. Ujął ją jednak pod rękę i skierował się do drzwi. No cóż, może odrobina świeżego powietrza dobrze jej zrobi.

Ralf okazał się całkiem interesującym rozmówcą. Pokazywał jej niektórych sąsiadów i opowiadał o nich dykteryjki. Był, jak się wydawało, bystrym obserwatorem, lecz ani jedna z opowiastek nie była złośliwa. Ruszyli wzdłuż klombów ku rosarium.

- Ach - mruknął, gdy byli już blisko - wszystko na nic! Ktoś już nas wyprzedził, tak, nawet dwie osoby. Musimy wracać do ogrodu.

Na pewno wiedział o tym, nim tu jeszcze przyszedł. Nawet zanim poprosił ją do tańca. Chciał, żeby sama ich zobaczyła. Freja pewnie też.

Siedziała na ławce. Kit, w typowej dla niego pozycji, z jedną nogą na ławce objętą ramieniem, stał tuż przy niej. Drugą rękę położył na jej ramieniu. Niemal stykali się głowami.

Rannulf zaczął inną anegdotę, lecz Lauren go nie słuchała. Urwał więc w połowie.

- Przepraszam panią - odezwał się wreszcie. - Szkoda, że pani to zobaczyła.

- Doprawdy? - Damie nie wypada nazywać dżentelmena łgarzem.

- To nie to, co pani myśli. Przyjaźnili się całe życie i wciąż jeszcze są przyjaciółmi. Sama pani widzi, ile mają ze sobą wspólnego, jak lubią rzucać sobie wyzwania, rywalizować, jak dobrze czują się w swoim towarzystwie. Zapewniam, że to tylko przyjaźń.

- Lordzie Rannulf, przerwał pan historyjkę. Proszę ją dokończyć. Niech się pan nie przyjmuje tym, co sobie myślę.

Jak dobrze, że to się zdarzyło, pomyślała. Rannulf zamilkł jednak na dobre.

To się musiało zdarzyć. Było nieuniknione. Zobaczyła to na własne oczy i nie ma już żadnych wątpliwości. Nawet najsłabszej nadziei. Nie wolno jej jednak poddać się przygnębieniu. Przeżyła swoją przygodę, a teraz wszystko się skończyło. Nic dziwnego, że po tak oszałamiających przeżyciach czuje się nieco znużona. Otrząśnie się z tego, gdy tylko wróci do Newbury. Przeczyta listy od matki, zatroszczy się o Elizabeth i małżeństwo, z radością powita Lily. Och tak, nareszcie będzie mogła ją powitać ze szczerą radością. I zacznie planować swoją przyszłość, ciesząc się nowo zyskaną swobodą. Ileż kobiet może się nią cieszyć?

- Jakże mi przykro - powtórzył półgłosem Rannulf i Lauren odniosła wrażenie, że mówi szczerze. - Doprawdy, bardzo mi przykro, miss Edgeworth. Nie zasługuje pani na coś takiego.

- Na co, lordzie Rannulfie? Na podstęp? Ależ życie pełne jest podstępów, kłamstw i masek. Byłoby niemądrą rzeczą nie uzbroić się przeciw nim. Zwłaszcza że największe oszustwo miała na sumieniu ona sama. Zaprowadził ją do sali balowej, gdzie ciotka Clara gawędziła z hrabiną, z ukłonem uniósł do ust jej dłoń i odszedł bez słowa.

Freja wróciła do rosarium i tam znalazł ją Rannulf. Siedziała na tej samej ławce, co kilka minut temu.

- Wynoś się - warknęła, gdy do niej podszedł.

Bedwynowie rzadko robią to, o co się ich prosi, więc Rannulf podszedł jeszcze bliżej i usiadł obok.

-No i...



- Niech go piekło pochłonie! - syknęła głosem pełnym jadu.

Ralf cmoknął, ale powstrzymał się od komentarzy. Żadnej z licznych guwernantek nie udało się bowiem wbić do głowy odpornej pupilce, że jest damą, a więc musi zachowywać się, jak na damę przystało. Bracia zaś nigdy nie zadawali sobie trudu, by wyręczać guwernantki.

- Chcę wracać do domu! - powiedziała. - Chcę wypić Wulfowi całe wino z piwnicy! Chcę się uchlać. Z tobą. Możesz pić ze mną.

- Dzięki za ofertę, Frejo, to miła perspektywa po tym, w co mnie wrobiłaś. Polubiłem ją, rozumiesz? Niech to licho! A Wulf i Alleyne nie będą zachwyceni, jeśli zostawisz ich bez powozu. Poza tym nie mam ochoty marnować najlepszego wina tylko po to, żeby się zalać. Napoje wyskokuwe gorszej jakości nadadzą się równie dobrze. Tyle że Wulf ich nie ma.

- Niech diabli wezmą Wulfa!

Brat uniósł brwi.

- Choćbyś nawet spiła się jak szewc, nie zapomnisz o tym, co cię gnębi. Dorobisz się jedynie piekielnego bólu głowy i szczerego pragnienia, żeby zdechnąć.

- Jak mi będzie trzeba twoich rad, to o nie poproszę.

- Jak wolisz. - Wzruszył ramionami. - Bardzo głupio postąpiłaś trzy lata temu, zakochując się i nie mogąc odkochać.

Freja zwinęła prawą dłoń w pięść, zamachnęła się i rąbnęła go w szczękę. Głowa Ralfa odskoczyła do tyłu, lecz on sam ani na jotę nie zmienił wygodnej pozycji na ławce.

- Uff! - mruknął po chwili. - Jeśli już koniecznie chcesz się upić, możemy po cichu dosiąść dwóch koni z tamtej stajni i czmychnąć do domu. Możemy też wrócić do sali i zatańczyć. Pokażesz wtedy każdemu, z jakiej jesteś gliny. I że masz w nosie Kita, jak zresztą każdego innego śmiertelnika.

- Nie dbam o niego. - Freja wstała. - A jeśli chcesz znać prawdę, nienawidzę go, Ralf. Zasługuje na tę swoją mdłą pannicę. To wszystko, co mam do powiedzenia. Jedziesz ze mną czy nie?

- Jadę, jadę. - Ralf także wstał, patrząc na nią z dziwnym uśmiechem. - A więc o nią ci chodzi? No to przegrałaś. Czuję to moim nosem Bedwyna, niezawodnym w podobnych przypadkach.

Freja popatrzyła na niego takim wzrokiem, jakby był robakiem, którego zamierza wgnieść butem w ziemię.

Wiejskie bale, nawet tak uroczyste jak ten, w przeciwieństwie do londyńskich nigdy nie kończyły się bladym świtem. Kolację podano o jedenastej, po czym nastąpił pierwszy i jedyny walc tego wieczoru, lecz tańczyło go tylko kilka zdolnych mu sprostać par. Tańce nie skończyły się wprawdzie, ale wielu z gości zaczęło zbierać się do odjazdu, a solenizantka zamierzała położyć się spać.

Kit i Lauren odprowadzali ją do sypialni. Dopiero co odtańczyli walca, a Kit wspominał tego pierwszego, kiedy uderzyła go piękność Lauren. Babka była zmęczona, nie wspierała się tym razem na lasce trzymanej w zdrowej ręce i musieli ją podtrzymywać z obu stron. Poruszała się z trudem, lecz Kit mimo to wiedział, że jest bardzo zadowolona i szczęśliwa.

- Dobra... noc - starsza pani puściła ramię Lauren, gdy Kit otworzył drzwi gotowalni - ...drogi chłopcze.

- Dobranoc, babciu. - Uściskał ją ostrożnie, a ona ucałowała go w policzek.

- Dobranoc... - babka zwróciła się do Lauren, która nachyliła się, żeby ją objąć - kochane... dziecko.

- Wszystkiego najlepszego, babciu. - W oczach Lauren zabłyśły łzy, gdy ponownie ujęła ramię Kita.

- Chyba dosyć już razem tańczyliśmy - odezwał się na schodach. - Kiedy wrócimy do sali, trzeba będzie poszukać sobie innych partnerów.

- Tak każe uprzejmość.

- Czy mały spacer byłby teraz czymś nieuprzejmym?

Pokręciła głową.

- Nie, bo do najbliższego tańca wszyscy wybrali już sobie partnerów.

Na zewnątrz stało jeszcze trochę ludzi, głównie młodych kuzynów, którzy śmiali się i gawędzili. Kit i Lauren minęli ich, wymieniając w przelocie pozdrowienia. Bez słowa poszli ku drewnianemu mostkowi nad strumieniem. W dole szumiała woda, choć nie można jej było dostrzec wśród mrocznych drzew. Za to trawnik, klomby i dwór lśniły w świetle księżyca.

- Wkrótce skończy się ten długi dzień - westchnął Kit.

- To był wspaniały dzień. Wszystko poszło doskonale. Twoja babka ma się z czego cieszyć. Inni też.

-Tak...

Od strony domu dolatywały śmiechy i cicha muzyka. Jak dobrze było mu z Lauren. Już sama jej obecność działała na niego niczym balsam. Pojął, jak ważna jest w przyjaźni umiejętność milczenia we dwoje. Prawie tak samo kojąca, jak samotność. Nie, o wiele bardziej.

- Kit - odezwała się cicho - czy postąpiliśmy tak, jak należało?

Zrozumiał ją natychmiast.

- Widzisz, gdybyś przyjechał tu sam jeden, czułbyś się zmuszony do zaręczyn i nie miałbyś wyboru. Byłbyś rozgoryczony, a twoja rodzina czułaby to, nawet gdybyś nic nie mówił. Wkrótce zaczęłyby się utarczki i sprzeczki, a tymczasem teraz zapanowała harmonia i spokój. Dobrze zrobiliśmy, prawda?

- Tak, dobrze.

Poszukał jej dłoni na poręczy i nakrył ją swoją.

- Ale już jest po wszystkim - podjęła. - Lecz ta harmonia nie zniknie, a ty będziesz mógł zrobić ze swoją przyszłością, co uznasz za stosowne.

- Od jutra uznam za stosowne bardziej energiczne zalecanie się do ciebie. Uważaj, bo mam także zamiar przekonać cię, że najlepszym, najszczęśliwszym zakończeniem będzie nasz ślub.

- Kit - odezwała się po krótkiej przerwie - jutro wyjeżdżam z ciotką Clarą i z Gwen.

- Nie! - Ścisnął mocno jej rękę.

- To najlepsze zakończenie. Po namyśle na pewno się ze mną zgodzisz. Obydwie są dla mnie najbliższymi osobami. Przyjechały ze mną jako przyzwoitki. Spieszno im do domu, przyjedzie tam przecież Elizabeth z maleństwem. Jeśli wrócę razem z nimi, wyda się to wszystkim całkiem naturalne. W dodatku twoja matka i ciotka Clara zgodziły się, że powinniśmy wziąć ślub w Newbury. Wszystko będzie więc wyglądało tak, jakbym pojechała zacząć przygotowania. Po jakimś czasie przyślą list, który zakończy nasze narzeczeństwo, goście twojej rodziny dawno już wtedy odjadą, a ty przekazesz tę wiadomość ojcu i matce. I babce. I Sydnamowi.

Mówiła spokojnie, rzeczowo. Bez śladu żalu czy bólu. Obojętnie.

- Zostań jeszcze trochę. Przez tydzień. Daj mi tydzień, a zdołam cię przekonać, żebyś zmieniła zdanie. Nie odjeżdżaj jutro, Lauren. To za wcześnie.

- Udało mi się zrobić tutaj wszystko, co zamierzyłam. Przeżyłam moją przygodę, moje niezapomniane lato. Nie ma powodu, żebym przedłużała pobyt, a jest ich wiele, by tego nie czynić. Już czas, Kit. Wkrótce sam to zrozumiesz.

- Zostań, póki nie zyskamy pewności, że nie zaszłaś w ciążę.

- Jeśli tak się stanie - mówiła równie chłodno i rzeczowo, jak przedtem - to napiszę do ciebie natychmiast. Jeśli nie, nadejdzie list kończący nasze zaręczyny. Muszę trochę poczekać, Kit, nim się upewnię. Równie dobrze mogę zyskać tę pewność w Newbury. W końcu tylko dwa razy miałam okazję stać się brzemienną.

Miała ją jeden jedyny raz. Ale tego nie wiedziała.

- Mam nadzieję, że tak właśnie będzie - ścisnął jeszcze mocniej jej rękę. - Mam wielką nadzieję. (Czy naprawdę? Czy jest aż tak zdesperowany, że posunąłby się do zniewolenia jej?)

- Dlaczego? - spytała.

Bo cię Kocham. Bo nie mogę znieść myśli o życiu bez ciebie, pomyślał. Nie, czegoś takiego nie może zrobić, byłoby to nielojalne. Mogłaby się wtedy czuć zobowiązana do zostania z nim, do poślubienia go, do rezygnacji z wymarzonej wolności, tak już bliskiej, prawie na wyciągnięcie ręki.

- Dlatego że... spałeś ze mną? I że, jako dżentelmen, czujesz się w obowiązku przekonać mnie za wszelką cenę, żebym za ciebie wyszła? To niepotrzebne. Chyba żebym zaszła w ciążę. Przecież mnie nie uwiodłeś. Zrobiłam to z własnej woli. To była część mojej przygody, mojego pamiętnego lata. Nigdy nie będę żałowała, że... To było... takie cudowne. Nic mi nie jesteś winien, a już na pewno nie miłość aż po grób. Jesteś wolny Kit. Tak jak ja. Wolny!

Widocznie uważała wolność za największą wartość. Mógłby się z nią zgodzić... za jakiś miesiąc.

Poniósł klęskę. Jak zresztą mógł walczyć z tak gorącym pragnieniem wolności?

- A więc nic cię nie zdoła przekonać?

-Nic.

Skłonił się przed nią głęboko i powoli nabrał tchu.

-Dziękuję ci. Za wszystko, co zrobiłaś dla mnie i mojej rodziny. Byłaś wcieleniem dobroci, cierpliwości i hojnie mnie obdarowałaś.

-A ja dziękuję tobie. - Położyła dłoń na jego ramieniu. - Za przygodę. Za pływanie, za konną gonitwę, za wchodzenie na drzewa. I... i za to, że umiem się śmiać. A także za namówienie dziadka, żeby powiedział mi prawdę o mamie. To był tak cenny dar, że nie wiem, jak ci dziękować.

Poczuł jej usta na swoim policzku. Opanował chęć porwania jej w objęcia, błagania, by nie opuszczała go na zawsze.

- A więc jutro rano? - spytał, nie patrząc na nią. - Powinniśmy wyglądać wtedy wesoło, nie sądzisz? Trochę tylko rozżaleni z powodu rozstania, lecz weseli, bo przecież przygotowania do ślubu już są w toku. Pewnie cię nawet pocałuję. To będzie jak najbardziej stosowne.

- Tak - zgodziła się. - W końcu inni z pewnością będą na nas patrzyli.

- Ale teraz - podniósł jej dłoń do ust -jesteśmy sami. Po raz ostatni. Żegnaj, moja miła. Żegnaj, Lauren.

- Och, mój drogi... - Głos jej drżał. - Żegnaj. Niech ci się szczęści w życiu. Zawsze będę cię wspominała z... z głębokim wzruszeniem.

Trwał przez chwilę w milczeniu, plecami do dworu, z zamkniętymi oczami i z ustami przy jej dłoni, chcąc zachować w pamięci jej delikatny zapach i subtelną aurę, jaka zdawała się ją otaczać.

Taki był koniec urodzinowego balu.

## 22

Nadeszły upalne, leniwe dni sierpniowe i ciepły wrzesień. Wreszcie lato zaczęło ustępować jesieni. Czuło się już chłód w powietrzu, na niebie wisiały ciężkie chmury. Zanościło się na deszcz.

Lauren była tego dnia w najmniej odpowiednim miejscu przy takiej pogodzie - na plaży w Newbury Abbey. Zresztą nie tylko na plaży, ale nawet na szczycie głazu zwanego przez wszystkich Wielką Skałą. Siedziała owinięta ciasno płaszczem, obejmując kolana rękami. Nie miała jednak na głowie kapelusza, leżał u stóp skały, wsunięty wraz z rękawiczkami w wąską szczelinę, żeby nie porwał go wiatr, który rozwiewał jej włosy i niósł smak soli.

Morze, teraz dalekie z powodu odpływu, było szare i wzburzone.

Czuła się prawie szczęśliwa. „Prawie” było rezultatem przekonania, że okłamywanie samej siebie równa się samozniszczeniu. Ona zaś nie chciała się już więcej oszukiwać ani skrywać za jakąkolwiek maską i chronić się przed prawdziwym życiem.

Dlatego poszła na plażę, której do niedawna szczerze nie znosiła, zwłaszcza w tak okropną pogodę. Dlatego wdrapała się na sam szczyt skały, czego do dzisiaj nigdy nie robiła. Dzieciom surowo tego zabraniano, lecz Neville i Gwen złamali ów zakaz kilkakrotnie. Ona oczywiście nigdy. Później zaś byłoby to niestosowne dla damy. Pamiętała, jaki przeżyła szok, kiedy pewnego dnia zobaczyła, że na szczycie siedzi Lily. Było to niedługo po jej przybyciu do Newbury.

Lauren wystawiła twarz na wiatr i z uśmiechem potrząsnęła potarganymi włosami.

Nie zamierzała uciekać do domu przed nadciągającym deszczem. Co prawda jeśli zmoknie, to zmarznie i zniszczy kapelusz i najlepsze buciki.

Spojrzała na chmury. A niech tam! Niech ulewa lunie prosto na jej głowę!

Nie jest w ciąży. Kiedy w niecały tydzień po powrocie z Alvesley zaczął się okres, zaczęła płakać. Łkała z żalu nad dzieckiem, które nigdy się nie narodzi, i nad małżeństwem, którego nie będzie. Poczula też jednak ogromną ulgę. Następnego dnia napisała do Kita, zrywając zaręczyny. To był najtrudniejszy obowiązek, jaki przyszło jej w życiu spełnić.

Sama myśl o chwili, gdy go wysyłała, wciąż jeszcze sprawiała jej ból. Nie, nie wolno jej o tym myśleć. Kiedyś, w przyszłości, w odległej przyszłości, będzie potrafiła zapewne wspominać krótkie lato w Alvesley jako najpiękniejszy czas swego życia. Teraz nie. W tej chwili jest „prawie” szczęśliwa. Ze smutną rezygnacją zaakceptowała fakt, że jeszcze nie całym.

Jutro wyjeżdża do Bath. Och, nie na stałe, to dopiero początek. Będą jej towarzyszyli Gwen i Neville. Pośrednik znalazł cztery różne domy odpowiednie na rezydencję samotnej damy ze skromną fortunką. Jechała po to, żeby je obejrzeć i wybrać jeden z nich. Wbrew radom Elizabeth, lecz popierana, choć może niezbyt gorąco, przez innych, spędzi tam resztę życia. Nie jako jego beczynna obserwatorka, lecz aktywna uczestniczka.

Bryzgi morskiej wody, a może początki deszczu, zwilżyły jej twarz. Wróci do domu z poskręcanymi włosami i będzie musiała prosić służącą, żeby coś z nimi zrobiła. Przymknęła oczy, poddając się porywom wiatru. Radowały ją i dodawały jej otuchy.

Przeczytała już pisane przez piętnaście lat listy od zupełnie obcej osoby, swojej matki. Wesołe, niedbale nagryzmołone listy kobiety najwyraźniej zadowolonej z życia mimo nieustannych narzekań - zwłaszcza na mężczyzn, których wcześniej wychwalała pod niebiosa - i biadań, że jej kochana Lauren nigdy nie odpisuje ani do niej nie przyjeżdża. Jeszcze kilka miesięcy temu zraniłyby ją do głębi. Teraz jednak pełna była nową, zaskakującą dla niej samą wyrozumiałości. Mimo to nadal czuła miłość do matki, mimo że ledwo ją pamiętała. Napisała do niej bardzo długi list i wysłała do Indii. Nie spodziewała się odpowiedzi wcześniej niż za rok, ale czuła jednak więź z kobietą, która wydała ją na świat.

Powinna wracać. Jeśli rozpada się na dobre, skała zrobi się śliska i nie będzie mogła zejść.

Przypomniła sobie, jak Kit pomagał jej zejść z drzewa w Alvesley, obejmując ją opiekuńczo, choć nie pozwoliła, żeby zniósł ją na dół. Nie, nie trzeba o tym myśleć. Jeszcze za wcześnie na wspomnienia. Wciąż są zbyt bolesne.

Spostrzegła coś kątem oka i spojrzała w tamtą stronę. Od szczytu klifu wąska ścieżka wiodła w dolinę. Nie mogła stąd dostrzec wodospadu, sadzawki i letniego domku, lecz widziała wyraźnie most tuż przed plażą. Właśnie ktoś na niego wchodził, w długim surducie i w wysokim kapeluszu wciśniętym głęboko na oczy.

Najpierw pomyślała, dość niemądrze, że to złudzenie. Potem skuliła się, głową niemal dotknęła kolan. Serce biło jej tak mocno, jak po długim biegu. Nie, to na pewno Neville wysłany przez zaniepokojoną ciotkę Clare. A może to księżę Portfrey wysłany z tego samego powodu przez Elizabeth i Lily? Nie, to nie on. Zresztą żaden z nich by tu nie przyszedł, przecież powiedziała, że chce być sama! Uniosła głowę, bardzo ostrożnie, żeby nie rozczarować się widokiem pustki na plaży, moście i ścieżce.

Był już na plaży i szedł w jej stronę; Lauren jeszcze mocniej objęła kolana.

Wszyscy goście odjechali w ciągu dwóch tygodni od urodzinowego przyjęcia. Sydnam w tydzień później. Dostał posadę w jednej z największych posiadłości księcia Bewcastle, w Walii. Kit zrozumiał w końcu, że praca rządcy jest wyzwaniem, któremu Syd chce sprostać. Pieniądzy nie potrzebował na pewno.

W Alvesley byłoby więc spokojnie i szczęśliwie, gdyby niejedna rzecz. Z ojcem żyło mu się lepiej niż kiedykolwiek. Rozumieli się doskonale, ojciec chętnie udzielał mu rad, a on chętnie je przyjmował. Matka była serdeczna i czuła. Znów stał się ulubieńcem babki, choć, rzecz jasna, nie miał już konkurentów. Rozmówił się też z Rannulfem podczas konnej przejażdżki. Powróciła dawna zażyłość z lat chłopięcych.

Tylko jedna rzecz mąciła ten spokój, choć słowo „jedna” umniejszało jej wagę. Lauren przysłała mu z Newbury krótki list, w którym zrywała zaręczyny z powodu, jak pisała, niezgodności charakterów i niestałości usposobienia. Dotrzymała umowy, biorąc całą winę na siebie. List napisany był tak, by mogły go przeczytać również osoby postronne. Nie pisała o odmiennym stanie. Domyślił się zresztą, że w nim nie jest.

Gdy go przeczytał, popędził nad jezioro, zrzucił ubranie - mimo że było to w biały dzień i ktoś mógł go zobaczyć - a potem przepłynął je wszędzie najszybciej, jak tylko się dało. Wyszedł na brzeg tak wyczerpany, że upadł twarzą w trawę, między polne kwiaty. Nie pamiętał, ile godzin przeleżał.

Pewnego dnia, gdy wracali z ojcem po objeździe pól, ten wyznał mu, że chciał go ożenić z Freją w nadziei, że Kitowi będzie to odpowiadało. Przyznał też, że Kit na własną rękę dokonał mądrzejszego wyboru, którego nikt się po nim nie spodziewał. Panna Edgeworth okaza się niewątpliwie doskonałą wicehrabiną, a kiedy przyjdzie czas, także i hrabiną.

W dniu odjazdu Syda matka uściskała go - gdy przestała już płakać --i wyszła z nim do ogrodu. Przyznała, iż myliła się, widząc Freję jako przyszłą synową, choć skądinąd bardzo lubi wszystkich Bedwynów, tak niefortunnie w najważniejszych latach dorastania pozbawionych macierzyńskiej opieki. Lauren zaś uwielbia. Jest jak córka, której nigdy nie miała, choć tak bardzo pragnęła.

Babka, gdy wychodziła na poranny spacer i gdy siadywała wieczorami przy kominku, narzekała, że brak jej Lauren. Nie pisała do niej, nie rozcierała jej ręki, nie bawiła rozmową. Dziwiło ją też, że Kit jest taki niepokojny.

Nie zdobył się na odwagę, żeby powiedzieć im prawdę. W połowie września, gdy matka niemal codziennie pytała o datę ślubu, a babka dopominała się, żeby wypadł przed świętami, bo chciała zobaczyć Lauren na Gwiazdkę i zacząć szycie chrestnej koszulki - był już gotów wyjawić wszystko. Podczas obiadu oznajmił jednak, ku własnemu zaskoczeniu:

- Jadę do Newbury Abbey. Już jutro. Muszę... muszę zobaczyć się z Lauren.

Wszyscy ucieszyli się niezmiernie. Czekali przecież na tę chwilę. Najwyższy czas! Lauren mogłaby pomyśleć, że zmienił zdanie!



Miasteczko wyglądało malowniczo, a ta jego część, którą mógł widzieć z okna, z domkami skupionymi wokół zatoki, leżała tuż nad wzburzonym morzem.

Nie był pewien, dokąd się udać - do domu ciotki Clary czy do dworu w Newbury Abbey. Zdecydował, że najpierw zajdzie do ciotki. Służący oznajmił jednak, że panie poszły do pałacu, tak że ostatecznie dopiero po długim, uciążliwym spacerze na wietrze oddał tam swoją kartę wizytową i spytał, czy hrabina Kilbourne zechce go przyjąć.

Po krótkim oczekiwaniu wprowadzono go do salonu, gdzie na jego widok kilkoro ludzi wstało z krzeseł. Lauren między nimi nie było.



Nie okazała takiej powściągliwości, jak on. Wiedzieli. Wszyscy. Gwen-doline zbladła, ciotka Clara spoglądała na niego srogo, Portfrey miał pokerową twarz. Naprzeciw, z uśmiechem i wyciągniętą ręką, wyszła tylko drobna, jasnowłosa, śliczna kobieta.

- Lord Ravensberg? - spytała. - Jakże mi miło!

Skłonił się i ujął jej dłoń.

- Ravensberg? - Wysoki blondyn w wieku Kita złożył mu ukłon, ale nie podał ręki.

- Kilbourne?

Tak, to musi być on. Kit stał przed mężczyzną, który tyle znaczył dla Lauren. O mało go nie poślubiła. Kochała go i może nadal kocha. No i przed sławną Lily, która pogrzebała wszystkie jej nadzieje.

- Co za miła niespodzianka! Proszę, niech pan siada. Raczej dziś chłód no, prawda? Zna pan pewnie pozostałych?

Damy dygnęły, Portfrey skinął głową. Księżę trzymał na ręku malutkie dziecko. Księżna uśmiechnęła się ciepło.

- Tak, należało tu przybyć, wicehrabio. Rada jestem, że to przewidziałam.

- I ja także - dodała Lily, prowadząc Kita w stronę krzesel. - Lauren napisała do pana, nic nam nie mówiąc. Nawet Gwen! Wszyscy bardzo się martwiliśmy! Gwen i moja kochana teściowa sądziły, że to będzie małżeństwo z miłości! Lauren upierała się wprawdzie, że to ona tak zdecydowała i że to tylko jej wina, ale oczywiście my myśleliśmy inaczej. Widzi pan, wszyscy ogromnie ją kochamy, no i zawsze łatwiej jest oskarżać kogoś obcego. Ale teraz może pan już bronić się sam.

- Lily! - upomniał ją Neville. - Przecież lord Ravensberg nic nam jeszcze nie powiedział. Nie wiemy nawet, po co tu przyjechał.

- Chcę pomówić z Lauren. Gdzie ona jest?

- A po co to panu? - spytał Kilbourne. - W końcu zerwała zaręczyny. Co prawda nikt z nas nie wie, dlaczego, ale możemy się chyba domyślać, że nie ma ochoty z panem rozmawiać.

- Lepiej niech ją pan zostawi w spokoju - dodała ciotka Clara. - Ona obstaje przy tym, że wcale nie działała pod wpływem impulsu. Nie wiem, co się zdarzyło, ale postanowiła nie wychodzić za pana, mimo że zrywanie zaręczyn nie jest w dobrym tonie. Jeśli to tylko grzecznościowa wizyta, dziękuję panu za nią w jej imieniu. Jeśli nie, wszyscy krewni staną w jej obronie.

- Biedny lord Ravensberg! - Księżna roześmiała się współczująco. - Nieładnie się zachowujemy wobec niego. Lauren zapewniała przecież, że nie było w tym jego winy.

- Poszła na plażę - odezwała się cicho Gwendoline zza pleców pozostałych.

Kit spojrział na nią i uklonił się. Wciąż jeszcze nie usiadł.

- Dziękuję pani z całego serca.

- Powiedziała, że chce być sama - dodał Kilbourne. - I żeby jej nie przeszkadzać.

- A zatem - rzekła Lily z miłym uśmiechem - będzie pan mógł jej wyjawic w cztery oczy powód swego przyjazdu.

- Nie chcę, żeby się denerwowała - mruknął Kilbourne.

- Nie zdenerwuję jej - zapewnił Kit.

Lily posłała mu jeszcze jeden uśmiech.

- Lauren ma dwadzieścia sześć lat, Neville - zwróciła się do męża - jest bardzo rozsądna i od tygodni przekonuje nas, że potrafi pokierować własnym życiem. Jeśli nie będzie chciała wrócić z lordem Ravensbergiem, sama mu to powie.

Kilbourne spojrział żonie w oczy, a do Kita dotarło wreszcie, że tu, w Newbury Abbey, Lauren jest ogromnie kochana, a najbardziej może przez tych dwoje ludzi, którzy sprawili jej najwięcej bólu. Kilbourne czuł się winny, bo cierpiała z jego przyczyny, z całego serca więc pragnął, żeby nie musiała cierpieć ponownie.

- Pójdę na plażę, jeśli tylko ktoś wskaże mi drogę.

- Znosi się na deszcz. - Kilbourne wyjrzał przez okno. - Niech jej pan powie, żeby wracała do domu!

Lily znowu uśmiechnęła się do męża, lecz słowa skierowała do Kita:

- Niech ją pan zabierze do letniego domku, wicehrabio. To niedaleko.

- Trzeba pójść wzdłuż trawnika - tłumaczyła Gwen - a potem na prawo i tam już zobaczy pan ścieżkę wiodącą ku skałom.

Kit uklonił się i wyszedł.

Jeszcze nie padało, gdy schodził stromą ścieżką ze skał. Nie była to nawet mżawka, a jednak czuł wilgoć na twarzy i zmarzły mu ręce. Z pewnością wkrótce rozpada się na dobre.

W połowie drogi przypomniał sobie, że Lauren opisywała mu kiedyś to miejsce - niedużą dolinkę z wodospadem i sadzawką oraz malowniczym domkiem. Właśnie tam zobaczyła Neville'a i Lily podczas swawolnych igraszek. Nigdzie nie było jej widać. Spojrzął na plażę, osłaniając oczy ręką.

Wtedy ją dostrzegł. I uśmiechnął się. Wiedział już ponad wszelką wątpliwość, że spędzone z nim lato nie poszło na marne. W płaszczu, ale bez kapelusza, siedziała wpatrzona w dzikie, wzburzone morze, na szczycie wielkiego głazu, który z jego perspektywy wydawał się niemal pionowy.

Wzdrygnął się na myśl, że wdrapała się tam sama, bez niczyjej pomocy. Wiedział, że teraz jest już spokojna i niezależna. Że nie potrzebuje nikogo.

A zwłaszcza jego.

Przez chwilę myślał, że lepiej zawrócić, nim go zobaczy. Chciał jej jednak koniecznie coś powiedzieć. Musi jej coś powiedzieć.

Wiatr dał wściekle, gdy schodził z klifu do mostu nad płytką rzeczułką. Pochylił głowę, nie chcąc stracić kapelusza. Wszedł na plażę, brnąc poprzez piasek, i wreszcie do niej dotarł. Ujrzała go. Patrzyła, jak się zbliża, i siedziała bez ruchu na szczycie skały, obejmując kolana. Zdawało mu się, że ta droga nie ma końca.

Spojrzał w górę.

- Zdjąć cię stamtąd? Potrzebujesz pomocy?

- Nie - odparła spokojnie - dziękuję.

Podniosła się, żeby zejść z głazu po drugiej stronie. Schodziła tak powoli, że chciał już wdrapać się na głaz, żeby być blisko niej, gdyby się obsunęła, ale coś mu powiedziało, że nie byłoby to niewłaściwe. Wreszcie stanęła na piasku, odwróciła się i spojrzała na niego.

Już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, gdy nagle zrozumiał, że nie ma pojęcia, co. A ona nie zamierzała mu pomagać.

Patrzyli na siebie w milczeniu.

Mimo przeraźliwej pustki w głowie podszedł do niej i, zamiast cokolwiek mówić, pocałował ją.

-Lauren...

- Kit - wyszeptała w końcu - skąd się tu wziąłeś? Po co przyjechałeś?

Wilgoć w powietrzu zamieniła się w mżawkę.

- Powiedzieć ci, żebyś zaraz wracała do domu, jeśli chcesz słuchać Kilbourne'a. Podsunąć ci myśl o letnim domku jako najbliższym schronieniu, jeżeli wolisz radę Lily.

- Kit - zmarszczyła brwi - nie chciałam cię znów widzieć. Naprawdę nie chciałam.

Puścił te słowa mimo uszu. Oparł się ręką o skałę za jej plecami. Pochylił głowę. -- Znów tu jesteś. Znowu w Newbury...

- Tylko do jutra. Jutro jadę do Bath wybrać dom.

- Czy naprawdę chcesz właśnie tego?

- Dobrze wiesz, że tak. Po co przyjechałeś? Gdzie Freja?

- Freja? - spojrzał na nią zdziwiony. - Pewnie w Lindsey Hall. Dlaczego pytasz? - Zrozumiał jednak, co miała na myśli, nim zdołała odpowiedzieć.

- Między mną a Freją nic już nie ma, Lauren. Owszem, kiedyś było, ale bardzo krótko i dawno temu. To skończone.

- Pasujecie do siebie.

- Czyżby? - Zastanowił się. - Tak, może jakieś podobieństwo istnieje, ale to wcale nie znaczy, że pasowalibyśmy do siebie. Jesteś w błędzie. Czy miało to coś wspólnego z zerwaniem przez ciebie zaręczyn?

- Z pewnością nie. - Westchnęła i oparła się o głaz. - Przecież uzgodniliśmy wszystko, nim ją jeszcze ujrzałam, pamiętasz? Kit, po co przyjechałeś?

- Chcę ci coś powiedzieć. Coś, co powinienem był powiedzieć, zanim opuściłaś Alvesley. Coś, co powinnaś wiedzieć. Sama rozstrzygniesz, co z tą wiedzą zrobisz. Kiedy już ci to powiem, ty wymówisz tylko jedno słowo, Lauren, a ja wrócę przez plażę i skały do Newbury i nigdy już nie będę się próbował z tobą widzieć. Obiecuję.

-Kit...

Położył palec na jej wargach i spojrzał w oczy.

- Chcę się z tobą ożenić. Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek przed tem w całym życiu. Chciałbym cię poślubić z wielu powodów, ale tylko jeden liczy się naprawdę. Nie powiedziałem ci o nim, bo wydało mi się do trochę niehonorowe po wypełnieniu przez ciebie twojej części umowy tak uroczo i z tak świetnym rezultatem. Kocham cię. To właśnie zataiłem. Tylko to. Nie sądzę, żeby ta wiedza sprawiła ci przykrość. Do niczego cię ona nie zobowiązuje. Po prostu koniecznie chciałem ci to powiedzieć. A teraz, jeśli chcesz, pójdę sobie.

Nie powiedziała ani słowa, tylko jeszcze mocniej przywarła do głazu i spojrzała na niego. Mżawka przeszła w kapuśniaczek, który kroplami spływał jej po twarzy. Coś innego jednak niż krople deszczu zabłysło w jej oczach.

- Powiedz mi, żebym sobie poszedł - szepnął.

- Nie potrzeba mi ciebie, wiesz przecież - wykrzyknęła.

- Wiem. - Serce podeszło mu do gardła.

- Niczego mi nie trzeba. Mogę żyć samotnie. Zawsze starałam się być taką, jaką chcieli mnie widzieć inni, i dlatego pragnęłam do kogoś należeć, być przez kogoś akceptowaną i kochaną. Kiedy zrozumiałam, że nie mogę należeć do Neville'a, poczułam się tak, jakbym straciła miejsce na ziemi. Zamknęłam się wtedy w jeszcze szczelniejszym pancerzu dobrych manier. Lecz teraz już go nie potrzebuję. Jestem ci naprawdę wdzięczna, ale już mi cię dłużej nie trzeba. Stałam się wystarczająco silna.

-- Tak. - Pochylił głowę i zamknął oczy. - Tak, wiem.

- Jestem teraz wolna i mogę kochać kogoś albo nie. Miłość i zależność przestały być dla mnie jednym i tym samym. Zyskałam swobodę kochania. Dlatego cię kocham. Jeśli tu przybyłeś, bo sądzisz, że mi jesteś coś winien, bo wierzysz, że bez twójego wsparcia nie dam sobie rady, to odejdz stąd i bądź szczęśliwy z kim innym.

- Kocham cię - powtórzył.

Patrzyła na niego długo oczami pełnymi łez, a potem uśmiechnęła się, bardzo powoli i bardzo radośnie.

Objął ją, uniół do góry i zakręcił nią, a ona oparła ręce na jego ramionach, odchyliła głowę tak, żeby deszcz padał prosto na jej twarz, i rozśmiała się głośno.

Kit wydał głośny okrzyk, a że echo od skał odpowiadało wspaniale, odchylił głowę do tyłu i zawył jak wilk.

## 23

Jak się miewa twoja babka?

- Szykuje kaftaniki do chrztu.

- Och!

- Mam cię poślubić jeszcze przed świętami, spłodzić dziecko podczas nich i biegać w kółko po dworze w Alvesley we wrześniu przyszłego roku, wrywając sobie włosy z głowy całymi garściami i rzucając butami, gdy będziesz wydawała na świat pierwszego chłopca.

-Kpij sobie, kpij!

Lało jak z cebra, a oni, trzymając się za ręce, pobiegli szukać schronienia w wiejskim domku. Lauren zrzuciła płaszcz i buty. Kapelusz i rękawiczki zostały w szczelinie u stóp wielkiej skały. Wycierała włosy ręcznikiem i patrzyła, jak Kit, zdjawszy surdut, przykucnął przed kominkiem i usiłuje rozpalić ogień.

Jeśli to sen, nie chce się z niego budzić. Niech trwa jak najdłużej. Do końca życia.

- Przeczytałaś listy matki?

- Tak, wszystkie. Nie jest osobą godną szacunku, delikatnie mówiąc. Pisze w taki sposób, że aż mnie serce boli. Powinieneś się dobrze zastanowić, zanim poślubisz jej córkę.

- Ach - odparł, sięgając po hubkę i krzesiwo - to wyjaśnia pewne rzeczy. Zdaje się, że właśnie jej córka pływała nago w jeziorze, niemalże przyprawiając mnie o atak serca. Właśnie jej córka poszła za mną do gajówki i spędziła tam całą noc. Chyba się zbyt lekko prowadzi jak na mój gust. Jestem zgorszony.

-Kit...

Wstał, zatarł ręce i zwrócił ku niej roześmianą twarz. Zaczęła się jeszcze energiczniej wycierać ręcznikiem.

- Popatrz tylko, jak ty wyglądasz!

Z zakłopotaniem stwierdziła, że mokra suknia ściśle przylega do jej ciała. Zaśmiała się.

-Nie możesz się przeziębic - powiedział i zajrzał przez otwarte drzwi do małej sypialni - ani kaszleć, ani siąkać nosem na ślubie. To takie nieromantyczne. - Wbiegł do sypialni i wrócił po chwili z kocem.

- Podejdź do kominka.

Potulnie stanęła przed nim, podczas gdy Kit ściągał z niej ubranie, przyglądając się jej z zachwytem, zanim owinął ją kocem. Usta mu się nie zamykały.

- Portfrey niańczył dziecko. Czyżby nie było ich stać na piastunkę?

Zaśmiała się.

- Maleństwo jest urocze i psute przez wszystkich. Nigdy nie widziałam Elizabeth ani księcia w lepszych nastrojach. A Lily wprost nie może się nacieszyć przyrodnim braciszkiem.

- A więc jesteś z nią w dobrych stosunkach?

- Zawsze uważałam, że w innych okolicznościach polubiłabym ją ogromnie. Jest taka promienna, naturalna, czuła. Przez cały czas była dla mnie dobra i współczująca. Już mogę ją kochać.

- A Kilbourne?

Przyciągnął ją do siebie, rozsuwając koc. Poczula szorstkość jego bryczesów. Zapragnęła go wiele goręcej, niż gdyby był bez ubrania.

- Gdybyśmy się wtedy pobrali, zostalibyśmy pewnie dobrym małżeństwem, a ja byłabym zadowolona i myślałabym, że jestem szczęśliwa. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że kocham go jak siostra. I nigdy bym się nie dziwiła, dlaczego nie czuję... do niego namiętności. Po prostu sądziłabym, że taka jest moja natura.

- A taka nie jest?

-Nie.

- Boże święty! Chyba nie czujesz namiętności do mnie? I nie spodziewasz się, że będę ją przejawiał?

Roześmiała się i zrobiła coś niesłychanego; otarła się o niego i spojrzała mu w twarz na wół przymkniętymi oczami.

- Diabli nadali ten deszcz -jęknął. - Utkwiłem w opuszczonym letnim domku z kobietą, w której budzę namiętność, i nikt nie spieszy mi z pomocą! Wyraźnie sobie przypominam, że ktoś tam, w domu, mówił, że prosiłaś, żeby ci nie przeszkadzać. A potem jeszcze ktoś inny dodał, że znajdę się tu z tobą w cztery oczy i będę mógł ci powiedzieć wszystko, co mam do powiedzenia. No i cóż ja pocznę?

Lubiła, kiedy mówił coś ze śmiertelnie poważną, a nawet zatrwożoną miną, podczas gdy w oczach tańczyły wesołe iskierki.

- Absolutnie nic. - Zniżyła głos, a jej palce namacały pierwszy guzik kamizelki. - Jeszcze nie.

Udał, że drży i zaczął spoglądać niespokojnie na boki.

- Dochodzę do wniosku, że zaczynają mi się podobać kobiety rozpasane.

- A ja dochodzę do wniosku - Lauren nadal mówiła tym samym ścisłym, aksamitnie miękkim głosem - że zaczynasz właśnie szaleć na punkcie jednej z nich, wicehrabio.

- Och, mój ty słodki kasku - zamruczał.

Rozpięła kamizelkę i zsunęła ją z jego ramion, podczas gdy on stał bez ruchu. Nie spieszyła się. Zaczęła całować go delikatnie w szyję pod fularem. Przeciągnęła językiem wzdłuż blizny na podbródku. Zaskoczyło ją słowo, które mu się wymknęło. Było zdecydowanie nieodpowiednie dla uszu damy. Pocałowała go w rozchylone usta. Wsunęła w nie koniuszek języka, dotykając zębów, a potem jeszcze głębiej.

- Przyznawano mi w wojsku pochwały i wyróżnienia - powiedział, kiedy znowu mógł mówić - za czyny, które nie wymagały nawet połowy tej odwagi i zdyscyplinowania, jakie wykazałem dzisiaj popołudnia. Chyba rozumiesz, że stanęłaś w obliczu niezwykłego heroizmu.

Lauren zdała sobie sprawę, że odkąd odrzuciła koc, minęło już dobre dziesięć minut. Ogień na kominku rozpraszał wilgotny chłód wiszący w powietrzu. W domku zrobiło się gorąco.

- Dam ci jedną radę. Pochodzi ona od człowieka, który pomagał mi się rozbierać przez bez mała trzydzieści lat. Najpierw zabierz się do butów. A może chcesz, żebym ja to zrobił? Mam je zdjąć?

- Nie. - Uklęła na podłodze.

- Poza pełną miłosnej uległości - skomentował to z westchnieniem, unosząc jedną nogę. -Najzupełniej zresztą zwodnicza. Tak, musisz moc no szarpnąć. Tylko nie wykręć mi jej w kostce! Pospiesz się, żebyśmy zdążyli na przedwczoraj. Niestety, Lauren, sprawiasz, że wszystkie moje

dawno wyrobione sądy biorą w łeb. To żółwie tempo sprawia mi prawdziwą przyjemność.

- A to tylko początek - obiecała, ściągając drugi but.

- Czarownica! Poszedłem sobie na bal lady Mannering, niczego nie podejrzewając! Wyglądałaś całkiem niegroźnie. Taka godna szacunku, taka sztywna...

- Świętoszkowata.

- Właśnie.

- Powinam teraz wołać o sole trzeźwiące! Nie wyglądasz na nieszczęśliwego, Kit. - Ściągnęła najpierw bryczesy, a potem kalesony. Ich oczy się spotkały.

- Możesz ciągnąć tę grę przez całe popołudnie i wieczór, jeśli tylko chcesz. Uwielbiam takie zabawy, zamierzam zresztą oddawać się im z tobą przez resztę życia. Myślę tylko, że powinniśmy się nimi zajmować raczej na łóżku.

- Nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie to powiesz. Dama nigdy nie zaprasza dżentelmena do łóżka!

Nie dotykał jej, póki nie położyła się na kocach. Wtedy przykrył ją swoim ciałem i wziął ją jednym głębokim pchnięciem. Kilka razy powoli zaczerpnęła tchu.

- Możemy to robić w łatwy sposób - mówił, unosząc głowę i uśmiechając się z łobuzerskim błyskiem w oczach - albo też, chcąc zasłużyć na najwyższe odznaczenie, podejmę długą, niełatwą i ciężką drogę do celu. Bardzo długą i bardzo ciężką. Którą mam wybrać?

- Która z nich wiedzie na sam skraj szaleństwa? -

Ta trudniejsza.

- A więc proszę właśnie o nią. Proszę, kochany.

Była to naprawdę bardzo długa i trudna droga, wymagała też ogromnej energii. Przez chwilę obawiała się, że koniec nadejdzie zbyt szybko i nie doświadczy tego, czego doświadczyła na brzegu wysepki, wśród polnych kwiatów. Po chwili jednak zrozumiała, dzięki instynktowi zrodzonemu z miłości i zaufania, że starczyło mu siły i wrażliwości, by na nią poczekać. Jak tam, nad jeziorem.

Nadchodziło to powoli, rozkosznie powoli. Czowała to w brzuchu, na piersiach i w gardle.

Odpręż się - szepnął jej do ucha. - Pozwól, niech zrobię to za ciebie. Zaufaj mi.

Zatraciła się, ani przez chwilę nie czując jednak strachu czy zwątpienia. Wydał głośny okrzyk, a jego ramiona oplótły ją ciasno, przygważdżając



ją - bezpieczną, ciepłą, zaspokojoną - do materaca. Słyszała uderzenia własnego serca tętniące w uszach. I jego serca także. Były zgodnym rytmem.

- Damy na pierwsze zapowiedzi - odezwał się zaskakująco przytłumionym głosem - w przyszłą niedzielę. Już najwyższy czas, żebym zrobił z ciebie uczciwą kobietę. A poza tym poród po ośmiu miesiącach może jeszcze uchodzić za przedwczesny, ale po siedmiu czy sześciu od ślubu byłby czymś skandalicznie podejrzanym. Mogłyby się nawet pojawić plotki, że nasza noc poślubna nastąpiła dużo wcześniej, niż to przyjęte.

- Rzeczywiście byłoby to takie gorszące - westchnęła z satysfakcją. - A więc w przyszłą niedzielę.

- Za miesiąc weźmiemy uroczysty ślub, jak to jest w zwyczaju w dobrym towarzystwie. Oczywiście obydwie nasze rodziny będą na nim obecne. Nie mam siły, żeby się buntować. A ty?

- Mnie bardzo odpowiada uroczysty ślub - przyznała.

-Dobrze. A więc sprawa załatwiona.-Pocałował ją w czoło. -Dokonałem wspaniałego odkrycia, zważywszy, że przyjdzie nam przez resztę życia dzielić łożę. Jesteś cudownie wygodnym materacem.

- A ty całkiem znośną koldrą - powiedziała, uwalniając nogi i wyciągając je obok jego nóg. Ziewnęła znużona. - Przestań teraz mówić, Kit, i prześpijmy się.

- Mamy spać? - Uniósł głowę rozbawiony. Natychmiast wyczuła zagrożenie. - Spać, Lauren? Kiedy jesteśmy tak zmęczeni kochaniem się i tak spoceni? A tu jest podobno, koło wodospadu, sadzawka...

-Kit...

Tylko się zaśmiał.

- Nie! Absolutnie, stanowczo, nie pójdę teraz pływać! Przecież pada deszcz!

- Hm, to istotnie pewien kłopot - zgodził się, wstając. - Przecież mogłabyś zmoknąć!

Gdyby wtedy nie zachichotała, może postawiłaby na swoim. Choć chyba nie, jak przyznała kilka minut później, gdy znalazła się głęboko w lodowatej wodzie. Z trudem łapała powietrze, z rękami zaciśniętymi kurczowo na rękach Kita, szczerze żałując, że nie zna choćby kilku soczystych przekleństw. Zbyt głośno jednak szczerkała zębami, żeby można je było dosłyszeć.

Otarła oczy i zaśmiała się, nim zrobiła najbardziej szalonej rzeczy tego dnia. Wyzwała go na wyścigi - do wodospadu i z powrotem. Zgodził się, a nagrodą w razie jego wygranej miała być kolejna runda w letnim domu. Oczywiście, jeśli wygra.

Wciąż jeszcze usiłowała utrzymać się na wodzie, gdy on wynurzył się tuż pod samym wodospadem i - och, nikczemnik! - uśmiechnął się od ucha do ucha.



Bal w przeddzień ślubu był w Newbury Abbey tradycją od wielu pokoleń. Kitowi wydawało się wprawdzie dość dziwne, że przyszli małżonkowie nie mogą się porządnie wyspać przed nocą poślubną, ale widocznie pierwszy pan młody, który ten zwyczaj zapoczątkował, nie miał w sobie zbyt wiele wigoru. A może był to sprytny podstęp ze strony ówczesnych panien młodych, mający na celu powściągnięcie miłosnych zapałów?

Bal w wigilię ślubu Lauren trwał właśnie w najlepsze. Dwór wypełniali krewni Kilbourne'ów i Redfieldów oraz ich przyjaciele, dom ciotki Clary również, w wiejskiej gospodzie zabrakło wolnych pokoi. Nawet w porównaniu z londyńskim sezonem tłum gości w sali balowej, na balkonie z francuskimi oknami i na schodach był imponujący. Nikt nie mógł sobie wyobrazić, by ta cizba zdołała następnego ranka pomieścić się w wiejskim kościele.

Lauren, z którą przyszły pan młody mógł zatańczyć tylko jeden raz -zresztą i tak miała już wypełniony karnet - promieniała ze szczęścia. Przewyższała urodą najładniejsze nawet damy. Wyglądała olśniewająco w atłasowej sukni o tak głębokim fioletowym odcieniu, że niektórzy mogliby go nazwać śliwkowym. Diamentowy naszyjnik, prezent ślubny od przyszłych teściów, iskrzył się w blasku świec. Na jej palcu błyszczał zaręczynowy pierścionek z diamentem tak dużym i tak misternie oszlifowanym, że Kit mimo woli złowił uchem uwagę wypowiedzianą przez wyjątkowo mało, jego zdaniem, sympatyczną osobę, Wilmę z domu Fawcitt, teraz już zamężną z hrabią Suttonem. Uznała, że klejnot wygląda wulgarnie.

- Nie masz już siły na następny taniec, Ravensberg? - spytał Farrington.

- Och, jak dla mnie wystarczy.

- Czy ta urocza lady Muir tańczy? Nie chciałbym popełnić gafy, bo przecież widać, że kuleje.

- Owszem, tańczy.

Farrington najwyraźniej zdołał wymknąć się matrymonialnym zakusom pani Merklinger, był więc nadal „do wzięcia” i bynajmniej nie przestał rozglądać się za nowymi podbojami.

- Spróbuję, może mi się z nią poszczęści i zdołam uwolnić ją od tego dorodnego wikinga, który najwyraźniej rzucił na nią urok.

-- Ralf Bedwyn? - Kit był szczerze rozbawiony, lecz w tej właśnie chwili lokaj szepnął mu dyskretnie, że na dole czeka jakiś pan, który chce zamienić kilka słów z lordem Ravensbergiem.

- Co, jeszcze jeden? - Kit pospieszył ku schodom.

Nowy gość był bardzo młodym, wysokim, tyczkowatym chłopcem o miłej, szczerzej twarzy. Jeśli musiał się już golić, to na pewno nie co dzień. W sumie okaz przystojnego młodzieniaszka, jak ocenił go Kit, nawykły do oględzin setek rekrutów.

- Dobry wieczór - powitał przybysza.

- Czy lord Ravensberg? - Młodzieniec podszedł do niego z wyciągniętą ręką. - Pańskie zaproszenie dotarło do mnie ledwie tydzień temu, a gazety zamieściły już anons o ślubie. Przyjechałem najszybciej, jak tylko się dało. - Poczzerwieniał, gdy Kit patrzył na niego bez słowa. - Przepraszam, zapomniałem się przedstawić. Jestem Whitleaf. Wicehrabia. Whitleaf.

Kit uścisnął podaną mu rękę.

- To było zaproszenie na moje zaręczyny w Alvesley Park, a właściwie na urodziny mojej babki. - Wysłał je jednocześnie z zaproszeniem przeznaczonym dla barona Galtona, nim jeszcze Lauren zjawiła się w Alvesley. Wtedy nie wiedział jeszcze, że rodzina ojca z nią zerwała. Poczuł raczej ulgę niż rozczarowanie, gdy nikt nie przyjechał.

- Widzi pan, dotychczas byłem w Szkocji, a wyruszyłem w podróż po niej jeszcze na wiosnę, z Oksfordu, z moim starym preceptorem i paroma przyjaciółmi.

A gdzież się on podziewał przez całą resztę życia Lauren? - zdziwił się Kit.

- Spytałem mamę, kim jest Lauren Edgeworth, dopiero po przeczytaniu zaproszenia - ciągnął Whitleaf - no bo jasne, że musiała być kuzynką. Ja też jestem Edgeworth.

- Nie wiedział pan o jej istnieniu?

- Nie wiedziałem! No, może ktoś o niej wspomniał, kiedy byłem chłopcem, ale nie pamiętam. Było mi bardzo przykro, że nie zdążyłem przyjechać do Alvesley. Ale kiedy zobaczyłem anons w gazecie, przyszło mi na myśl, że byłoby miło złożyć kuzynce życzenia z okazji ślubu.

- Miło? - Kit zmarszczył brwi.

Młodzieniec zaczerwienił się ponownie.

- Widzę, że pan nie jest rad z mojego przybycia.

- Od jak dawna ma pan tytuł?

- Och, od zawsze. - Whitleaf machnął lekceważąco ręką. - Mój ojciec umarł, kiedy miałem trzy lata. Byłem najmłodszym z sześciorga dzieci i jedynym chłopcem. Pełnoletni jestem od stycznia i od tej pory nie podlegam opiekunom. Chyba nie uważa mnie pan za intruza? Czy kuzynka obraziła się o brak odpowiedzi na zaproszenie? Może lepiej będzie, jak sobie pójdę?

- Opiekunowie - mruknął Kit pod nosem - od trzeciego roku życia!

- O Boże - skrzywił się młodzieniec - było ich aż trzech! Same ponuraki! Ani jednej wesołej gęby. Zresztą mama niewiele lepsza, choć od czasu do czasu nawet i ona się zaśmieje. A matki, wie pan, niewiele dbają o młodszych synów. Nie wiadomo dlaczego myśli się, że to muszą być głuptasy. Przez większą część życia dostawałem baty, jakbym był dywanem do trzepania.

- Czy wie pan, że ci opiekunowie pisywali listy w pańskim imieniu? Pozbawili osieroconą Lauren szansy na zyskanie w dzieciństwie rodziny, mimo że jej ojcem był wicehrabia Whitleaf. Pański stryj, jak przypuszczam. Kiedy w wieku osiemnastu lat chciała nawiązać z krewnymi przyjaźniejsze stosunki, odpisali w odpowiedzi na jej list, że nie życzy pan sobie znać ubogich krewnych i pieczeniarczy!

Whitleaf skrzywił się.

- Gdybym tylko próbował pytać o korespondencję, przezwaliby mnie głupim smarkaczem albo jeszcze gorzej! To całkiem do nich podobne, co pan mówił o liście. Mama powiedziała mi z tydzień temu, że moja ciotka, matka miss Edgeworth, nie uchodziła za godną szacunku. Podobno latała za każdymi portkami, a potem wyszła za Wyatta, kiedy mój stryj jeszcze dobrze w grobie nie ostygł. Były nawet podejrzenia... ech, może lepiej, żebyśmy o nich nie wspominał. Pewnie tę bzdurę wymyśliły jakieś stare plotkary. No, jednym słowem, chodziły słuchy, że jej córka, znaczy się miss Edgeworth, była jego. Tego nowego męża, a nie stryja.

Kit, początkowo bliski wybuchu wściekłości, poczuł rozbawienie.

- Czy pan nadal uważa, mimo to, że byłoby mu miło ją poznać?

- A czemu nie! - Roześmiał się. - Czarne owce w rodzinie zawsze są ciekawsze od białych!

- Proszę chwilę zaczekać i rozgościć się. Lauren pewnie jeszcze tańczy. Sprowadzę ją na dół, jak tylko taniec się skończy. Mogę też pana zapewnić, że moja przyszła żona z pewnością jest prawowitym członkiem waszej szacownej rodziny.

- Och, naprawdę? Ale ja o to nie dbam ani trochę.

- Ma oczy takiego samego koloru. Powinienem był rozpoznać je od razu, ale stał pan pod światło.

- Ach, te oczy Edgeworthów - westchnął chłopak. - Zawsze lepiej wyglądają u bab!

Kit uśmiechnął się w duchu, gdy wracał do sali, pozdrawiając po drodze gości, przyjmując gratulacje i życzenia. Za jakieś dwa lub trzy lata ten gołowąs przekona się, że żadna z kobiet nie pozostanie nieczuła na urok fiołkowych oczu wicehrabiego Whitleafa.

## 24

Gotownia nagle zaczęła robić wrażenie zbyt ciasnej, mimo że pięć minut wcześniej Lauren odprawiła zapłakaną pokojówkę. Niemądra dziewczyna pociągała nosem, łkając niemal przez godzinę podczas ubierania swojej pani i układania jej włosów. Nigdy w całym swoim życiu nie była szczęśliwsza, jak oświadczyła głosem przerywanym szlochem, i choć żał jej, że rzadko będzie teraz mogła widywać kochaną matuchnę, to aż cała drży z radości, że pojedzie do Alvesley i że może nazywać lorda Ravensberga swoim panem.

Lauren była pewna, że będzie to dzień pełen wyjątkowych wrażeń.

Dzień jej ślubu.

Pierwsza zawitała do gotowni ciotka Clara. Lauren nie jadła śniadania razem z gośćmi. Tacę z nim przyniesiono jej prosto do sypialni, zastawioną tym, co lubi najbardziej, a mimo to nie mogła przełknąć ani kęsa.

Ciotka Clara uściskała ją, ale ostrożnie, żeby nie pognieść wspianiałego ślubnego stroju.

- Lauren... - szepnęła, lecz nie zdołała dodać nic więcej, więc tylko się uśmiechała.

O tak, to był naprawdę dzień pełen wrażeń. Lauren wiedziała, że ciotka jest rozanielona. Ogromnie przygnębiło ją zerwanie zaręczyn, bo w Alvesley nabrała pewności, że jej wychowanka nareszcie znalazła szczęście. Rozpłakała się nawet. Neville i Lily musieli ją uspokajać - kiedy Lauren i Kit weszli razem do salonu w Newbury Abbey tamtego deszczowego wieczoru przed miesiącem. Było jasne, że się pogodzili. Każdy też bez trudu mógł się domyślić, dlaczego tak długo nie wracali, co było niemal żenujące.

Jako druga zjawiała się Gwen.

- Och! - zawołała, stając w drzwiach. - Jaka jesteś piękna, Lauren! Nie znam nikogo - może z wyjątkiem Elizabeth - kto umiałby prostotę przekształcić w szczyt elegancji! Wyglądamy przy tobie jak kucharki!

Lauren roześmiała się, szczerze rozbawiona. Gwen była wprawdzie niewysoka i okrągłutka, ale również wyglądała uroczo.

Potem zapukał do drzwi wicehrabia Whitleaf, czyli kuzyn Peter, i płonąąc ciekawością, zajrzał dyskretnie do środka, gdy Gwen je otworzyła.

- Słowo daję, kuzyneczko, wyglądasz oszałamiająco! Właśnie wróciłem z kościoła i myślałem, że wolno mi chyba będzie wetknąć tu na chwilę nos, żeby powiedzieć ci dzień dobry i złożyć najlepsze życzenia. W końcu jestem twoim jedynym krewnym ze strony papy. Och, mam nadzieję, że nie uznasz mnie za impertynenta! Wczorajszy bal był całkiem udany, prawda?

Lauren przebiegła przez pokój i wzięła go za rękę.

- Bal wspaniale się udał, a w znacznej mierze dlatego, że na niego przybyłeś i wreszcie mogliśmy się spotkać. To dzięki twemu przyjazdowi niczego mi już nie brak do szczęścia.

- Ależ skąd! - mruknął, lecz widać było, że sprawiło mu to przyjemność. - No, muszę lecieć! - Jeszcze w drzwiach uklonił się Gwen. - Serdeczne dzięki, madame, za uprzejme odstąpienie mi swojej sypialni!

Nie było miejsca do spania ani we dworze, ani w domu ciotki Clary, ani nawet w gospodzie. Gwen musiała spać na rozkładanym łóżku w gotowalni ciotki.

W kilka minut po nim weszli Neville i Lily.

- Wpadliśmy w drodze do kościoła, żeby zobaczyć Lauren - usprawie dliwiła się Lily. - Och, wyglądasz po prostu nadzwyczajnie! Taka jestem szczęśliwa z twojego powodu, taka szczęśliwa! - Uściskała ją, nie zważając ani na ślubną suknię, ani na swój wyraźnie wydatny brzuch.

Lauren odwzajemniła uścisk.

-- Tak cię lubię, Lily - wyszeptwała.

- Ja ciebie też! - Lily nie straciła kontenansu. - A gdyby nie ja, nie szłabyś dzisiaj do ślubu.

Dobrze, że Lily powiedziała to tak otwarcie.

Nadeszła kolej Neville'a. Podobnie jak ciotka Clara, nie powiedział nic, nawet nie wymówił jej imienia. Objął ją tyłko i mocno uściskał. Opłótła go ramionami i przymknęła oczy.

Neville. Jej drogi, kochany Neville. Najukochańszy brat. Wiedziała, choć nie powiedziała tego głośno, ile ten dzień dla niego znaczy. Dziś

zobaczył ją szczęśliwą i wreszcie będzie mógł zrzucić z siebie brzemię winy.

- Bądź szczęśliwa - wykrztusił wreszcie, wypuszczając ją z objęć i uśmiechając się. - Obiecujesz?

- Obiecuję. - Odwzajemniła jego uśmiech. - Bo, jak chyba widzisz, kocham go.

- Jeśli nie wyjdziemy stąd natychmiast, Neville - odezwała się ciotka Clara - panna młoda będzie nas musiała siłą wyganiać do kościoła.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Kiedy Lauren została sama z Gwen, jej uśmiech znikł.

- Powinnam była obstawać przy braniu ślubu w Alvesley.

Gwen oczywiście zrozumiała ją natychmiast. Nie darmo były najlepszymi przyjaciółkami przez ponad dwadzieścia lat.

- Nie. Twoja duma i odwaga mogły cię opuścić najwyżej na te półtora roku. Teraz już nigdy ci ich nie zabraknie.

Do pokoju wsunęła głowę służąca Lauren. Wciąż jeszcze wyglądała na zapłakaną.

- Baron Galton prosi pannę Edgeworth i lady Muir do holu.

Wtedy była wiosna. Marzec. Tym razem - koniec października, pogoda równie piękna jak za pierwszym razem, chłodna, ale słoneczna. Drzewa mieniły się barwami jesieni. Na drodze leżały opadłe liście.

Wzdłuż drogi stali wieśniacy. Większa ich gromada tłoczyła się przy kościelnych drzwiach. Na podjeździe stały powozy wszelkiego rodzaju. Bezczynni woźnice gapili się na podnieconą ciżbę. Kolorowe liberie odróżniały ich od chłopstwa.

Lauren bardziej czuła niż widziała, jaki tłum zebrał się w kościele. Gwen schyliła się, żeby wyrównać rąbek jej sukni i poprawić tren. Proboszcz powinien chyba już czekać na nią przed ołtarzem, Kit i Sydnam również. Mogła sobie bez trudu wyobrazić, ile ludzi zebrało się przed wejściem, czekając, aż bicie dzwonów obwieści koniec ślubnej ceremonii i będzie można ujrzeć, choćby przez moment, nowożeńców wychodzących ze świątyni.

Mogła też niemal wyczuć, jak drobna kobieta w łachmanach wbiega na kościelny dziedziniec, a potem do kruchty, niemal ją potracając, i sprawa, że cały jej świat wali się w gruzy.

Dziadek czekał spokojnie, uśmiechając się do niej dobrotliwie.

Za moment z pewnością zemdleje. Gorzej, poczuła, że drętwieją jej członki. Zaczął ogarniać ją paniczny lęk. Gwen spojrzała na nią i schwyła mocno za rękę.

- Lauren - szepnęła - tamto minęło, odeszło w przeszłość. To dzień dzisiejszy, dzień twojego ślubu. Twojego prawdziwego ślubu.

Organy zaczęły grać. Dziadek podał jej ramię i razem weszli w główną nawę.

Zwróciły się ku niej uśmiechnięte twarze. Mogła nawet rozróżnić pojedynczych ludzi - Josepha, który mrugnął do niej łobuzersko, Claude'a i Daphne Miliardów, ciotkę Sadie, wuja Webstera, księcia Bewcastle'a z Rannulfem Bedwynem, Elizabeth i księcia Portfrey, kuzyna Petera, babkę Kita (kiwała do niej ręką), Lily i Neville'a, ciotkę Clare, hrabiego i hrabienę Redfordów.

Trwało to jednak tylko kilka sekund. Potem zwróciła oczy ku krańcowi nawy, gdzie czekał na nią mężczyzna. Był niższy niż proboszcz i Sydnam, między którymi stał, ale za to niewiarygodnie wprost przystojny. Miał na sobie czarny, dopasowany surdut, spodnie z atłasu w odcieniu kości słoniowej, haftowaną kamizelkę, lśniącą białą koszulę i pończochy. Przy jego szyi i przegubach pieniały się koronki.

Kit!

Wyglądał uroczyście i oficjalnie. Ależ nie! Kiedy podeszła bliżej, zobaczyła, że ma roześmiane oczy. Nie błyszczały, jak zwykle, łobuzerską wesołością, lecz czymś, co sprawiło, że zabrakło jej tchu, mimo że od miesiąca wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że ją kocha. Codziennie przecież pisywał do niej z Alvesley - czasem dwukrotnie, a pewnego razu listy były trzy - żeby jej o tym oznajmić, niekiedy w zdumiewająco kwiecistym stylu, który, o czym dobrze wiedział, mógł ją tylko rozśmieszyć.

Jego spojrzenie ogrzewało ją, pochłaniało, czyniło piękną i pożądaną. Te oczy ją wielbiły.

Nagle, ze zdumieniem, stwierdziła, że się uśmiecha.

Po chwili poczuła dziki strach - ten, który nękał ją przez całą noc, gdy ubierała się do ślubu, podczas jazdy do kościoła i gdy stała w kruchcie. Strach, że nawet w tej chwili, nawet teraz, gdy dziadek odpowiada na pytania proboszcza i podaje jej rękę Kitowi, coś może się jeszcze zdarzyć. Dotarło do niej, że rozpoczyna się ceremonia - jej ślub - ale nie potrafiła się na nim skoncentrować. Bała się, że zemdleje.



Nigdy nie wydawała mu się piękniejsza. Suknia ze lśniącą białą atłasu nie miała żadnych ozdób z wyjątkiem obrąbka, spodu trenu, brzeżka krót-



kich rękawów i wycięcia wokół szyi, gdzie wił się srebrny haft, oraz mnóstwa maleńkich perełek. Białe były też pantofelki, rękawiczki i kapelusik, z którego spływał koronkowy woal zasłaniający jej twarz. Jedyne barwne akcenty stanowiły fioletowe wstążki zwisające spod piersi aż do pasa haftu na dole i mały bukietik fiołków z ciemnozielonymi listkami trzymany w dłoni.

Nie spodziewał się, że dzień własnego ślubu będzie najszczęśliwszym dniem w jego życiu. Zawsze myślał, że śluby - może z wyjątkiem poślubnej nocy - są czymś nudnym i raczej kłopotliwym dla mężczyzny. Dziś gotów był jednak przyznać, że jest nieco prawdy w tych starych banałach. A może nawet całkiem sporo? Wyglądała bardziej na dawną Lauren Edgeworth, zimną jak marmur, gdy jednak popatrzyła na niego i podeszła bliżej, uśmiechnęła się.

Jego serce zamarło. Jeszcze jeden bań! Śluby to widocznie istny zbiór banałów. Nie widział jej przez cały miesiąc, a wczoraj prawie wcale. Lecz dzisiaj... no cóż, musi przyznać, że owo „dzisiaj” okazało się najszczęśliwsze w całym jego życiu.

A wtedy dostrzegł, że za jej uśmiechem czai się przeraźliwy strach. Poczł, jak zimna jest jej dłoń. To nie było zwykłe zdenerwowanie. Na Boga, znał ją dość dobrze, żeby się na tym poznać. No jasne! Wiedział już wszystko. Kościół w Newbury - miejsce jej pierwszego ślubu - nigdy nie wydawał mu się odpowiedni na ich zaślubiny. Sądził jednak, że tam właśnie powinny się odbyć, żeby raz na zawsze przepędzić upiora. Jakim był głupcem! Okazał się ostatnim durniem, nie zdając sobie sprawy, jaką męczarnię musi przeżywać dzisiejszego ranka.

Chciał ją uspokoić dotykiem lub spojrzeniem. Chciał zapewnić ją o swojej miłości. Przestał zważać na kościelną ceremonię.

- Wzywam was oboje i napominam - zabrzmiał głos proboszcza - bo nadejdzie straszny dzień sądu, kiedy wszystkie serca wyjawią swoje sekrety. Jeśli któremuś z was znana jest przeszkoda, skutkiem której nie można was połączyć węzłem małżeńskim, niechaj ją teraz wyzna. Albo wiem wiedźcie, iż jeśli było pomiędzy wami coś, na co nie dozwala Słowo Boże, nie możecie pobrać się teraz z woli Bożej i stałdło wasze nie będzie prawowitym.

Jej ręka ścisnęła jego dłoń.

Nie, moja miła. Nikt nie przerwie tej ciszy. I już niedługo będzie po wszystkim. Skończy się wtedy twój strach. Odwagi, kochana. Odwagi!

- Czy chcesz pojąć tę oto niewiastę za żonę?

Koniec. Już po wszystkim. Natychmiast się odprężyła i uśmiechnęła do niego. Nie było żadnej przeszkody.

Jego ukochana. Jego wicehrabina. Jego żona.



Niemądry strach utonął w niepamięci. Dokonano wpisów w rejestrach, kościelne dzwony były radośnie, grały organy, a nowożeńcy przeszli przez nawę, posyłając uśmiechy wszystkim krewnym i przyjaciołom.

Część zgromadzonych nie czekała jednak na to. Kuzyni obydwu rodzin i kilkoro innych gości wyszło po cichu z kościoła, nim jeszcze Kit i Lauren stanęli w jasnym blasku słonecznym i nim jeszcze wieśniacy, tłumnie zgromadzeni przy bramie i otwartym powozie przystrojonym białymi wstęgami i kwiatami, zaczęli wiwatować. Kuzyni ustawili się po obydwu stronach ścieżki wiodącej do kościoła, przebiegle uśmiechnięci, z naręczami jesiennych liści.

- Hm... - mruknął Kit, gdy Lauren rozglądała się rozradowana..- Może spróbujemy się gdzieś schować, żeby nie dostrzegli nas w cizbie? Czy też powinniśmy im uciec?

- Nie trzeba. Zepsulibyśmy im zabawę. To niehonorowo.

-Niehonorowo! - parsknął. - Może i tak. Byliby ogromnie rozczarowani, gdybyśmy przez to nie przeszli. No, więc co? Czy mamy ich rozczarować?

- Za nic! - oznajmiła i wsparła się na jego ramieniu. Ruszyli wolnym krokiem ścieżką, uśmiechając się, gdy spadał na nich deszcz kolorowych liści.

Raz jeszcze pozdrowili goście. Kit pomógł jej wsiąść do powozu i usadowił się obok. Dobroduszny woźnica kazał ludziom się rozstąpić i powóz ruszył. Kit rzucał garściami monety. Goście weselni zaczęli opuszczać kościół.

Ręka Kita odnalazła dłoń Lauren i uściśnęła ją mocno. Spojrzeli na siebie, gdy powóz wolno jechał przez wieś, nim minął bramę parkową.

- Nareszcie razem i nareszcie sami - odezwał się Kit. - Albo prawie sami. Zeszły miesiąc dłużył mi się nieznośnie.

- Tak. Ale już po wszystkim. - Oczy Lauren nagle zaszły łzami. -I ten ranek także się skończył.

Ścisnął jej dłoń jeszcze mocniej.

- Wszystko poszło idealnie, moja żono. Na zawsze. Na zawsze, moja miła.

- Kochany - szepnęła, a jej uśmiech stał się nagle jeszcze pogodniejszy. - Och, Kit, jakże jestem rada, że wdałeś się w bójkę w parku. Jakże jestem rada, że zawarłeś ten okropny zakład z przyjaciółmi. Jakże...

Nachylił się i pocałował ją.

Za nimi niósł się nieprzerwany chór wiwatów.

Kościelne dzwony biły radośnie.



